

J. R. Rain

Luna

Krew

Krew...

Szarpnięciem rozwarłam jego flanelową koszulę. Urwane guziki zagrzechotały o chodnik. Na piersi mężczyzny ciemniała skorupa gęstej, czerwonej cieczy, rozlanej szeroko jak morze. Rana przypominała czarny księżyc na niebie barwy cynobru.

Pił, więc we krwi miał alkohol. Może być. Nie potrzebuję czystszej, byle była prosto ze źródła: najlepszy pokarm na świecie. Chociaż nigdy nie wiadomo, co jest lepsze, a co gorsze. W końcu „najlepiej” by było, gdybym mogła odżywiać się czymś takim jak lasagne z indykiem.

Pochyliłam nisko głowę, przywierając wargami do głębokiej rany ziejącej w piersi tego człowieka, aby przełknąć pierwsze krople...

Dedykacja

Dedykuję tę książkę matkom na całym świecie:

każda z nich to wspaniały bohater,
ofiarny i niedoceniony.

Kocham Cię, mamo.

Kiedy zabrzączał dzwonek do drzwi, składałam akurat pranie w ciemnym domu, oglądając sobie, jak sędzia Judy miesza z błotem jakiegoś faceta.

Zsunęłam z czoła szerokie okulary przeciwsłoneczne typu gogle i podeszłam do drzwi, niosąc w dłoni slipki mojego małego Anthony'ego. Otworzyłam.

Do środka wdarło się światło, wciąż jeszcze nieznośnie jasne. Mrużąc oczy ukryte za ciemnymi szklami, zdołałam dojrzeć zarys sylwetki kuriera firmy UPS stojącego za zewnętrznymi drzwiami z ochronnej siatki.

A cóż to była za sylwetka...

W miarę jak moje oczy oswajały się z rażącym blaskiem, kształty przyjemnie napakowanego byczka z opalonymi nogami ukazywały mi się coraz wyraźniej. Przystojniak uśmiechnął się do mnie z niewymuszoną swobodą, demonstrując garnitur idealnie równych, bielusięnkich zębów. Spod brązowej czapki wystawały kępki żółtych włosów. Z takim wyglądem gość mógłby być modelem, a przynajmniej - moim nowym najlepszym przyjacielem.

- Pani Moon? - zapytał z badawczym, głodnym błyskiem w oku. Czyżbym zabłądziła na plan filmu porno? Jednakże, co ciekawe, w tej chwili zadźwięczał mi w głowie sygnał ostrzegawczy. Takie sygnały bywają trudne w interpretacji, automatycznie więc uznałam, że chodzi o to, abym trzymała się z daleka od tego byczka, bo inaczej ucierpi moje małżeństwo, które i bez tego przechodzi obecnie kryzys.

- Do usług - rzuciłam swobodnym tonem, lekceważąc ostrzeżenie.

- Mam dla pani przesyłkę.

- Co pan nie powie?

- Proszę pokwitować odbiór. - Podał mi jakieś elektroniczne urządzenie, służące, jak należało mniemać, do tegoż pokwitowania.

- Wiedziałam, że pan poprosi. - Uchyliwszy drzwi z siatką, wyciągnęłam rękę w jego stronę. Byczek zerknął na moją marmurowo bladą dłoń i położył na niej ten aparacik czy jak go tam zwał. Podpisałam się ślepym piórem z plastikową końcówką, a moje nazwisko pojawiło się w okienku pod postacią gryzmołów godnych artretyka. Kurier przez cały czas obserwował mnie uważnie przez siatkę. Nie lubię być obserwowana. Wolę nie zwracać niczyjej uwagi i nie pozostawać nikomu w pamięci.

- Zawsze pani chodzi po domu w okularach? - zapytał jakby od niechcena, ale wyczułam milczące zdziwienie w jego głosie: wariatka czy co?

- Tylko w ciągu dnia - odparłam. - Nocą są raczej zbędne. - Uchyliłam ponownie drzwi z siatką, aby oddać mu urządzenie do pokwitowania i odebrać w zamian niewielką kwadratową paczkę. - Dziękuję. Życzę miłego dnia.

Kurier skinął mi głową i odszedł, a ja, popatrzawszy sobie jeszcze przez chwilę na jego kształtne, nie za duże pośladki, zamknęłam grube dębowe drzwi. Do mojego domu powróciła cudowna ciemność. Wsunęłam okulary na czoło i usiadłam przy stole w jadalni, na wyjątkowo wysłużonym krześle. Już od dawna obiecywałam sobie, że pewnego dnia oddam je wszystkie do tapicera.

Przesyłka była grubo oklejona taśmą, ale kilka zręcznych pociągnięć polakierowanym na czerwono paznokciem załatwiło sprawę. Otworzyłam pudełko. W środku był zabytkowy złoty medalion. Na jego wierzchu widniał wyryty celtycki krzyż o misternym wzorze, ozdobiony trzema czerwonymi różami ułożonymi z precyzyjnie ciętych rubinów.

W salonie wciąż grał telewizor. Sędzia Judy tłumaczyła właśnie oskarżonemu, że jest kompletnym cymbałem. Podzielałam jej zdanie, wyłączyłam jednak odbiornik. Nic nie mogło mnie rozpraszać, gdy trzymałam w dłoni ten medalion.

Koniec końców przed sześcioma laty miał go na szyi ten, kto mnie napadł.

Ani adresu zwrotnego, ani żadnego listu. W pudełku był tylko ten błyszczący medalion i nic więcej. Zamknęłam go tam z powrotem. Budził potworne wspomnienia, które ze wszystkich sił starałam się wymazać z pamięci.

Schowałam pudełko do kredensu pod półką z porcelaną i wróciłam do składania upranych ubrań, włączając z powrotem program sędzi Judy O w pół do czwartej wysmarowałam się grubo kremem z filtrem przeciwsłonecznym, nakryłam głowę olbrzymim ogrodniczym kapeluszem i ostrożnie wyszłam na dwór.

Ból, jak zwykle, był przejmujący i dotkliwy. Parzyło tak, jakby mnie smażyli nad otwartym paleniskiem. Owszem, nie powinnam w ogóle wychodzić na słońce, ale ktoś musiał odebrać dzieci ze szkoły, do jasnej cholery.

Zbiegłam więc po schodkach i pomknęłam do wolno stojącego garażu, przecinając szerokość podjazdu. Dom z dobudowanym garażem - to było moje marzenie, ale na razie trzeba było codziennie pokonywać tę drogę na pełnym gazie.

Dobiegłam na miejsce, kryjąc się przed wiosennym słońcem. Mogłam już odetchnąć. Czuć też było wyraźnie swąd przypieczonej skóry.

Fuu...!

Na szczęście mój minivan, ford windstar, miał mocno przyciemnione szyby, więc gdy ruszyłam ulicą po wyjechaniu tyłem z garażu, było już nieźle. Nieźle - ale też niezbyt dobrze.

Odebrałam syna i córkę ze szkoły, a w drodze powrotnej zajechaliśmy do Burger Kinga po kilka cheeseburgerów. Wiem, dobra mama tak nie robi, ale po całym dniu domowych robót nie miałam najmniejszego zamiaru jeszcze gotować.

Po powrocie dzieciaki od razu pognały do siebie, a ja zaszyłam się w łazience, żeby zdjąć kapelusz, okulary i

wytrzeć się z kremu. Do diabła! Używam go tyle, że powinnam chyba kupić akcje jakiegoś producenta, na przykład Coppertone'a. Dzieci szybko zajęły się ratowaniem świata w grze „Halo” i zapadła niepokojąca cisza, rzadkość w naszej rodzinie. Mogło się łatwo okazać, że jest to cisza przed burzą.

Byłam tego dnia umówiona tylko z jednym klientem, który zjawił się punktualnie. Zaprowadziłam go do gabinetu na tyłach domu, bo tam właśnie pracuję. Mój gość nazywał się Kingsley Fulcrum. Ledwie mieścił się w fotelu stojącym naprzeciwko mojego biurka; był wysoki i barczysty, a szyty na miarę garnitur leżał na nim doskonale. Gęste czarne włosy, lekko przetykane siwizną i zawadiacko zmierzwione, sięgały za kołnierz marynarki. Mężczyzna przystojny, w typie czarującego drania - to wrażenie psuły jedynie blizny na twarzy. Chociaż kto wie, może typowy drań właśnie powinien mieć blizny? Tak czy inaczej były dwie: jedna na lewym policzku, a druga na czole, tuż nad lewą brwią. Obie okrągłe i obrzmiałe. Obie całkiem świeże.

Zauważył, że się na nie gapię. Zawstydzona, odwróciłam wzrok.

- W czym mogę panu pomóc?
- Od jak dawna pracuje pani jako prywatny detektyw? - odpowiedział pytaniem.
- Od sześciu lat.
- Czym zajmowała się pani przedtem?
- Byłam pracownicą biura federalnego.

Nie skomentował. Milczał, a ja czułam na sobie jego wzrok, czego serdecznie nie znoszę. Milczenie się przeciągało, aż wreszcie, mając go już dość, udzieliłam wyjaśnienia, o które nie prosił:

- Miałam wypadek i teraz muszę pracować w domu.
- Czy mogę zapytać, co to był za wypadek?
- Nie.

Uniósł brwi i skinął głową. Możliwe też, że lekko poczerwieniał.

- Ma pani pisemne referencje?

- Oczywiście. - Wydrukowałam z komputera plik z listem referencyjnym. Kingsley Fulcrum wziął kartkę i przebiegł oczami nazwiska.

- Burmistrz Hartley? - zapytał.

- Zgadza się.

- Zatrudnił panią?

- Owszem. Poniżej, jeśli się nie mylę, znajdzie pan telefon do jego osobistej asystentki.

- Czy mogę zapytać, na czym polegała pani współpraca z burmistrzem?

- Nie.

- Rozumiem. Nie wolno pani udzielać takich informacji, to oczywiste.

- W czym konkretnie mogę panu pomóc, panie Fulcrum?

- powtórzyłam pytanie z początku naszej rozmowy

- Chciałbym, aby kogoś pani dla mnie odnalazła.

- Kogo?

- Człowieka, który mnie postrzelił - odparł. - Pięć razy.

Nagle zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegły stłumione odgłosy zawziętej sprzeczki; to moje dzieci znów się pożarły. Szczególnie donośnie i piskliwie darł się Anthony. Westchnęłam ciężko. Mówiłam, że burza wisi w powietrzu.

- Czy może pan chwilę poczekać? - poprosiłam klienta, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Obowiązek wzywa - odpowiedział uśmiechem. Bardzo miłym.

Przemaszerowałam do niedużego pokoju dzieciaków, który mieścił się na drugim końcu mojego parterowego domu. Zastałam tam następujący obrazek: Anthony siedział na piersi Tammy, która w jednej ręce, wyciągniętej jak najdalej, ścisnęła pilota od telewizora, a drugą odpychała wściekle ataki młodszego brata. Zjawiłam się w samą porę, aby zobaczyć, jak Anthony wbija zęby w jej dłoń. Tammy zakwiliła boleśnie i trzepnęła go pilotem w ucho. Mały szybko się otrząsnął i chciał skoczyć jej prosto na plecy, ale zdążyłam już wejść do pokoju i złapać oboje za kołnierze. Jakbym rozdzieliła dwa dzikie, wygłodniałe rosomaki. Anthony szamotał się, sięgając zakrzywionymi palcami do gardła siostry. Ciekawe, czy któreś z nich w ogóle zauważyło, że oderwali się od podłogi i wiszą teraz w powietrzu. Kiedy się wreszcie uspokoiłi, postawiłam ich z powrotem. Z kołnierzy zostały strzępy.

- Anthony - przypomniałam - w tym domu nie wolno gryźć. Tammy, daj mi tego pilota.

- Ale mammo! - zawył mały, wiedząc dobrze, jak mnie irytuje ten jego piskliwy ton. - Ona mi przełączyła Pokemony!

- Po szkole możemy oglądać telewizję tylko pół godziny - odgryzła się Tammy z chytrym uśmiechem - a ty już oglądałeś dłużej.

- Bo ty gadałaś przez telefon z tym swoim Richaaardem!

- Tammy, oddaj bratu pilota. Może dokończyć swój film. Przegapiłaś kolejkę, gadając z Richaaardem. - Oboje roześmiali się zgodnie. - Słuchajcie, w gabinecie czeka na mnie klient. Jeśli jeszcze raz zrobicie taką awanturę, to sprzedam was na eBay. Przyda mi się parę groszy

Wróciłam do gabinetu, zostawiając dzieciaki w pokoju. Kingsley Fulcrum przeglądał sobie książki w mojej biblioteczce. Zanim zdążyłam się odezwać, spojrzał na mnie, unosząc brwi.

- Interesuje się pani okultyzmem - powiedział, kartkując tom w twardej oprawie. - A w szczególności wampirami.

- Cóż, zawsze warto mieć jakieś hobby - odparłam.

- Ale nie każde jest aż tak pasjonujące - zauważył.

Usiadłam za biurkiem, uznając, że najwyższy czas skierować rozmowę na inne tory.

- Chce pan zatem - podjęłam - abym znalazła człowieka, który pięciokrotnie pana postrzelił. Co poza tym?

Fulcrum cofnął się spod biblioteczki i wrócił na fotel. Spojrzał na mnie, unosząc brwi, gęste, wręcz krzaczaste. Nie wiedzieć czemu takie brwi idealnie do niego pasowały.

- Poza tym? - powtórzył z uśmiechem. - Sądzę, że to jedno wystarczy w zupełności.

I wtedy mnie olśniło. Nic dziwnego, że to nazwisko i ta twarz wydawały mi się znajome.

- Pokazywali pana w wiadomościach kilka miesięcy temu - wypaliłam znienacka.

Przytaknął skinieniem głowy

- Ano tak. Pięć kulek prosto w łeb, na oczach całego świata. Nie jest to coś, czym człowiek koniecznie chciałby się chwalić.

Czy ja dobrze słyszałam? Powiedział „Ano, tak”? Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie: jakbym cofnęła się w czasie, do epoki, kiedy słowo „ano” było w codziennym użyciu.

- Napastnik zaatakował znieuważa i zaczął do pana strzelać. Kto chciałby się chwalić, że przydarzyło mu się coś takiego? Ale przeżył pan i to jest najważniejsze, prawda?

- W tej chwili tak - potwierdził. - Drugie miejsce na liście ważności zajmuje ustalenie, kto do mnie strzelał. - Pochylił się lekko w moją stronę. - Daję pani dostęp do wszystkiego, co tylko będzie pani potrzebne. Do najbardziej osobistych szczegółów. Nie ma takiej osoby, z którą zabraniam pani rozmawiać, prosiłbym jedynie o dyskrecję.

- Czasami dyskrecja nie jest możliwa.

- W takim wypadku zdaję się na pani wyczucie. Dobra odpowiedź, pomyślałam.

Kingsley Fulcrum wyjął wizytówkę i napisał coś na odwrocie.

- Tutaj jest numer mojej komórki. Gdyby coś było pani potrzebne, proszę o telefon. - Po chwili dopisał jeszcze coś. - A to jest nazwisko i numer telefonu detektywa z wydziału zabójstw, który prowadzi moją sprawę. Nazywa się Sherbet. Jest przystępny i profesjonalny, ale niezbyt odpowiadają mi wnioski, które wyciągnął ze śledztwa.

- A mianowicie?

- Jego zdaniem to nie był zamierzony atak, ale przypadkowa strzelanina.

- Pan ma odmienne zdanie?

- Całkowicie.

Omówiliśmy jeszcze kwestię mojego honorarium za pozostawanie w dyspozycji, po czym klient wypisał mi czek. Na kwotę wyższą od ustalonej chwilę wcześniej.

- Nie chciałbym być niegrzeczny - powiedział na koniec, wstając i chowając kosztowne wieczne pióro do wewnętrznej kieszeni swojej drogiej marynarki - ale czy nie jest pani przypadkiem chora?

Słyszałam to pytanie już tysiąc razy

- Nie, a czemu pan pyta? - odparłam pogodnym głosem.
- Wydaje się pani nieco blada.
- Mam cerę po irlandzkich przodkach - wyjaśniłam, puszczając do niego oko.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym mrugnął w odpowiedzi i wyszedł z mojego gabinetu.

Po wyjściu Kingsleya Fulcruma wrzuciłam jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej.

Program wyświetlił dziesiątki artykułów prasowych, z których dowiedziałam się, że mój zleceniodawca to wzięty adwokat o reputacji specja, który zawsze da radę oczyścić swojego klienta z podejrzeń, często na podstawie niuansów prawniczych, z pozoru absurdalnych. Jednym słowem: fachowiec na wagę złota.

Stały mi przed oczami jego szerokie bary.

Rzeczywiście, takie mięśnie muszą ważyć swoje...

Leżeć, mała.

Przeglądałam nagłówki, aż wreszcie, na stronie lokalnej stacji telewizyjnej z Los Angeles, natrafiłam na ten, o który mi chodziło. Był tam też link z reportażem filmowym. Bogu niech będą dzięki za szybki internet. Na monitorze otworzyło się małe okienko odtwarzacza plików multimedialnych, a chwilę potem mogłam już sobie obejrzeć pierwszy materiał, który pojawił się w telewizji. Ta krótka migawka zyskała ogólnokrajowy rozgłos, ponieważ była bardzo mocna, wręcz drastyczna.

Najpierw na ekranie pojawiła się młoda dziennikarka o latynoskich rysach. Minę miała poważną. Za jej plecami widniał gmach dobrze mi znanego miejskiego sądu w Fullerton, stan Kalifornia. Następnie w montażu pokazano nagranie z zewnętrznej kamery monitoringu. Widać na nim było dwóch mężczyzn i dwie kobiety o dumnej postawie, nienagannie ubranych. Przeszli przez ulicę naprzeciwko wejścia do sądu. Wyglądali jak napastnicy drużyny futbolowej. Dziwne, że tak właśnie mi się to skojarzyło, bo nie znam się na tym głupim sporcie i rzadko o nim myślę.

Wyższego z mężczyzn rozpoznałam od razu po falujących czarnych włosach: to był Kingsley Fulcrum. Wcielenie surowej urody i nienaganej wytworności.

Leżeć, mała.

Gdy cała grupa jest już na schodach wiodących do sądu, nagle zza brzozy rosnącej przed gmachem wysuwa się niewysoki mężczyzna. Troje ze sławnych adwokatów praktycznie nie zwraca na niego uwagi, tylko rozłożysta blondynka w okularach ogląda się w jego stronę, marszcząc brwi; chyba zauważyła, że sięgnął do kieszeni płaszcza. Trzeba przyznać, że ten gest sprawia groźne wrażenie. Mały facet ma potarganą smolistą czuprynę i gęsty wąs, który nie wiedzieć czemu też wygląda na potargany Prawniczka, wciąż marszcząc brwi, odwraca się do pozostałych.

To, co dzieje się potem, robi mocne wrażenie. Choć minęło już tyle czasu, wciąż mam dreszcze, gdy to oglądam.

Z kieszeni tweedowego płaszcza facet wyciąga pistolet o krótkiej lufie. Śledztwo ustaliło, że kule miały kaliber dwadzieścia dwa. Na razie jeszcze nikt nie zauważył broni. Napastnik stoi około trzech metrów od grupy adwokatów. Unosi pistolet, mierzy starannie i naciska spust.

Głowa Kingsleya Fulcruma odskakuje gwałtownie. Kula wchodzi w czaszkę tuż ponad lewym oczodołem.

Nachylam się bliżej, jak urzeczona wbijając wzrok w monitor. Szkoda, że nie mam miski popcornu albo przynajmniej paczki orzechowych M&Msów. Szybko jednak przypominam sobie, że nie mogę już jeść ani jednego, ani drugiego, i żal przechodzi.

Grupka otaczająca Fulcruma rozpierzcha się na wszystkie strony, jak stado kurczaków uciekających przed jastrzębiem. Drugi adwokat, ten niższy, wręcz pada na ziemię i przetacza się efektownie na bok, jak gdyby niedawno wyszedł z wojska i

nie zapomniał jeszcze służby na Bliskim Wschodzie oraz szkolenia bojowego.

Następna kula trafia Kingsleya Fulcruma w szyję; nad kołnierzem jego marynarki pojawia się czerwony ślad, a krew szybko plami mu koszulę. Tyle że, zamiast upaść i umrzeć, jak należałoby się spodziewać po człowieku postrzelonym z bliska w głowę i szyję, Fulcrum odwraca się i spogląda na napastnika.

Takim wzrokiem, jakby tamten po prostu zawołał go po imieniu. Jakby nie dotarło do niego, że ten człowiek wpakował w niego dwie kule z pistoletu.

Następna scena byłaby komiczna, gdyby nie groza, którą budzi. Fulcrum chowa się za pobliskim drzewem, a napastnik, który, jak widać, zawzięł się, żeby go wykończyć, podchodzi z drugiej strony, przeskakując stojącą mu na drodze ławkę. Jednym susem. Ląduje pewnie na ziemi i strzela jeszcze kilka razy; barczysty adwokat wije się za drzewem, lecz kule znowu trafiają go w szyję i twarz. Można mieć wrażenie, że to nigdy się nie skończy, ale w rzeczywistości kilka sekund później jest już po wszystkim. Oglądam to jak jakąś upiorną wersję gry w berka, z tą tylko różnicą, że Kingsleya Fulcruma gonią tutaj prawdziwe kule.

Mimo to adwokat wciąż jeszcze nie umarł. Nawet się nie przewrócił.

Facet z pistoletem, uznawszy najwidoczniej, że nic nie działo, ucieka spod drzewa, znikając z ekranu. Nikt nie przychodzi na pomoc rannemu. Troje adwokatów już dawno dało nogę. Kingsley Fulcrum musi radzić sobie sam. Jego jedyną osłoną jest pień drzewa, podziurawiony zabłąkanymi kulami.

Naoczni świadkowie zeznają później, że napastnik odjechał z miejsca zdarzenia pickupem marki Ford. Nikt nie próbował go łąpać, czemu trudno się dziwić.

Zatrzymałam nagranie w momencie, kiedy dobrze było widać Kingsleya Fulcruma: na policzkach i czole, nawet na rozrzuconych szeroko rękach i otwartych dłoniach - plamy zastygającej krwi. Twarz stężała w grymasie niezrozumienia, zgrozy i zaskoczenia. W ciągu zaledwie dwudziestu trzech sekund jego życie zostało wywrócone na nice. Rzecz jasna dla większości ludzi takie dwadzieścia trzy sekundy zakończyłyby się zgonem.

A jednak on przeżył. Ciekawe, jak mu się to udało.

Pojechałam do komendy policji w Fullerton na spotkanie z detektywem Sherbetem. Był wieczór; większość personelu wyszła już z pracy

- Odrywa mnie pani od dziecka - poinformował mnie detektyw zgryźliwym tonem. Spod podwiniętych rękawów koszuli wystawały muskularne przedramiona porośnięte czarnymi włosami, pomiędzy którymi tu i ówdzie przebłyskiwała nitka siwizny. Jak na mój gust było to niesamowicie wprost seksowne. Detektyw rozluźnił węzeł krawata i spojrzał na mnie z miną, oględnie mówiąc, rozdrażnioną.

- Przepraszam pana - odparłam. - Dziś nie dysponowałam innym terminem.

- Miło mi, że mogłem się dostosować do pani napiętego grafiku, pani Moon. Nie chciałbym przecież sprawić pani kłopotu.

Jego gabinet był urządzone prosto i utrzymany w należyтым porządku. Brak obrazków na ścianach, tylko biurko, komputer, szafa na dokumenty i krzesła dla gości. Na blacie biurka stało co prawda kilka zdjęć w ramkach, ale wszystkie były odwrócone w jego stronę. Z mojego miejsca widziałam tylko nalepki z cenami.

Posłałam detektywowi swój najbardziej ujmujący uśmiech.

- Jestem bardzo wdzięczna, że zechciał pan poświęcić mi czas.

Na policzkach miałam grubą warstwę różu, żeby wyglądać jak człowiek. Uśmiech podziałał. Detektyw zarumienił się lekko.

- No tak... Dobrze, załatwmy to szybko. Mój chłopak ma dzisiaj mecz w kosza. Nie mogę przegapić, jak gania po parkiecie, nie mając bladego pojęcia, co się dzieje dookoła.

- Samorodny talent, jak rozumiem.
- Samorodny gamoń. Żona mówi, żebym dał mu spokój. Kłopot w tym, że jak na niego nie uważam, to lubi bawić się lalkami z córkami sąsiadów.
- Martwi to pana?
- Martwi.
- Boi się pan, żeby nie został homoseksualistą? Detektyw wzruszył z zakłopotaniem ramionami, ale nie powiedział ani słowa. Temat najwidoczniej był dla niego drażliwy.
- Ile lat ma pański syn? - zapytałam.
- Osiem.
- A jeśli to mały Casanova? Być może dostrzega korzyści płynące z zabawy z dziewczynkami.
- Być może - zgodził się Sherbet - ale na razie ma grać w kosza.
- Chociaż nie umie.
- Dla chcącego nic trudnego.
- Ale to pan chce, nie on.
- I chwilowo nie będzie inaczej. - Detektyw umilkł na chwilę, patrząc na mnie skołowanym wzrokiem. Potrząsnął głową, jak człowiek, który właśnie sobie uświadomił, że myślał na głos. - Jak to się stało, że zaczęliśmy omawiać seksualność mojego syna?
- Zapomniałam - odparłam, wzruszając ramionami. Sherbet nieznacznie przesunął znajdującą się przed nim teczkę, żeby leżała równo. Przedtem nie zakłócała symetrii; po prostu teraz leżała równiej.
- No dobrze, do rzeczy. To jest kopia akt sprawy Regulamin zakazuje kopiować dokumenty, ale pani ma niezłe referencje. Stanowisko w urzędzie federalnym to nie w kij dmuchał. A czemu zaczęła pani pracować na własny rachunek - to już pani sprawa i nikomu nic do tego.

Chciałam zabrać teczkę, ale położył na niej dłoń szeroką jak łopata.

- To ma zostać między nami - poinformował mnie. - Pierwszy lepszy detektyw prywaciarz nie dostanie ode mnie policyjnych akt.

- Całe szczęście, że nie jestem pierwsza lepsza.

- Lepsza, bo nie pierwsza - zarechotał.

- Błyskotliwy dowcip.

- Nie bardzo.

- Nie bardzo - przyznałam - ale zależy mi na tych dokumentach.

Skinął głową i cofnął rękę. Szybko zgarnęłam teczkę i wepchnęłam ją do torebki.

- Czy brakuje tutaj może jakichś informacji? - zagadnęłam.

Detektyw pokręcił głową, ale zrobił to całkiem automatycznie, bo w rzeczywistości przez cały czas intensywnie nad czymś myślał.

- Niczego nie powinno brakować. - Potarł podbródek zarośnięty czarną szczeciną, która także była przetykana srebrnymi nitkami. - Od początku podejrzewałem, że ten, co strzelał, to jego były klient. Może to intuicja, nie wiem. Faktem jest, że pan adwokat działa w swoim zawodzie nie od dziś i zdążył wkurzyć mnóstwo ludzi. Tylko kto ma czas, żeby przekopać się przez wszystkie jego sprawy?

- Na pewno nie zawałony pracą detektyw z wydziału zabójstw - odparłam posłusznie w tym samym tonie co on.

- Racja, cholera jasna.

- A czy jest możliwe, że to była przypadkowa strzelanina? - zapytałam.

- Jasne. Oczywiście. Takie wypadki są na porządku dziennym.

- Ale pan wyklucza taką możliwość.

- Zgadza się - przytaknął.

- Dlaczego?

Detektyw jest przyzwyczajony do takich rozmów. W jego zawodzie trzeba zadawać pytania, bo tylko w ten sposób można dotrzeć do prawdy. Nawet jeśli mu nie odpowiadało, że tak go przesłuchuję, niczego nie dał po sobie poznać. Pokazywał tylko, jak bardzo się pali, aby wszystko sprawnie załatwić.

- Zajście wyglądało na dokładnie zaplanowane. Poza tym sprawca nie próbował okraść ofiary, a co więcej - ma się wrażenie, że to była swojego rodzaju demonstracja.

- Demonstracja? Strzał do adwokata? Prosto w głowę?

- Strzał do adwokata pod gmachem sądu. W jego miejscu pracy. To jest wskazówka, że chodziło o sprawy zawodowe.

Skinęłam głową. Dobrze pomyślane. Nie przyznałam mu jednak racji. Faceci i tak zawsze są pewni, że nie mogą się mylić - mam jeszcze dopieszczać rozbuchane męskie ego?

W tych sprawach jestem uosobieniem cynizmu.

Sherbet wstał zza biurka i podszedł do wieszaka, na którym wisiała sportowa kurtka. Był wysportowany, a sylwetkę miał jak typowy gliniarz. Nosił też charakterystyczne dla gliniarzy wąsy. Lepiej wyglądałby bez nich, ale nie mogłam mu przecież tego powiedzieć. Zresztą kto ma nosić policyjne wąsy, jak nie policjant?

- Muszę już iść - powiedział. - Popatrzę sobie, jak mój syn przeszkadza kolegom wygrać.

- Może on nie przepada za koszykówką?

- I woli bawić się z dziewczynkami?

- To nie jest najgorsza opcja - odparłam. - Wydaje mi się, że chyba trochę niepotrzebnie pan tak analizuje zachowanie swojego syna.

- Jestem policjantem. Zawsze wszystko analizuję. Wyszliśmy z gabinetu. Sherbet zamknął drzwi na klucz, co

mnie zdziwiło i rozbawiło. Po co zamykać gabinet położony w samym sercu policyjnego posterunku?

- Panią, na przykład, też analizuję - odezwał się po chwili milczenia.

Bynajmniej mi się to nie spodobało. Postanowiłam zmienić temat.

- Jest pan świetnym policjantem, nie wątpię. Ile lat na służbie?

Puścił moje pytanie mimo uszu.

- Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak bardzo pani zależało, aby spotkać się ze mną wieczorem. - Mówiąc to, położył mi dłoń w okolicy krzyża, aby wskazywać drogę, bo kluczyliśmy właśnie po ciasno zastawionej biurkami sali. Jego dotyk był mocny i pewny - Kiedy rozmawialiśmy przez telefon i zapytałem, czemu tak późno, powiedziała pani, że ma tego dnia wielu klientów czy coś w tym rodzaju. Ale kiedy zadzwoniłem jeszcze tego samego dnia, aby przenieść spotkanie na późniejszą godzinę, odebrała pani od razu. - Urwał, aby otworzyć przeszklone drzwi. Na szybie widniały litery FPD, skrót oznaczający komendę policji w Fullerton. - Możliwe, że akurat była pani w gabinecie z klientami albo miała chwilę przerwy pomiędzy jednym klientem a drugim. Ale kiedy zapytałem, czy nie przeszkadzam, odpowiedziała pani spokojnie, bez pośpiechu, miłym głosem: „Pod żadnym pozorem. Czym mogę służyć?”.

- Cóż, zawsze staram się być uprzejma dla klientów - odparłam.

Stał za mną, więc nie widziałam jego twarzy, ale wyczułam, że się uśmiechnął. Zresztą nawet nie wyczułam: ja po prostu to wiedziałam. Efekt uboczny, można powiedzieć.

- A teraz - podjął - kiedy już spotkaliśmy się osobiście, zauważyłem, że cierpi pani na jakąś chorobę skóry

- Umie pan sprawić, żeby kobiecie zrobiło się ciepło na sercu.

- No właśnie, a propos „ciepło”. Pani dłoń przy powitaniu była zimna jak lód.

- A zatem do czego pan zmierza? - zapytałam.

Przystanęliśmy w głównej sali komendy, obok stanowiska dyżurnych funkcjonariuszy. O tej porze panowała tam cisza. Przez drzwi z przydymionego szkła widać było Commonwealth Avenue, a dalej - park imienia założycieli miasta, George'a i Edwarda Amerige'ów. Wzrok przyciągało ładne boisko małej ligi baseballowej.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko.

- Gdybym mógł zgadywać dwa razy, powiedziałbym, że albo jest pani wampirem, albo, jak już mówiłem, ma pani jakąś chorobę skóry.

- A co podpowiada panu serce? - zapytałam.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. Na zewnątrz korowody samochodów przeciągały śródmiejską ulicą; ludzie wracali z pracy, a czerwone światła tylne płonęły rozlanym blaskiem na przydymionym szkłe w drzwiach komendy policji. W oczach detektywa nagle coś błysnęło, jakby zrozumienie. A może zdziwienie? W każdym razie - coś. Tylko że po chwili Sherbet uśmiechnął się i jego policyjne wąsy poszły w górę jak szlaban na przejeździe.

- Choroba skóry, to oczywiste - odpowiedział na moje pytanie. - Nie może pani wychodzić na słońce.

- Brawo - pochwaliłam go. - Jest pan doskonałym detektywem.

I wyszłam. Dopiero na zewnątrz zauważyłam, że dłonie mi dygoczą. A to drań, tak mnie wyprowadzić z równowagi. Gliniarz z intuicją. I to czułą jak cholera.

Nie znoszę tego.

Boks trenowałam w klubie o nazwie Jacky's, który mieścił się w Fullerton. Był nastawiony na kobiecą klientelę, ale na sali zawsze kręciło się kilku facetów. Często ubranych lepiej od kobiet. Coś mi mówiło, że to geje. Klub miał instruktorów kickboxingu oraz boksu. Mnie bardziej odpowiadał ten drugi; zawsze wiedziałam, że gdyby w walce nastąpiła konieczność zadania ciosu nogą, wycelowałabym tylko w jedno miejsce...

Czyli poniżej pasa.

Zagładałam do klubu trzy razy w tygodniu, po odstawieniu dzieci prosto ze szkoły do babci mieszkającej w Brea. Boks wiąże się zwykle z bardzo wyczerpującym treningiem, zwłaszcza jeśli ćwiczy się tak jak ja, w trzyminutowych cyklach imitujących rundy prawdziwego pojedynku.

Trenował mnie osobiście sam Jacky Irlandczyk w nieodłącznej zielonej bandanie na gęstej siwej czuprynie, potężnie zbudowany, chociaż średniego wzrostu. Był też lekko już zaokrąglony, jakkolwiek żadną miarą nie skapcaniały. Wyglądał na czterdzieści lat, ale musiał mieć z sześćdziesiąt. W Irlandii boksował się zawodowo, był wręcz sportową legendą, tak przynajmniej mówił. Nos miał krzywy, złamany nie wiadomo ile razy i wcale niekoniecznie na ringu; być może w następstwie wrodzonej niezgrabności. O dziwo, rzadko kiedy się pocił, czego nie można było, niestety, powiedzieć o mnie. Jego rola jako trenera sprowadzała się do trzymania tarcz, czyli tak zwanych łap, i do krzyczenia na mnie. I jedno, i drugie wychodziło mu świetnie. Kiedy wrzeszczał, słyhać było w całej pełni jego ciężki irlandzki akcent.

- Dawaj, dawaj, nie wymiękaj. Opuszczasz pięści, kochanieńka!

Jacky nie uznawał opuszczania pięści, gardził tym, podobnie jak wszystkim, co nie pochodziło z Irlandii.

Uniosłam więc rękawice. Po raz kolejny.

Przez te czterdzieści pięć minut treningu nienawidziłam pieprzonego Ajrisza z całego serca.

- Opuszczasz pięści! - wrzasnął znowu.

- Wal się - warknęłam.

- Chciałabyś. Rękawice do góry, kochanieńka!

I tak to się ciągnęło przez czas jakiś. Trenujący kickboxing oglądali się na nas, ale z rzadka. Raz poślizgnęłam się na plamie własnego potu, a Jacky, na całe szczęście, zawołał jednego ze swoich pomocników, który przyleciał ze szmatą i wytarł ring.

- Pocisz się jak facet - mruknął Jacky, kiedy razem czekaliśmy, aż skończy. - Podoba mi się to.

- Tak? - Uniosłam brwi, ocierając skórę ręcznikiem. - Lubisz męski pot?

Uderzył mnie wzrokiem.

- Moja żona się poci. A mnie to rajcuje.

- Poci się chyba za was dwoje, bo ty nigdy nawet się nie zgrzejesz.

- Sam nie wiem, dlaczego tak szczerze z tobą gadam - zamyślił się.

- To ma być szczerść? Gadka o pocie i pukaniu żony?

- Możesz to uznać za wyróżnienie - oznajmił. Wróciliśmy do treningu: zostały nam jeszcze dwie rundy, każda po trzy minuty. Pod koniec pięści w rękawicach ciążyły mi już tak, jakby były z betonu, a Jacky darł się na mnie, ile wlezie.

Gdy skończyliśmy, oparł się całym ciałem o napięte liny i ściągnął z dłoni trenerskie łapy, sfatygowane i wytarte.

- To już druga para w tym miesiącu - zauważył, przyglądając się im jakby z niedowierzaniem.

- Kupię ci kilka nowych par - obiecałam.

- Z ciebie to jest jakiś wybryk natury - Jacky obejrzał sobie dłonie. Były czerwone i puchły w oczach, tak to

przynajmniej wyglądało. - Żaden mój podopieczny ani żaden przeciwnik nie walił tak mocno jak ty Szybkość ciosu masz rekordową, a forma i celność... bezbłędne.

- Tylko że opuszczam pięści.

- Nie zawsze. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Muszę się czegoś czepiać, żeby nie było, że się obijam.

Przygarnęłam go jedną ręką i pocałowałam w gładkie czoło.

- Wiem.

- Wybryk natury - powtórzył, rumieniąc się.

- Dobrze kombinujesz.

- Współczuję każdemu biednemu palantowi, który wejdzie ci w drogę.

- Ja też.

Jacky uniósł obite dłonie.

- Idę przyłożyć sobie lód.

- Przykro mi, naprawdę.

- Żartujesz? To dla mnie zaszczyt, że mogę cię trenować.

Wszystkim o tobie opowiadam. I nikt nie chce wierzyć. Mówię: mam dziewczynę, która da radę najlepszemu facetowi. Nikt mi nie wierzy

W sali panował ruch jak w ulu. Na obydwu ringach szły pełną parą sparingi kickbokserskie. Kobiety i mężczyźni okładali z całej siły wiszące worki treningowe, a ze wszystkich stron dochodził rytmiczny grzechot obtłukiwanych gruszek na sprężynie.

- Jacky, wiesz, że nie lubię, jak o mnie rozpowiadasz.

- Wiem, wiem. I tak nikt mi nie wierzy A ty mogłabyś walczyć w zawodowej lidze. Z palcem w nosie.

- Nie lubię zwracać na siebie uwagi.

- Wiem o tym. Przestanę się chwalić, że cię mam.

- Dziękuję.

- Nie chciałbym mieć z tobą na pieńku.

Trenuję boks dla samoobrony. Dla sportu. I czasem też dla przyjemności, bo miło jest, kiedy mężczyzna tak zawzięcie dba o to, żebym nie opuszczała pięści.

Pocałowałam go jeszcze raz w czoło i wyszłam z sali.

Pojechałam na północ przez śródmieście Fullerton, a na skrzyżowaniu Harbor Boulevard i Berkeley Street skręciłam w lewo. Zatrzymałam się na parkingu pod gmachem sądu miejskiego i wyłączyłam silnik.

Napiłam się wody z butelki. Woda to jeden z nielicznych płynów, które mój organizm toleruje. Woda i wino, chociaż alkohol nie działa na mnie w najmniejszym stopniu.

Tak, wiem. Kiepsko.

Ręce wciąż jeszcze mi ciążyły po treningu. Poruszyłam palcami. Napięte twarde mięśnie na przedramionach przeżyły się pod skórą doskonale widoczne. Tak jak lubię. Włożyłam wiele ciężkiej pracy, żeby to osiągnąć; nic nie przyszło samo.

Siedziałam za kierownicą, obserwując drzwi wejściowe do sądu. O tak późnej godzinie niezbyt wiele się tam działo. Trudno powiedzieć, po co właściwie przyjechałam w to miejsce, ale zawsze lubię się rozejrzeć, poznać sprawę ze wszystkich stron. To mi daje poczucie, że się zaangażowałam i jestem dobrze zorientowana.

A poza tym nigdy nie wiadomo, co się akurat trafi.

Przed sądem zauważyłam dwóch ochroniarzy na obchodzie. Ciekawe, co robili, kiedy nieznany sprawca strzelał do Kingsleya Fulcruma. Pewnie to samo, tylko z drugiej strony budynku.

Mój minivan stał tyłem do zalesionej działki, na której zbudowano apartamentowce. Nagle nisko nad maską śmignęła mi sójka, znikając błyskawicznie wśród gałęzi pobliskiej sosny. Chwilę później po pniu drzewa zbiegła wiewiórka, a ptak wyleciał z powrotem, nurkując w ślad za nią.

Spróbujmy się jakoś dogadać...

Kiedy ochroniarze zniknęli za rogiem, wysiadłam z samochodu i stanęłam przed głównym wejściem do sądu. Po

treningu wciąż jeszcze drżały mi nogi, a ręce zwisały ciężko i bezwładnie jak dwa worki piasku.

Kompleks sądu miejskiego składał się z dwóch masywnych budynków stojących naprzeciwko siebie. Pomiedzy nimi znajdowała się trawiasta wypukłość porośnięta drzewami. Pod drzewami stały kamienne ławki, w tej chwili puste. Słońce wisiało nisko na ciemniejącym niebie.

Lubię, kiedy niebo ciemnieje.

Szybko znalazłam brzozę wsławioną występem w telewizji. Była niezbyt wysoka, a pień miała tak wąski, że nie zasłoniłby chyba nawet mnie, nie mówiąc już o postawnym, barczystym mężczyźnie, jakim był Kingsley Fulcrum. Kule, które trafiły go w głowę, gdy próbował się za nią schować, stanowiły wymowny dowód na to, że nie nadawała się na tarczę. Strach pomyśleć, że za takim drzewem ktoś naprawdę szukał schronienia przed uzbrojonym szaleńcem. I dlatego właśnie wyobraziłam sobie tę scenę: poczułam strach zaatakowanego adwokata, zobaczyłam oczami duszy, jak rozpaczliwie usiłuje uciekać przed nadlatującymi kulami. Komiczne, a jednocześnie przerażające. Potworne, ale jednak zabawne. Jak jakaś wynaturzona wersja zabawy w Indian i kowbojów.

Gdy obeszłam drzewo dookoła, znalazłam cztery stosunkowo świeże ślady na korze. Pociski, rzecz jasna, zostały usunięte podczas śledztwa i dołączone do materiału dowodowego. Pozostały po nich tylko okrągłe, ciemne plamy na białym tle. To właśnie łączyło Kingsleya Fulcruma z tą brzozą: i jego, i ją naznaczyła jedna broń.

To była beczelna napaść w biały dzień. Chyba tylko czystym trafem zamachowcowi udało się uciec. Spodziewał się zapewne, że zostanie złapany albo zastrzelony, tymczasem spokojnie oddalił się z miejsca zajścia i wsiadł do furgonetki; nikt nawet nie zapamiętał numerów rejestracyjnych. Wciąż

przebywał na wolności, a jego zadanie nie zostało wykonane. Pewnie się zastanawiał, w jaki sposób może zabić Kingsleya Fulcruma.

To było dobre pytanie, cholernie dobre pytanie.

Do raportu ze śledztwa dołączono wyniki oględzin lekarskich. Było tam napisane, że pociski, które trafiły w głowę ofiary, ominęły żywotne obszary mózgu. Jediną konsekwencją postrzałów miało być nieznaczne ograniczenie kreatywności. Rzecz jasna brak kreatywności u adwokata może skończyć się katastrofą.

Ktoś życzył śmierci Kingsleyowi Fulcrumowi, ktoś chciał zobaczyć, jak umiera przed wejściem do sądu, z którego, dzięki jego biegłości w manipulowaniu prawem, wielu przestępców wyszło jako wolni ludzie. Nie mogłam przeoczyć wymowy tego faktu.

Detektyw Sherbet zbadał tylko jedną możliwość, zresztą bardzo pobieżnie: że napaść na adwokata miała związek z którąś z jego dawnych bądź też aktualnych spraw. Nie zagłębił się w śledztwo.

To ja musiałam się zagłębić. Za to właśnie płacą mi ciężkie pieniądze.

Odwróciłam się i odeszłam, tą samą drogą, którą przybyłam.

- A jak często się, że tak powiem, odżywasz? - zapytała Mary Lou.

Mary Lou to moja siostra. Dopiero niedawno się dowiedziała, że jestem, nazwijmy to, nocnym stworzeniem. Mam dużą rodzinę, ale nie zwierzyłam się nikomu oprócz niej - głównie dlatego, że jesteśmy najbardziej zbliżone wiekiem i zawsze się przyjaźniłyśmy. Tego dnia umówiłyśmy się w knajpce o nazwie Heros, w centrum Fullerton. Usiadłyśmy przy obitym mosiężną blachą barze, aby zamówić sobie drinki.

- Często - odparłam. - Wystarczy, że zobaczę piękną, mlecznobiałą szyję. Taką jak twoja, na przykład.

- Ha, ha - parsknęła, bawiąc się kieliszkiem martini z kropelką soku cytrynowego. Ja piłam zwykle stołowe chardonnay. I tak nie czuję smaku wina, więc po co zamawiać markowe trunki? Poza tym chardonnay nie działa na mnie prawie nigdy i w żaden sposób, a pijąc z siostrą drinka w miejscu publicznym, mogę się poczuć jak normalny człowiek. Powiedzmy.

Mary Lou zjawiała się ubrana w niebieski sweter i džinsy. Pracowała w agencji ubezpieczeniowej i dziś akurat mieli „dzień na luzie”. Najwidoczniej ludzie lubią takie rzeczy, bo zawsze dużo mi opowiada o tych swoich dniach na luzie, wręcz nie może się ich doczekać.

- Samantha, ja pytam poważnie - zmarszczyła brwi. - Jak często?

Przełknęłam łyk wina, nie mówiąc nic. Smakowało jak czysta woda. Moje kubki smakowe obumarły, a język nadawał się już tylko do gadania i całowania. Ostatnio zresztą nawet całowanie odpadło. Spojrzałam na Mary Lou. Sześć lat starsza i nieco cięższa ode mnie - no, ale przecież żywi się normalnym jedzeniem.

- Raz dziennie. - Wzruszyłam wreszcie ramionami. - Ja też czuję głód tak samo jak ty. Burczy mi w brzuchu i kręci się w głowie. Typowe objawy

- No, ale ty możesz tylko pić krew...

- Głośniej, bardzo cię proszę. - Skrzywiłam się. - Tamten facet w boksie za nami chyba nie dosłyszał.

- Przepraszam. - Pochyliła głowę z zakłopotaniem.

- To ma być sekret, pamiętasz?

- Pamiętam.

- Nikomu o tym nie mówiłaś? - zapytałam.

- Nie. Przysięgam. Przecież wiesz, że nie powiem nikomu.

- Wiem.

Podszedł do nas barman, spoglądając na mój niemalże już pusty kieliszek. Skinęłam potakująco głową. A co mi tam, chyba mogę wydać bez sensu uczciwie zarobioną kasę? Bez sensu, czyli na przykład na wino.

- A próbowałaś jeść coś innego? - zapytała Mary Lou.

- Tak.

- I co?

- Dostaję skurczów żołądka. I innych objawów ostrego zatrucia pokarmowego. W kilka minut wszystko zwracam. Nie wygląda to najładniej.

- Możesz pić wino - zauważyła.

- Próbowałam różnych napojów, ale toleruję tylko to - wyjaśniłam. - A czasami nawet wina nie trawię. Musi być względnie czyste.

- Czyli czerwone odpada.

- Tak jest.

Siostra wyciągnęła do mnie opaloną na zdrowy brąz rękę, wzdrygając się lekko, niemalże niewyczuwalnie, gdy dotknęła mojej lodowatej skóry. Ścisnęła mi dłoń.

- Bardzo mi przykro, że cię to spotkało.

- Mnie też.
- Mogę jeszcze o coś zapytać?
- A to, co było, tylko rundka na rozgrzewkę?
- I tak, i nie.
- Dobrze. - Skinęłam głową. - Czym mnie jeszcze uraczysz?

- Ta krew... No, wiesz... Czy to musi być ludzka krew?
- Może być z dowolnego ssaka.
- Skąd ją bierzesz?
- Kupuję.
- Gdzie?
- Mam swojego człowieka w rzeźni w Norco. Kupuję na zapas, raz w miesiącu. Trzymam ją w garażu, w zamrażarce.

- Tej zamkniętej na kłódkę?
Może mi się wydawało, ale pobladła w tym momencie.
- Tak - potwierdziłam.
- A co by się stało, gdybyś nie piła krwi?
- Pewnie bym zmarniała i umarła.
- Chcesz zmienić temat? - zapytała taktownie. Znała moje humory lepiej niż ktokolwiek, nawet mój własny mąż.

- Jeśli można - odparłam.
Uśmiechając się szeroko, Mary Lou zwróciła uwagę barmana i wskazała swój kieliszek. Facet przytaknął skinieniem głowy. Było z niego niezłe ciacho, a ona, oczywiście, nie mogła tego nie zauważyć.

- To powiedz, nad czym teraz pracujesz? - zapytała, zerkając ukradkiem na jego pośladki.

- Skończyłaś już pożerać wzrokiem barmana?
- Tak. - Spłonęła rumieńcem.

Opowiedziałam jej o Fulcrumie. Pamiętała tę strzelaninę z telewizji.

- Masz już jakiś trop? - zapytała z zapartym tchem. Zawsze jej się wydawało, że moja praca jest nie wiadomo jak

ekscytująca. Nawet nie zauważyła, że barman postawił przed nią drinka.

- Nie - potrząsnęłam głową. - Na razie to tylko intuicja.
- Chyba nikt nie ma takiej intuicji jak ty.
- Owszem - zgodziłam się. - To skutek uboczny.
- Niezły. Przytaknęłam.
- Skoro już musiałam wyrzec się sernika z malinami, to miło dostać coś w zamian.
- Na przykład intuicję wyczuloną do granic możliwości.
- Między innymi.
- A co jeszcze?
- Zdaje się, że miałyśmy zmienić temat.
- Daj spokój. Nigdy nie znałam kogoś takiego jak ty.
- Takiego dziwoląga?
- Nie - zaprzeczyła twardo. - Nie o to mi chodziło. Jesteś dobrą matką, żoną i siostrą. Nie jesteś żadnym dziwolągiem. No, powiedz, jakie są te inne skutki uboczne?

- Chcesz mi się podlizać?

- I tak, i nie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Mów.

No, już.

Parsknęłam śmiechem.

- Dobrze, wygrałaś. Jestem silniejsza i szybsza od człowieka.

Mary Lou skinęła głową. - Co jeszcze? - Odporna na choroby zakaźne i inne dolegliwości.

- A polimorfia?

- Polimorfia?

- Tak.

Dopytywanie się mojej siostry, czy potrafię się w coś zmienić, było tak niedorzeczne, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Mary Lou przez chwilę patrzyła na mnie, a potem sama głośno parsknęła, bo ją łatwo zarazić śmiechem. Ryczałyśmy histerycznie, aż wszyscy w knajpie zaczęli się na

nas gapić. Nie znoszę, kiedy się na mnie patrzą, ale śmiech dobrze mi zrobił. Tego mi było trzeba, i to bardzo.

- Nie - odpowiedziałam w końcu, ocierając łzy z oczu. - Nie umiem się w nic zmieniać. Chociaż właściwie nigdy nie próbowałam.

- Więc może jednak umiesz - wykrztusiła, kiedy już udało jej się złapać oddech.

- Szczerze mówiąc, nigdy o tym nie myślałam. Miałam dosyć innych problemów, a poza tym ta moja... przypadłość nie jest jak zwykła choroba, opisana w stu różnych podręcznikach.

- Samemu trzeba ją poznać. - Mary Lou skinęła głową.

- Owszem. I nie leci z nami żaden pilot.

- No właśnie.

Napiłyśmy się jeszcze wina. Zaczął mnie boleć brzuch. Odsunęłam kieliszek na bok.

- Opowiesz mi w końcu, jak to się stało? - Moja siostra mówiła już znacznie wolniej. Pewnie podziałało na nią to martini, które wytrąbiła. - Że jesteś, no wiesz, taka, jaka jesteś?

Odwróciłam wzrok.

- Kiedy indziej, Mary Lou.

- Nie dzisiaj?

- Nie. Nie dzisiaj.

Odwróciła się na barowym stolku, siadając vis - a vis mnie. Jej oczy w tej chwili już zaszklone, były duże i okrągłe. Nos miała drobniejszy od mojego, ale poza tym byłyśmy do siebie bardzo podobne. Wykapane siostry

- Jak ty to robisz? - zapytała.

- Co?

- Że wyglądasz tak normalnie. Zachowujesz się normalnie. Po prostu jesteś normalna. Cholera jasna, życie i

tak jest ciężkie, a tobie jeszcze coś takiego zważyło się zniecka na łeb. Jak ty sobie z tym radzisz?

- Radzę sobie, bo muszę - odparłam. - Nie mam innego wyjścia.

- Z miłości do swoich dzieci.

- Czasami nie widzę innego powodu.

- A Danny?

Nie powiedziałam jej o Danny'm. Jeszcze nie teraz. Nie musi wiedzieć, że mój mąż się mnie brzydzi, że ostatnio odwrócił się, gdy go całowałam, że robi, co tylko może, żeby mnie nie dotykać. Nie powiedziałam siostrze, że prawie na sto procent mnie zdradza, że moje małżeństwo to w zasadzie już przeszłość.

- Tak. - Odwróciłam wzrok. - Robię to też dla Danny'ego.

Weszłam pod prysznic i puściłam sobie taki ukrop, że ledwie mogłam wytrzymać. Dla większości ludzi byłoby to nie do zniesienia. Po przemianie moja skóra straciła nieco na wrażliwości, co poskutkowało tym, że musiałam się kąpać w coraz cieplejszej wodzie. Mojego męża już dawno przestały bawić wspólne prysznice. Najwidoczniej nie lubił, żeby mięso gotowało mu się na kościach.

Gorąca woda dobrze zrobiła moim obolałym mięśniom. Miałam trzydzieści siedem lat, ale wyglądałam na dziesięć mniej, a może nawet jeszcze młodziej. Na mojej bladej twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Skóra - jędrna. Zazwyczaj zimna jak lód, ale jędrna. Muskuly twarde, ale to akurat mógł być skutek ćwiczeń, których bynajmniej nie zaczęłam zaniedbywać, gdy w moim życiu zaszły zmiany. W końcu nigdy nie można zapomnieć całkowicie, kim było się kiedyś, a ja zawzięłam się, aby zachować chociażby odrobinę normalności. Ćwiczenia przypominały mi, kim jestem i o co się staram.

Wciąż jeszcze czułam w kościach bokerski trening, ale ból minął już niemalże całkowicie. Zdrowieję teraz szybko, niesamowicie szybko. To jest normalne u dziwolągów.

Podstawiłam plecy pod strumień gorącej wody, wyrzucając z głowy wszystkie myśli. Nie wiem, jak długo tak stałam, ale ni stąd, ni zowąd przed oczami pojawiła mi się zakrwawiona twarz Kingsleya Fulcruma wykrzywiona w grymasie konsternacji. Atak na niego był aktem wściekłej przemocy, czystej, skumulowanej furii. Adwokat musiał komuś podpaść. I to naprawdę mocno. Tamten zamachowiec w pewnym momencie przestał strzelać i spojrzał na niego z podziwem i trwogą - a w każdym razie ja zobaczyłam coś takiego na ziarnistym nagraniu. Jego mina mówiła: ile kulek mam ci jeszcze wpakować, żebyś w końcu umarł?

Opłukałam się z mydlanej piany, umyłam włosy szamponem, nałożyłam odżywkę. Nie mając nic więcej do zrobienia, marnowałam tylko wodę. Zakręciłam kran, wzdychając ciężko. Moja skóra promieniowała ulotnym ciepłem, co stanowiło miłą odmianę. Była zaczerwieniona i napuchnięta: cóż za niebiańska rozkosz... Tego dnia mieliśmy z mężem w planach wieczór we dwoje, poza domem. Dzieci zostaną z opiekunką. Ostatnio staraliśmy się częściej wychodzić razem. A przynajmniej ja się starałam częściej wychodzić z mężem, który bez wielkiego entuzjazmu godził się na moje propozycje.

Kiedyś, tuż po tym, jak przeszłam przemianę, Danny był dla mnie aniołem. Widząc cierpienie i zagubienie ukochanej osoby (czyli mnie), spieszył na ratunek jak jedyny wybawca.

Razem obmyśliliśmy, jak mogłabym pokazywać się ze swoją innością. To on wpadł na pomysł, aby mówić, że mam skórę pergaminową, rzadkie i zazwyczaj śmiertelne schorzenie genetyczne, mogące prowadzić do ślepoty i złośliwych nowotworów skóry. Tak odtąd tłumaczyłam swój wygląd i zwyczaje, a z czasem nawet moja rodzina pogodziła się z tym „faktem”. Owszem, kłamstwo bolało, ale nie widziałam innego wyjścia.

Danny pomógł mi zmienić pracę i rozkręcić prywatną agencję detektywistyczną, którą mogłam prowadzić z domu. Wyjaśnił dzieciom, że mama często musi spać w ciągu dnia i nie wolno jej przeszkadzać. Jemu też zawdzięczam kontakt z rzeźnią w Norco i regularne dostawy żywności.

Był cudowny, ale to już przeszłość; dzisiaj jest, jak jest.

Mieliśmy więc wyjść razem na kolację: ja zamówię krwisty stek i będę się starała dotrzymać mu towarzystwa, a on, jak zwykle, odwróci oczy. Trudno to nazwać typowym związkiem dwojga ludzi, lecz mimo wszystko jest to jakiś związek.

Już od jakiegoś czasu cieszyłam się na ten wieczór. Wpadła mi ostatnio w ręce książka o tym, jak być lepszą żoną, jak zrozumieć swojego mężczyznę, jak okazywać miłość poprzez drobne gesty. To niesamowite, że tak łatwo zapomnieć o tym, co jest konieczne, aby miłość w związku nie zgasła. Postanowiłam pokazać Danny'emu, jak bardzo jestem mu wdzięczna.

Oczywiście przeciętne małżeństwo nie musi się borykać z takimi problemami jak my, ale wiedziałam, że w ten czy inny sposób poradzimy sobie ze wszystkim.

Kiedy zadzwonił telefon, właśnie wycierałam się ręcznikiem. Wypadłam z łazienki do sypialni i podbiegłam do szafki nocnej, na której stał telefon.

- Halo?

- Hej, kotku.

- Danny!

Zapadła cisza. Instykt podpowiedział mi, że zaraz usłyszę coś niemiłego. Może to moja wyczulona intuicja? Zresztą nieważne, co to było.

- Nie wyrobię się dzisiaj - powiedział mój mąż.

- Ale Danny...

- Mamy po uszy roboty W tym tygodniu zaczyna się nowa rozprawa, a jesteśmy z nią jeszcze w lesie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Rozumiem - przytaknęłam. - Oczywiście.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham.

- Muszę już kończyć. Nie czekaj na mnie. To był nasz wspólny żart: ja, dziecko nocy, mogłam przecież czekać do samego rana. Danny odłożył słuchawkę.

Wieczór

Krażyłam w tę i z powrotem po korytarzu wejściowym. Mięśnie karku bolały, napięte i sztywne. Przez uchyloną zasłonę widać było rąbek tarczy zachodzącego słońca.

Nie zatrzymywałam się ani na chwilę. Oddychanie sprawiało mi trudność, jak zawsze o tej porze dnia. Każdy wdech i każdy wydech był świadomym wysiłkiem; zmuszałam się, aby napełnić płuca do samego końca.

Wdech, wydech.

Powoli.

Samantho Moon. Zachowaj spokój. Dasz sobie radę.

Mimo tych starań groziło mi, że ulegnę panice. To słońce tak na mnie działało. A raczej sama obecność słońca, bo dopóki ta cholerna żarówka wisiała na niebie, nie umiałam poczuć, że naprawdę żyję.

Kolejny rzut oka przez szparę w zasłonie. Świeci dalej, płonie pełną mocą.

Cholera jasna! Ziemia się zatrzymała? Czy to ma znaczyć, że jestem skazana na takie półżycie aż do samej śmierci?

Panika. Czysta, żywa panika.

Oddech.

Głęboko.

Z pełną świadomością.

Oparłam się o framugę drzwi i zamknęłam oczy, usiłując się opanować. Potarłam zesztyniały kark. W dalszym ciągu zmuszałam się do oddychania, z całej siły walcząc z paniką.

Wreszcie, po nieskończonej długim czasie, nadeszła ta chwila. Fala spokoju i radości, zrodzona gdzieś w okolicy splotu słonecznego, rozlała się po całym moim ciele, sięgając wszystkich kończyn. Przepęłniło mnie szczęście, czyste, żywiołowe szczęście płynące z poczucia nieograniczonych możliwości, które daje noc. Prawdziwy odlot, tyle że

stuprocentowo naturalny. A może właśnie nienaturalny? Otworzyłam oczy, aby wyrzeć przez okno. Słońce zniknęło za horyzontem.

Wyczułam to już wcześniej.

Dzieci pojechały z ciocią Mary Lou i jej rodziną do centrum gier i zabaw. Miałam wobec mojej siostry wielki dług. Danny został w pracy, bo musiał się przygotować do ważnej rozprawy Właściwie nic nowego.

Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, jak wiele rzeczy w moim życiu się psuje. Jadąc na południe autostradą numer pięćdziesiąt siedem, myślałam o tym, że jeśli Danny będzie teraz częściej siedział w pracy do późna, to zostanę zmuszona do zamknięcia agencji detektywistycznej. Kiedyś to on zostawał z dziećmi w domu. Teraz rzadko kiedy wracał na tyle wcześnie, żeby powiedzieć im dobranoc.

Przeraziła mnie myśl o tym, że mogłabym zostać bez żadnego zajęcia. Bezczynność, jak to mówią, prowadzi do złego. Przy pracy mogłam zapomnieć o tym, kim się stałam, zapanować nad potworną rzeczywistością, która przypadła mi w udziale.

Ktoś jednak musiał ustąpić, a wiedziałam, że z całą pewnością nie będzie to Danny, bo on już dawno postawił sprawę jasno: to jest mój problem i tylko mój.

Otworzyłam wszystkie okna w samochodzie. Wiosenny wieczór był ciepły i suchy. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni u nas padało. Lubię deszcz, zapewne dlatego, że mieszkam w południowej Kalifornii. Tutaj deszcz jest jak nieuchwytny kochanek, który zawsze pozostawia po sobie uczucie niedosytu. Być może na północy darzyłabym deszcz mniejszą sympatią. Nie wiem. Mieszkam tutaj od urodzenia.

Skreśliłam z autostrady na szosę dwudziestą drugą, kierując się w stronę Orange. Za zjazdem prowadzącym do

centrum, na Main Street, minęłam dużą galerię handlową i skręciłam w lewo, w Parker Avenue. Zaparkowałam samochód na parkingu pod największym budynkiem w okolicy.

Wjechałam windą na szóste piętro, gdzie powitała mnie ładna, ciemnowłosa recepcjonistka. Być może „powitała” to za duże słowo; szczerze mówiąc, nie wyglądała na szczególnie zadowoloną z naszego spotkania. Była młoda, około dwudziestu pięciu lat, i miała proste, jedwabiście lśniące włosy. Moje włosy też kiedyś lśniły niczym jedwab; teraz zwisały jak suche strąki. Dziewczyna miała na sobie sukienkę z różowej dzianiny, miękką i obcisłą, podkreślającą nienaturalnie obfity biust. Na mnie to nie działało, ale w końcu nie jestem facetem. Wyczułam w niej sporo niechęci, która wręcz biła we mnie falami. Szybko się domyśliłam, o co chodzi. Musiała zostać po godzinach - między innymi przeze mnie.

Posłałam jej swój najbardziej ujmujący uśmiech, uważając, żeby nie pokazać zębów. Na biurku stała tabliczka z nazwiskiem Sara Benson.

- Dobry wieczór, Saro. Nazywam się Samantha Moon. Mam spotkanie z panem Fulcrumem.

- Pan Fulcrum czeka w swoim gabinecie. Zaprowadzę panią.

Po drodze zdecydowałam się ją zagadnąć:

- Jak rozumiem, to ty będziesz mi dzisiaj służyć pomocą?

- Zgadza się.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczna. Z całą pewnością wolałabyś być teraz gdzie indziej.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo - odparła, zatrzymując się przed drzwiami szefa. - Proszę, pan Fulcrum czeka.

Kingsley Fulcrum pracował w przestronnym gabinecie położonym w narożniku budynku, zastawionym regałami z ciemnego drewna, na których tłoczyły się szeregi prawniczych tomów. Gdyby nie zamknięte żaluzje, z okien roztaczałaby się piękna panorama Santa Any i Orange. Na każdej możliwej powierzchni leżały grube pliki aktówek ściśniętych gumkami, a w rogu znajdował się nieduży, dyskretny barek ze zlewem i lodówką. Na kontuarze do mieszania drinków stała butelka whisky Jack Daniels, której dyskrecja najwidoczniej już nie obowiązywała.

- W godzinach pracy Jack na ogół do niczego się nie miesza - powiedział adwokat, wstając zza biurka, aby przywitać się ze mną. Trzymał moją dłoń nieco dłużej, niż przewidują zwyczaje, po czym dodał: - Pracuje pani w dość niezwykłych godzinach, pani Moon.

Cofnęłam rękę.

- Pan natomiast zadziwiająco szybko się goi. Rzeczywiście, już prawie nie było widać śladu

po postrzale nad jego lewym okiem. Wydawało mi się nawet, że blizna przesunęła się odrobinę w lewo, ale cóż, mama zawsze mówiła, że mam bujną wyobraźnię. Fulcrum zauważył, że mu się przyglądam, i szybko odwrócił głowę.

- Celnie - pochwalił. - Wypijemy za zdrowie dziwołagów?

- Jako dziwołag nie piję w pracy. - Nie musiał wiedzieć, że alkohol na mnie nie działa.

- A pozwoli pani, że ja się napiję?

- Pan chyba już zaczął, jak widzę? - odparłam, bo czuć było od niego alkohol.

- Niezły z pani detektyw.

- O tak, to rzeczywiście była trudna zagadka. Adwokat uśmiechnął się szeroko i minął mnie, podchodząc do barku.

- Proszę spocząć.

Najbliżej, naprzeciwko biurka, stał fotel dla klientów. Tyle że na siedzeniu leżało jakieś olbrzymie pudło.

- Mam usiąść na tym pudle, czy może na tamtym stosie aktówek? - zapytałam z lekkim przekąsem.

- Proszę wybaczyć - rzucił Fulcrum, nalewając sobie drinka. - Mamy ostatnio mnóstwo pracy i w biurze wciąż jest bałagan. Już to zdejmuję.

- Nie ma potrzeby. - Własnoręcznie odstawiłam ciężkie pudło na podłogę.

Adwokat wrócił za biurko ze szklanką koktajlową w dłoni. Przez chwilę obserwował mnie uważnie, a potem pociągnął łyczek burbona, mieniącego się bursztynowo w półmroku. Uwielbiam półmrok.

Odwzajemniłam mu się równie uważnym spojrzeniem, czując, że coś się święci.

- W tym pudle są cztery dwudziestokilogramowe talerze do sztangi - odezwał się wreszcie Fulcrum. - To razem osiemdziesiąt kilo. Plus trochę innych szpargałów - będzie ponad dziewięćdziesiąt.

- Do czego pan zmierza? - zapytałam, chociaż coś mi mówiło, że rozumiem go całkiem dobrze.

- To był test - odparł, wyraźnie z siebie zadowolony. - Test, który zdała pani z wynikiem pozytywnym. Albo negatywnym. Zależy, jak pani to widzi.

Milczałam, nie mogąc dobyć głosu z gardła. Zamiast mówić, patrzyłam na jego znikające blizny. Jeszcze nie tak dawno nadepnęłam przypadkowo na gruby odłamek szkła; skaleczenie zagoiło się całkowicie w ciągu zaledwie kilku godzin. W przeciwieństwie do mnie Kingsley Fulcrum miał zdrową, rumianą cerę. Poza tym przyjechał do mojego domu w środku dnia i nie musiał używać żadnej dodatkowej ochrony

przed słońcem. Nie był taki jak ja, ale fakt był faktem: przeżył pięć celnych strzałów w głowę.

- No cóż - uśmiechnęłam się lekko - gdyby to pudło ważyło bliżej stu, pewnie zrobiłabym sobie krzywdę.

- Pracuje pani wyłącznie nocą - podjął natychmiast. - Nakłada na skórę bardzo grubą warstwę kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Zauważyłem, że wszystkie okna w pani domu były szczelnie zasłonięte. Podniosła pani dziewięćdziesiąt kilo bez mrugnięcia okiem. Ma pani lodowatą skórę i cerę jak trup wykopany spod lawiny.

- To ostatnie to już czysta złośliwość - przerwałam mu.

- Proszę mi wybaczyć, ale to prawda.

- Do czego pan zmierza? - powtórzyłam. Adwokat odchylił się na oparcie swojego fotela i położył złączone dłonie na swoim płaskim brzuchu.

- Jest pani wampirem, pani Moon. Roześmiałam się głośno. On też. Mój śmiech był nerwowy, jego - znacznie mniej. Zbierając myśli do stanowczej, ciętej riposty, rozejrzałam się jeszcze raz po jego gabinecie. Na ścianie za biurkiem wisiała precudna fotografia księżyca w pełni, wykonana mocnym obiektywem teleskopowym. Obok monitora jego komputera stał srebrny model księżyca. Podpórki do książek na półce miały kształt księżyca w pierwszej i ostatniej kwadrze; zestawione razem dałyby księżyc w pełni. Na biurku zauważyłam też portret niesamowicie pięknej kobiety. Nad jej ramieniem wisiała okrągła srebrna tarcza.

- Ma pan obsesję na punkcie Księżyca - powiedziałam.

- I dlatego właśnie pani nazwisko zwróciło moją uwagę w książce telefonicznej - przytaknął adwokat, uśmiechając się szeroko. - Nie mogłem się powstrzymać, pani Moon.

Zapadła cisza. Wciąż uważnie go obserwowałam. Usta lekko rozchylone, ciężki oddech, wilgotny język oparty na

ostrych siekaczach. Jego twarz emanowała zdrowiem, witalnością i... dzikością.

- Pan jest wilkołakiem - odezwałam się w końcu.

Adwokat błysnął zębami w iście wilczym uśmiechu.

Kingsley Fulcrum podszedł do okna. Rozsunął żaluzje i spojrzał na otulone nocą miasto. Kiedy tak stał tyłem do mnie, mogłam do woli podziwiać jego szerokie bary.

- Czy wyobrażała sobie pani kiedyś taką rozmowę? - przerwał w końcu milczenie. - W najśmielszych snach?

- Nigdy.

- A mimo to żadne z nas nie zaprzeczyło zarzutom.

- Ani ich nie potwierdziło - dodałam.

I znów zapadła cisza. Zza okna dobiegał przytłumiony szum miejskiej ulicy. Przez szpary pomiędzy listwami żaluzji do gabinetu zaglądała krzepiąca ciemność. Czekałam na rozwój wypadków, ponieważ uznałam, że to najlepsza taktyka na nieznanym, niepewnym gruncie.

- Aby niepotrzebnie nie komplikować sprawy - powiedział, wciąż pokazując mi plecy - przyjmijmy, że pani jest wampirem, a ja wilkołakiem. Jakie płyną z tego wnioski?

- Dosyć oczywiste: muszę pana zabić.

- Żartuje pani, mam nadzieję?

- Owszem.

- To dobrze, bo niełatwo mnie zabić - odparł. - I nie dam się załatwić bez walki.

- Porządna walka? To jest coś, co lubię. Puścił to ostatnie zdanie mimo uszu.

- No dobrze. - Odwrócił się od okna, krzyżując ramiona na potężnej piersi. - Jak pani to odbiera?

- Odbieram? Co?

Zaśmiał się głośno, odrzuciwszy głowę do tyłu, jak prawdziwe zwierzę, dajmy na to, kojot - albo też wilk - wyjący do księżyca.

- Ten niespodziewany zgrzyt w naszej czysto zawodowej relacji?

- Jeżeli o mnie chodzi, to nadal jest pan moim klientem, a ja prowadzę prywatne śledztwo w pańskiej sprawie. Nic się nie zmieniło.

- Nic?

- Nic oprócz tego, że jak usłyszałam, uważa się pan za wilkołaka.

- Nie wierzy mi pani?

- Panie Fulcrum, wilkołaki są w bajkach.

- A wampiry nie?

Zaśmiałam się lekceważąco. A przynajmniej próbowałam.

- Nie jestem wampirem. Cierpię na dość rzadkie schorzenie.

- Które nie pozwala pani wychodzić na słońce - odparł z powątpiewaniem w głosie - zmusza do picia krwi i nadaje skórze trupa bladość. Nadludzką siłą fizyczną dysponuje pani również dzięki niemu.

- Nie powiedziałam, że to jest zwyczajne schorzenie. Dopiero je poznaję.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czy szanowna pani wie, jak nazywa się istota cierpiąca na takie schorzenie? Wampir. Czas najwyższy to obczaić.

- Obczaić?

- Tak chyba mówią teraz dzieciaki?

- Ile pan ma lat, panie Fulcrum?

- Nieważne - uciął. - Lepiej odpowiedzmy sobie na proste pytanie: wierzy pani, że jestem wilkołakiem?

- Nie.

- A w to, że pani jest wampirem?

- Nie - zaprzeczyłam po chwili wahania.

- W porządku. - Skinął głową. - Czy mąż panią zdradza?

- Skąd to pytanie?

- Zakładam, że zdradza - ciągnął dalej adwokat. - Boi się pani i nie wie jeszcze, co z tym dalej zrobić, zwłaszcza że macie dzieci.

- Zamknij się, Fulcrum.

- A ponieważ pani nie zaprzeczyła, pozwolę sobie na daleko posunięty wniosek: pani mąż to sukinsyn, który opuścił panią w najtrudniejszym momencie życia.

- Bardzo proszę, ani słowa więcej.

- I mogę pani powiedzieć jeszcze coś: on zabierze dzieci, a pani może stanąć na głowie, a i tak nie zdoła mu w żaden sposób przeszkodzić.

I wtedy coś we mnie wstąpiło. Zagotowałam się z wściekłości i wyskoczywszy z fotela, dopadłam adwokata, zanim zdążył chociażby poruszyć skrzyżowanymi na piersi rękami. Lewą dłonią błyskawicznie złapałam go za gardło, podrywając na równe nogi, i z całej siły przydusiłam do ściany. Za mocno. Roztrzaskał potylicą płytę gipsową. Gniewnie szczerząc zęby, spojrzałam mu prosto w oczy - a ten drań uśmiechał się do mnie od ucha do ucha, chociaż łeb miał wbity w ścianę, a włosy i ramiona zasypane białym pyłem!

- Zamknij się wreszcie, do jasnej cholery! - wrzasnęłam.

- Jasne. Nie ma sprawy. Wedle życzenia. Staliśmy tak długo: moja dłoń zaciśnięta na jego gardle, jego głowa do połowy wtłoczona w ścianę.

- Może mnie pani już opuścić? - zapytał wreszcie chrapliwym głosem.

- Opuścić? - powtórzyłam, tak samo chrapliwie.

- Właśnie tak. - Pokazał palcem. - Na dół.

Dopiero wtedy zauważyłam, że adwokat wisi w powietrzu, dziesięć centymetrów nad podłogą. Westchnąwszy z wrażenia, rozluźniłam chwyt. Jego głowa wyskoczyła z dziury w ścianie.

- Przepraszam - mruknęłam zakłopotana. - Wkurzyłam się.

Kingsley Fulcrum potarł sobie szyję.

- Proszę mi przypomnieć następnym razem, że nie wolno pani drażnić - powiedział, otrzepując się z pyłu, po czym otworzył drzwi gabinetu. - Aha, jeszcze jedno, pani Moon. Przykro mi to mówić, ale ewidentnie jest pani wampirem.

I wyszedł, mrugając do mnie swoim bursztynowym okiem.

Przez kolejne trzy godziny przeglądałyśmy razem z Sarą różne dokumenty Aby poprawić jej humor, bo wciąż była trochę nadąsana, zamówiłam kolację z chińskiej knajpy Kiedy kurier przywiózł jedzenie, ożywiła się odrobinę. Niektórym ludziom, aby się rozluźnić, potrzebny jest alkohol; jej najwyraźniej wystarczyły smażone pierożki won - ton.

Zjadłyśmy przy jej biurku. A właściwie ona jadła, a ja udawałam. Padło przy tym zaledwie kilka słów

Co ciekawe, zdjęcia na biurku dowodziły że Sara Benson umie się wyluzować, i to całkiem nieźle; można na nich było ją obejrzeć w bikini na jakiejś tropikalnej plaży, na górskim szlaku biegnącym przez gęsty las, na boisku do siatkówki, ostro ścinającą piłkę w ataku oraz w kostiumie pirata na biurowej imprezie halloweenowej: złote obręcze w uszach, przepaska na oku i czarne wąsy Na drugim planie stał Kingsley Fulcrum przebrany za wilkołaka. Śmiać mi się chciało.

- Grałaś w siatkówkę? - zagadnęłam ją.

- Tak, na studiach. Skończyłam Pepperdine. Trenowałam na olimpiadę.

- I co?

- Nie dostałam się do reprezentacji. Ale mało brakowało. Może następnym razem.

- Może - zgodziłam się. - Czy pan Fulcrum jest dobrym szefem?

Wzruszyła ramionami.

- Miły facet. Daje duże premie.

- Czego chcieć więcej? - rzuciłam wesoło. Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami i zajęła się jedzeniem. Spróbowałam z innej strony:

- Lubisz swoją pracę?

Trzecie wzruszenie ramionami uznałam za wskazówkę, aby na razie dać spokój z wciąganiem jej w pogaduszki. Być może musiała zjeść jeszcze trochę tych smażonych pierożków.

Przy kolacji przeglądałyśmy długą listę zamkniętych spraw, które kancelaria Kingsleya Fulcruma prowadziła w ciągu ostatnich sześciu lat. Było ich ogółem siedemset siedemdziesiąt sześć. Widać, że szef to niezły pracuś. Wyszukałam wśród nich te, którymi zajmował się osobiście. Zostało nam trzysta pięćdziesiąt trzy. Za dużo, wciąż za dużo. Wybrałam więc wszystkie procesy o brutalne przestępstwo, a w szczególności - o morderstwo. Takich spraw było dwanaście.

Poprosiłam Sarę o skopiowanie dokumentacji wszystkich tych procesów, a ona przewróciła oczami w odpowiedzi.

Gdy stałyśmy przy kopiarce, zaczęła rozmawiać ze mną nieco bardziej szczerze. Sama z siebie pewnie by się nie otworzyła, ale nieustannie bombardowana pytaniami, musiała w końcu ulec. Tak czy inaczej dowiedziałam się, że przyszła do kancelarii Fulcruma prosto ze studiów i początkowo bardzo lubiła z nim pracować. Ostatnio jednak to się zmieniło.

- Dlaczego? - zapytałam, mając nadzieję, że nie zbędzie mnie kolejnym wzruszeniem ramion. Telefon do chińskiej knajpy miałam pod ręką, w kieszeni, na wypadek gdyby potrzebna była awaryjna dostawa smażonych pierożków.

Przezorność okazała się zbędna. Sara ożywiła się nagle i opisała mi w szczegółach sprawę gwałciciela, którego Kingsley Fulcrum wyciągnął z więzienia, odkrywając, że ktoś sfałszował ślady na miejscu przestępstwa. Zakończyła takimi słowami:

- Pan Fulcrum to dobry człowiek, ale woli być dobrym adwokatem. I w tym cały problem.

W jej głosie było sporo wrogości. Praca szła nam sprawnie: podawałyśmy sobie dokumenty, przepuszczając je

przez kopyarkę. Sara była śliczną, młodą dziewczyną, taką, o jakich marzą faceci. Przewyższała mnie wzrostem, a jej piersi wyglądały na sztucznie poprawiane, ale w południowej Kalifornii jest to raczej norma, a nie wyjątek. W niej samej nie dostrzegłam natomiast najmniejszej sztuczności. Była autentyczna i szczerze zmartwiona. A ja nagle już wiedziałam, co jest tego powodem.

- Spotykałaś się z panem Fulcrumem. Poderwała głowę, zaskoczona.

- Słucham? Czy to on coś pani powiedział?

- Nie. To tylko przeczucie.

Sara podała mi kolejną teczkę. Otworzyłam ją, przerzucając szybko papiery w poszukiwaniu niewymiarowych kartek, które nie zmieściłyby się do maszyny. Dziewczyna skrzyżowała ramiona pod swoim wydatnym biustem i oparła się biodrem o kopyarkę.

- Tak, spotykaliśmy się przez jakiś czas - przyznała. - I co z tego?

- Czemu to się skończyło? - zapytałam.

- Proszę jego o to zapytać. To on ze mną zerwał.

- Dlaczego?

- Zadaje pani bardzo dużo pytań.

- Mam takie natręctwo - odparłam. - Chyba powinnam iść z tym do psychiatry

Oczy błysnęły jej wesoło i była już bliska uśmiechu, ale szybko się opanowała, przypominając sobie, że mnie nie lubi.

- Powiedział, że dla niego to wszystko między nami dzieje się za szybko. Że niedawno stracił żonę i nie jest jeszcze gotowy na poważny związek.

- Kiedy umarła jego żona?

- Kilka lat temu. Nie wiem dokładnie. - Sara wzruszyła ramionami. Najwyraźniej było jej to obojętne.

- Wciąż jesteś na niego zła? - zapytałam.

Ponowne wzruszenie ramion zakończyło rozmowę definitywnie. Dziewczyna przestała się odzywać. Tak, wydaje mi się, że wciąż była zła na swojego szefa.

Wreszcie udało nam się skopiować wszystkie dokumenty. Przy niektórych sprawach był to stos gruby na ponad dwadzieścia centymetrów. Być może gdzieś w tych papierach uda mi się znaleźć wskazówkę, podejrzanego, cokolwiek. A jeśli nie, to przynajmniej będę miała co robić przed świtem, zwłaszcza że ostatnio skończyłam najnowszą powieść Lynsay Sands o dwóch zakochanych wampirach. Urocze, a do tego zadziwiająco utrafiłone.

Załadowałyśmy wszystkie papiery do pudła, które zaniósłam do windy. Młoda asystentka wytrzeszczyła oczy z podziwem. Często widuję takie spojrzenia.

- Jezu, ale pani ma siłę... - westchnęła, kiedy weszłyśmy do windy.

- Pilates - wyjaśniłam. - Spróbuj, przekonasz się sama.

- Spróbuję - powiedziała. - Aha, miałam pani przypomnieć, że to wszystko są poufne dokumenty.

- Oddam za nie życie, jeśli będzie trzeba.

Noc była chłodna i rześka.

- Mam nadzieję, że znajdzie pani tego drania, który strzelał do Kingsa. - Uświadomiwszy sobie, jaką gafę palnęła, zaczerwieniła się jak burak; jej policzki zapłonęły żywą czerwienią w mdłym świetle parkingowych latarni. - To znaczy, do pana Fulcruma.

Uśmiechnęłam się, słysząc tę wpadkę.

- Ja też mam taką nadzieję.

Sara podziękowała mi za kolację, a potem jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale po namyśle zrezygnowała i popędziła do swojego samochodu. Patrzyłam, jak wsiada i odjeżdża. Kiedy ładowałam karton z dokumentami do swojego minivana, poczułam na karku delikatne mrowienie.

Zostawiłam pudło w spokoju i powoli odwróciłam głowę. W nocy widzę lepiej niż w dzień, więc bez problemu mogłam stwierdzić, że na parkingu oprócz mnie nie ma nikogo. Ale uwaga: po drugiej stronie ulicy, za kierownicą starego mercedesa, siedział jakiś facet i obserwował mnie przez lornetkę.

Zatrzasnęłam drzwi swojego wozu i ruszyłam ostentacyjnym krokiem przez parking. Przebiełam chodnik i wyszłam na ulicę.

Facet poczekał parę chwil, przyglądając mi się ze spokojem, a potem sięgnął do stacyjki; silnik ożył z głośnym warkotem, a reflektory zapłonęły jasno. Zanim dotarłam na środek ulicy, mercedes zatoczył łuk tyłem i pomknął przez parking, lekceważąc wszelkie zasady ostrożności. Wyjechał z drugiej strony, prosto na Parker Avenue i zniknął w bocznej uliczce. Czasu było mało, ale zdążyłam zauważyć dwie rzeczy:

Po pierwsze: nie miał tablic. Po drugie, to nie była lornetka.

To były gogle noktowizyjne.

Kiedy około wpół do jedenastej zadzwoniłam z samochodu do Mary Lou, aby podziękować jej za opiekę nad dziećmi, moje myśli krążyły wokół dokumentów na tylnym siedzeniu i noktowizora, przez który obserwował mnie kierowca mercedesa.

- Dzieci są jeszcze u mnie - poinformowała mnie siostra zaspanym głosem.

- Jak to?

- Danny ich nie odebrał.

- A zadzwonił chociaż?

- Nie.

Byłam na szosie numer pięćdziesiąt siedem, ale przejechałam swój zjazd, na Yorba Linda Boulevard, a potem jeszcze jeden i zatrzymałam się dopiero pod domem Mary Lou. Miło, kiedy rodzina mieszka w pobliżu, zwłaszcza jeśli ma się dzieci.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziałam, gdy stanęła w drzwiach. - Nie chciałam ci ich wciskać na całą noc.

- To nie twoja wina. Zresztą przecież wiesz, że je kocham. A co z twoim śledztwem? Posunęło się do przodu?

- Co nieco. - Skinęłam głową, postanawiając przemilczeć fakt, że zatrudnił mnie wilkołak. Powiedziałam jej za to o facecie z noktowizorem.

- Może to zwykły zboczeniec. - Mary Lou zmarszczyła brwi. - Ostatecznie nieźła z ciebie laska.

- Jak miło to usłyszeć z ust siostry... - rozczuliłam się.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie musisz się nim przejmować.

- Nie będę - obiecałam. - Potrafię o siebie zadbać.

- Wiem - odparła. - I to mnie właśnie martwi. Usadziwszy śpiące dzieciaki na tylnym siedzeniu, zadzwoniłam do kancelarii Danny'ego. Nie było go tam, więc nagrałam się na

automatyczną sekretarkę. Potem próbowałam go złapać przez komórkę; odebrał w ostatniej chwili, kiedy już miała włączyć się poczta głosowa. Był zaspany. Poczułam wyraźnie, że coś jest nie w porządku, a w mojej głowie odezwały się dzwonki ostrzegawcze. Próbowałam nie zwracać uwagi na ten alarm, ale po chwili chwyciły mnie nagle mdłości, których nie mogłam już lekceważyć.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- Musiałem zostać w pracy - odparł zachrypniętym głosem.

- Robiłeś pompki? - zapytałam, starając się uśmiechnąć.

- Przed chwilą biegłem po schodach. W łazience na moim piętrze jest awaria.

- Nie odebrałeś telefonu stacjonarnego.

- Przecież wiesz, że nigdy nie odbieram po godzinach.

- Kiedyś odbierałeś.

- Ale kiedyś nie miałem tyle roboty co teraz. Oddzwonię do ciebie później, dobrze?

- Mam lepszy pomysł: może byś tak wrócił do domu?

- Niedługo będę.

Z tymi słowami się rozłączył, a ja zostałam z komórką w dłoni, gapiąc się w nią jak sroka w gnat. To nie było możliwe, ale wydawało mi się, że pod koniec naszej krótkiej rozmowy dyszał mocniej niż na początku.

Po północy, kiedy zdążyłam przejrzeć już ponad połowę dokumentów przywiezionych od Fulcruma, Danny wreszcie raczył wrócić do domu. Zajrzał do mojego gabinetu i pomachał mi na powitanie. Widać było, że jest zmęczony: ciemna czupryna w lekkim nieładzie, krawat upchnięty do kieszeni. Przygaszone światło podkreślało coraz głębsze zmarszczki dookoła jego ust i pięknych jasnoniebieskich oczu, łypiących posępnie spod opadniętych powiek. Jego pełne wargi były stworzone do pocałunków, lecz ja nie mogłam się

już nimi cieszyć. Mój przystojny mąż w tej chwili nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

- Przepraszam, że nie odebrałem dzieci - powiedział, ale w jego głosie nie było słycać wielkiego żalu. Sprawiał raczej wrażenie, że ma to wszystko gdzieś. - Powinienem zadzwonić do twojej siostry

- W porządku. Jakoś jej to wynagrodzę - odparłam. Na płatku ucha Danny miał ślad szminki. Pewnie nie pomyślał, żeby sprawdzić w tym miejscu.

- Idę się wykąpać - rzucił - a potem spać. Jutro kolejny wielki dzień.

- Jasne.

Postał jeszcze przez chwilę w drzwiach, oparty o framugę. Chyba chciał coś powiedzieć, może wytłumaczyć się z tej szminki.

A potem poszedł sobie, ale zanim zniknął, dostrzegłam jeszcze jakiś błysk w jego oczach. Wyrzut sumienia. Ból. Konsternacja. To wszystko naraz. Nawet bez wyczulonego szóstego zmysłu widziałam jak na dłoni, że mężczyzna, który przez czternaście i pół roku był moim mężem, przestał mnie kochać. Wszyscy się zmieniają, to prawda. Tylko że jedni mniej, a drudzy bardziej.

Danny wyszedł spod prysznic, a po chwili skrzypnęły sprężyny w łóżku. Odłożyłam pióro, ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się cicho.

O trzeciej w nocy wyszłam z domu, żeby pobiegać na Harbor Boulevard. Skończyłam przeglądać dokumenty Teraz trzeba było się w spokoju zastanowić. Na szczęście miałam na to całą noc. Dla mnie życie wampira oznaczało conocną walkę z samotnością.

Przebrałam się w sportowy strój: dresy, bluza. Buty bez żadnych odblasków. Za często zatrzymywali mnie policjanci z ostrzeżeniem, że kobiety nie powinny uprawiać joggingu w środku nocy. Ciekawe, czy ostrzegaliby mnie tak samo, wiedząc, że jestem wampirem. Tak czy inaczej trzymałam się cienia, schodząc z oczu policji i ogólnie wszystkim innym.

Biegłam, starając się utrzymać porządne tempo, które w moim wypadku to już prawie normalny sprint. Czasami potrafię tak gnać całymi godzinami. Oczywiście bolą mnie potem mięśnie i muszę się długo moczyć w gorącej wodzie, ale i tak uwielbiam tę prędkość, mimo wszystko.

Kolejne metry Harbor Boulevard zostawały w tyle. Oddychałam równo, bez zadyszki. Mgła wisząca w powietrzu kleiła się do ziemi kropelkami rosy. Ręce chodziły mi jak tłoki, pomagając utrzymać równowagę na nogach bijących w ziemię nożycowymi ruchami. Ulica była jak wymarła, ani ludzi na chodnikach, ani samochodów na jezdni. Na skrzyżowaniu z Chapman Avenue skręciłam w prawo, mijając szkołę średnią i dwuletnią uczelnię wyższą. Wyloty kolejnych ulic migały mi w pędzie przed oczami. Zręcznie omijałam latarnie, ławki na przystankach i metalowe skrzynki, które chyba są potrzebne do sterowania światłami na skrzyżowaniach. Chyba. W każdym razie było ich sporo.

Nie musiałam uzupełniać płynów ani zatrzymywać się, aby zaczerpnąć powietrza. Przepęłniało mnie wyjątkowe poczucie wolności. Mogłam biec i nie czuć zmęczenia. W mieście zaległa cisza. Porywisty wiatr szumiał mi w uszach.

Byłam biologiczną anomalią. Organizmem udoskonalonym do granic absurdu. Kiedyś urządziłam mężowi pokaz swojej siły, a on, zachwycony, nazwał mnie superbohaterką.

Sierp księżyca wiszący na niebie przypomniiał mi o Kingsleyu Fulcrumie i jego lunarnej obsesji; właściwie to zrozumiałe, że wilkołak fascynuje się księżycem. Minęłam bezszelestnie całonocny sklepik z pączkami. Cukiernik, młody Azjata, poderwał głowę, wystraszony, ale nie zobaczył mnie już. Aromat pączków był kuszący, chociaż nieco mdły

Kingsley Fulcrum - wilkołakiem?

Potrząsnęłam głową, śmiejąc się pod nosem. Przecież to niedorzeczność. A jednak widziałam na własne oczy... No właśnie, co? Widziałam Fulcruma. Więc co się tutaj dzieje? Od kiedy hrabstwo Orange jest azylem dla nieumarłych? Ciekawe, kogo jeszcze mamy w okolicy. Skoro wilkołaki i wampiry naprawdę istnieją, to może też innych nocnych stworów nie należy wkładać między bajki? Może znalazłby się tu jakiś ghul albo parę goblinów? A może mój trener Jacky to w rzeczywistości stary, zrzędlivy irlandzki leprekaun?

Uśmiechnęłam się do siebie.

Na myśl o Kingsleyu Fulcrumie zrobiło mi się ciepło na sercu. Zaniepokoiło mnie to. Miałam przecież męża i z racji tego nie powinnam myśleć ciepło o żadnym innym facecie, nawet o takim, który jest wilkołakiem.

Nie powinnam - jeśli dalej chciałam mieć męża. A chciałam. Bardzo, bardzo chciałam.

Być może chodziło o to, że poczułam więź z drugą nadnaturalną istotą. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Dwójka wyrzutków, dwa stwory podporządkowane nocy - każdy na swój własny sposób.

Gdy zauważyłam zbliżający się samochód, uskoczyłam w boczną uliczkę, gdzie stały szeregiem same stare domy. Grube

gałęzie przesłaniały nocne niebo. Wyostrzony wzrok, pozwalający widzieć w ciemności, pomagał mi zręcznie omijać dziury w chodniku i garby wypchnięte przez korzenie drzew. W moich oczach ciemność była utkana miliardem roztańczonych srebrzystych drobinek, zamieniających mrok w nierzeczywisty, płynny, oblepiający wszystko poblask.

Skreśliłam w następną ulicę, potem w jeszcze jedną. Wiatr skowytał mi w uszach. Tutaj zaczynała się już mniej bezpieczna okolica; jej granicą była Bear Street, łącząca się z większą ulicą o nazwie Lemon. Ale ja akurat miałam w głębokim poważaniu złą sławę Bear Street.

Bezgraniczną odwagę można niewątpliwie zaliczyć do plusów życia po przemianie.

Nagle dał znać o sobie mój sygnał ostrzegawczy; najpierw w uszach odezwało się ciche buczenie, po którym, jak zawsze, przyspieszył mi puls. Czułam wyraźnie, jak serce obija się o żebra. To uczucie było już na tyle znajome, że mogłam mu zawierzyć, więc natychmiast zaczęłam szukać zagrożenia. I znalazłam je, za najbliższym rogiem.

Z plamy cienia przede mną wyłoniły się sylwetki trzech mężczyzn. Zwolniłam kroku, potem zatrzymałam się całkowicie. Wtedy zza nisko zawieszanej furgonetki zaparkowanej wprost na ulicy wyszło kolejnych czterech. Tuż obok znajdowało się szkolne boisko, puste i ciemne. Zupełnie jakbym odczytała ich myśli, przed oczami stanęła mi prognoza najbliższych chwil mojego życia, tak jak oni je widzieli: siedmiu facetów ciągnie kobietę nocą na opustoszałe boisko. A potem robią z nią, co chcą. I zostawiają, nie interesując się, czy żyje, czy umarła.

Jak to dobrze, że przyszłości nie da się przewidzieć.

Uśmiechnęłam się do całej siódemki.

- Cześć, chłopaki.

Miałam przed sobą czterech Latynosów, białego, czarnoskórego i Azjatę. Bandycki tygiel kulturowy. Przyjrzałam się dokładnie każdej twarzy. Prawie wszystkie lśniły od potu. Oczy - rozwarte szeroko z niecierpliwości i buzujące pożądaniem. Każdy szczegół rysował się wyraźnie jak na czarno - białej fotografii, fosforyzującej od upiornego srebrnego poblasku. Jeden z mężczyzn był wystraszony, wręcz przerażony: kręcił głową we wszystkie strony jak kurczak na kokainie. Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku, około trzydziestki - oprócz jednego, który wyglądał na pięćdziesiąt. Kilku miało włosy przyklepane z jednej strony, jakby dopiero przed chwilą wstali z pijackiego snu.

Śmierdziało od nich alkoholem i potem. W ostrej woni potu czuć było dosłownie wszystko, od strachu i podniecenia po złość i frustrację seksualną. Gdyby podłoga cuchnęła, to byłby właśnie ten zapach.

Przed szereg wystąpił niski Latynos. Na wysokości jego uda błysnęło ostrze noża sprężynowego, nieruchomiejąc z metalicznym szczękiem. Aby lepiej widziała, facet obrócił je tak, że wypolerowana powierzchnia odbijała skąpy blask księżyca. Miał około trzydziestu pięciu lat, ubrany był w długie džinsy i koszulę w szkocką kratę. Zauważyłam, że jak na gwałciciela jest zaskakująco przystojny.

- Nie drzyj się, bo zrobię ci kuku - odezwał się z ciężkim, obcym akcentem.

- No, no, ale romantycznie się zaczęło... - odparłam.

- Zamknij mordę, suko.

Nie spuszczałam z niego wzroku. Na resztę nie musiałam patrzeć. Czułam ich obecność i zapach.

- A co by wasze matki powiedziały - zapytałam - gdyby zobaczyły, jak w środku nocy dobieracie się w siedmiu do

samotnej kobiety? Nieładnie, nieładnie. Naprawdę powinniście się wstydzić, wszyscy

Mały Latynos spojrział na mnie wzrokiem, który nie odbijał żadnych uczuć, a potem zakomenderował krótko:

- Brać ją.

Wyczuwając za plecami ruch, obróciłam się i posłałam prosty cios, wyrzucając ramię na całą długość. Jacky byłby ze mnie dumny. Moja pięść trafiła napastnika prosto w gardło. Facet padł na ziemię, krztusząc się, charcząc i trzymając kurczowo za szyję. Pewnie go bolało jak diabli. Miałam to gdzieś.

Potoczyłam oczami po pozostałych, którzy zamarli w pół kroku.

- No więc, chłopcy, jaki był plan? Każdy chciał sobie podupczyć? Tak na kolejarza, w siedem wagoników? A potem co? Poderżnąć mi gardło i zostawić, żebym zdechła? Żeby cieć z tej szkoły znalazł mnie w którymś śmietniku? Za jedną noc marnej uciechy chcieliście zabrać moim dzieciom matkę?

Żaden nie odpowiedział. Patrzyli na swojego prowodyrę, tego zwinnego Latynosa ze sprężynowcem. Całkiem możliwe, że nie wszyscy mówili po angielsku.

- Daję wam jedną szansę. Możecie uciec - oznajmiłam. - Jak nie, to was pozabijam.

Nie skorzystali z szansy. Paru dalej oglądało się na tego z nożem, ale większość patrzyła na tarzającego się po ziemi kolegę, który wciąż trzymał się za gardło. Herszt bandy mierzył mnie wzrokiem, w którym ciekawość mieszała się z żądzą i nienawiścią.

I nagle rzucił się do ataku, tnąc z dołu do góry. Gdyby trafił, rozciąłby mnie na pół, od krocza po gardło.

Ale nie trafił.

Uniknęłam ciosu wychyleniem ciała i ostrze ominęło mnie całkowicie. Złapałam w przelocie wyciągniętą rękę z nożem i

skręciłam ją mocno na wysokości łokcia. Staw pękł z ohydny chrupnięciem. Sprężynowiec poleciał na chodnik, a ja złapałam nożownika za gardło. Zaczął się wyrywać, wrzeszcząc, dławiąc się i okładając mnie na oślep zdrową ręką. Jeden cios częściowo doszedł celu, trafiając w skroń, więc po prostu ścisnęłam mocniej i skończyło się wymachiwanie łapkami.

Facet zaczął sinieć na twarzy Bardzo ładnie.

Uniosłam go w górę i odwróciłam się, żeby pozostali mogli dobrze zobaczyć. Wytrzeszczyli z niedowierzaniem oczy.

- Możecie już wiać - poinformowałam ich.

Posłuchali. Rozbiegli się jak stadko kurcząt uciekających przed jastrzębiem, roztopili się w mroku nocy, zniknęli za żywopłotami i w ciemnych sieniach. Dwóch popruło przed siebie samym środkiem ulicy. Wreszcie został tylko ten najstarszy, pięćdziesięciolatek. W dłoni miał pistolet i mierzył mi w głowę.

- To mój siostrzeniec - warknął. - Puszczaj go.

- Jak to miło, że tradycja zbiorowych gwałtów i morderstw nie ginie w rodzinie - prychnęłam.

I puściłam jego siostrzeńca. Można tak powiedzieć. Bo w rzeczywistości zawinęłam nim z całej siły i cisnęłam prosto na troskliwego wujcia. Huknął strzał; hałas był potworny, aż mną zatrzęsło, a w uszach, które mam bardzo czułe, zakłuło jak jasna cholera.

Kiedy dym się rozwiął - rzecz jasna w przerośni - zobaczyłam, że wujaszek stoi z opuszczoną głową, a w wytrzeszczonych oczach ma zgrozę i niedowierzanie.

Nożownik leżał z rozrzuconymi rękami na betonowym chodniku. W piersi ziała mu dziura, z której lała się krew. Dookoła niego szybko rosła czarna, oleiście lśniąca kałuża.

Krew.

Coś we mnie drgnęło. Coś zdecydowanie nieprzyjaznego.

Starszy mężczyzna spojrzał na mnie, potem na siostrzeńca, wreszcie na pistolet, który ścisnął w dłoni. Na jego twarzy odbiło się przerażenie, z oczu trysnęły łzy. Uciekł w ślad za innymi, a zanim skryły go cienie, obejrzał się jeszcze przez ramię. Potem przeskoczył przez płot, za którym było czyjeś podwórko.

Zostałam sama na samą z latynoskim nożownikiem, który usiłował nakryć ranę prawą ręką, ale nie miał już siły i tylko kiwał nią nieporadnie.

- No cóż - mruknęłam, przyklękając obok niego. - Fajnych masz kolegów.

Gdy nachyliłam się nad nim, znieruchomiał i spojrzał na mnie martwymi oczami. Sprawdziłam mu puls. Serce przestało bić.

Huk wystrzału zaalarmował okolicę; w oknach pobliskich domów kolejno zapalały się światła. Spojrzałam jeszcze raz na zwłoki faceta z nożem.

Tyle krwi...

Byliśmy sami w alejce za jakimś blokiem.

Zbliżał się już poranek, ale niebo wciąż było czarne, tylko blade światło księżyca rozjaśniało nieco tę czerń. Przykucnęłam, wciśnięta pomiędzy śmietnik a stos złożony z trzech tak samo czarnych toreb pełnych różnego paskudztwa. W alejce wirował lekki wiatr, szeleszcząc plastikowymi torbami i bawiąc się włosami na mojej głowie, a także na głowie denata.

Po bieganiu zazwyczaj posilam się krowią krwią, która jest zanieczyszczona i ma mnóstwo wstrętnych domieszek. Zdarza się całkiem często, że aż mi się cofa. Jakbym brała udział w jakimś teleturnieju w rodzaju „Nieustraszonych”, tylko że na mnie nie czeka pięćdziesiąt tysięcy nagrody.

Przede mną leżał latynoski nożownik, gnojek, który zainicjował nieudaną napaść na mnie i próbę zbiorowego gwałtu. Zabrałam go i przeniosłam, zanim ktoś zdążył się zjawić na miejscu strzelaniny. Teraz leżał u moich stóp, martwy i upokorzony.

Powiodłam wzrokiem po jego piersi. Plama krwi na kraciastej tkaninie była prawie czarna.

Krew...

Szarpnięciem rozwarłam jego flanelową koszulę. Urwane guziki zagrzechotały o chodnik. Na piersi mężczyzny ciemniała skorupa gęstej, czerwonej cieczy, rozlanej szeroko jak morze. Rana przypominała czarny księżyc na niebie barwy cynobru.

Pił, więc we krwi miał alkohol. Może być. Nie potrzebuję czystszej, byle była prosto ze źródła: najlepszy pokarm na świecie. Chociaż nigdy nie wiadomo, co jest lepsze, a co gorsze. W końcu „najlepiej” by było, gdybym mogła odżywiać się czymś takim jak lasagne z indykiem.

Pochyliłam nisko głowę, przywierając wargami do głębokiej rany ziejącej w piersi tego człowieka, aby przełknąć pierwsze krople...

Gdy było po wszystkim, przeniosłam go z powrotem na miejsce, gdzie umarł, i zostawiłam, sama znikając na ciemnym boisku pobliskiej szkoły. Byłam pewna, że tam właśnie chcieli mnie zaciągnąć i zgwałcić.

Nadchodził świt, ale noc jeszcze nie ustąpiła. Na ulicach nie było nikogo, ani żywej duszy. Ciekawscy sąsiedzi wrócili do łóżek. Żaden policyjny patrol nie przyjechał, żeby sprawdzić, kto strzelał, do kogo i dlaczego. Najwidoczniej w tej okolicy strzelanina była zjawiskiem na tyle pospolitym, aby nie budzić zbyt wielkich podejrzeń.

Po bandytach, którzy mnie napadli, nie było już nawet śladu. Pewnie posrali się ze strachu. Nic dziwnego: ich prowodyr zginął z ręki własnego wuja. Rano każdy obudzi się z koszmarnym kacem i będzie prosił Boga, żeby to był tylko zły sen.

Ale Bóg nie wysłucha tych błagań: zamiast ukojenia znajdą zwłoki swojego herszta leżące na ulicy. Co będzie dalej - to mnie już średnio obchodziło. Raczej mało prawdopodobne, aby próbowali podawać mój rysopis policji, bo wyszłoby na jaw, co zamierzali ze mną zrobić.

Na wszelki wypadek znalazłam jednak w stojącym nieopodal śmietniku niedopitą puszkę piwa i zmyłam z piersi Latynosa ślad swoich ust. Niech patolog się potem zastanawia, dlaczego ktoś wylał piwo na ranę postrzałową.

Przystanąłam, ukryta w ciemności, a wszędobyłska, złudna mgła snuła się wokół moich nóg. Jeszcze raz przypomniałam sobie smak jego krwi.

Ależ to było dobre. Wyśmienita krew, a do tego jaka czysta. Tym się właśnie różni dobra czekolada od kiepskiej. Dobre wino od taniego sikacza. I dobra krew od podłej juchy.

Różnica była kolosalna.

Oddaliłam się, zostawiając za sobą szkolne boisko i całą tę podejrzaną okolicę. Niebo na wschodzie już powoli różowiało. Nie znoszę, kiedy niebo się różowi. Musiałam wracać jak najszybciej do domu; niedługo miało pojawić się słońce.

Czułam, jak z każdą chwilą opuszczają mnie siły.

Z żołądkiem pełnym krwi latynoskiego nożownika musiałam biec powoli, równym tempem, inaczej groziły mi skurcze. A potem, kiedy zaczęły mnie gryźć wyrzuty sumienia, chwyciłam się jednej myśli niczym koła ratunkowego na szarpanym przez sztorm oceanie:

On już nie żył, to nie ja go zabiłam...

On już nie żył, to nie ja go zabiłam...

Dzieci bawiły się w swoim pokoju. Danny został w pracy po godzinach, obiecał jednak, że wróci na czas, bo miał pojechać do szkoły na wywiadówkę.

Zobaczymy. Tak pomyślałam, słysząc tę obietnicę.

Przez dwie godziny siedziałam z Anthonym nad pracą domową z matematyki. Miał trudności z tym przedmiotem i wciąż wyładowywał na mnie złość. Jestem wampirem, ale czułam się tak, jakby ktoś wyssał ze mnie całą energię.

Trzeba jednak przyznać, że nauczyciel matematyki zadawał im co tydzień wprost nieprawdopodobną ilość pracy, chociaż to była dopiero trzecia klasa. Nie starczało mi czasu, aby pomóc Anthony'emu nadażyć z materiałem. Czy w tych szkołach ludzie nie zdają sobie sprawy, że matki chcą wieczorem trochę побыć ze swoimi dziećmi?

Siedziałam naburmuszona w swoim gabinecie. Był wczesny wieczór, a na dworze zerwała się ulewa. Od czasu do czasu podmuch wiatru chlastał deszczem prosto w moje okno. Telewizyjna pogodynka szalała z radości; od kilku miesięcy nie spadła ani kropla.

Lubię deszcz, bo pada na wszystkich jednakowo. Nie robi żadnych wyjątków. W czasie deszczu nawet taki dziwoląg jak ja może poczuć więź ze światem.

Nasłuchując bębnienia kropel o szybę i stłumionych, lecz radosnych głosów bawiących się dzieci, kończyłam przeglądać dokumenty przywiezione z kancelarii Kingsleya Fulcruma. Jedna ze spraw zapowiadała się obiecująco: uruchomiła mój wewnętrzny alarm, a ja już dawno nauczyłam się, że nie warto go lekceważyć.

Na pierwszy rzut oka była to sprawa całkiem typowa dla mojego zleceniodawcy. Fulcrum podjął się obrony niejakiego Hewletta Jacksona, oskarżonego o morderstwo męża swojej kochanki, i tak zręcznie wszystko poprowadził, że jego klient

odzyskał wolność dzięki drobnemu błędowi formalnemu: okazało się, że rewizję przeprowadzono, kiedy nakaz stracił już ważność, wskutek czego sąd uznał wszelkie dowody rzeczowe za niedopuszczalne. Kiedy odczytano werdykt, brat ofiary wpadł w szal i trzeba go było obezwładnić. Ale nie zaatakował rzekomego zabójcy; nie, rzucił się na adwokata.

Coś w tym było, rzeczywiście.

Nic więcej nie znalazłam. Jeden zrozpaczony człowiek, który sądził, że jego zamordowany brat nie doczekał się sprawiedliwości - i tyle. Mało, ale od czegoś trzeba zacząć.

Opadłam na oparcie fotela, gapiąc się tępym wzrokiem w papiery. Deszcz przybrał na sile, bębnił natarczywie o szybę. Zasłuchałam się w ten terkot, pragnąc, aby chociaż trochę wypełnił pustkę w moim sercu, i rzeczywiście uspokoiłam się odrobinę. Szybkie spojrzenie na zegarek powiedziało mi, że za godzinę w szkole zaczyna się wywiadówka. Danny jeszcze nie wrócił do domu.

Odepchnąwszy od siebie myśli o mężu, zalogowałam się do jednej z wielu dochodzeniowych baz danych, z których korzystam w pracy. Nazwiska zmarłego brata nie było w aktach sprawy, ale wystarczyło stuknąć kilka razy w klawisze, i już miałam komplet informacji.

O morderstwie napisali w lokalnej gazecie, wymieniając pozostałych członków rodziny. Rodzice nie żyli, ale było jeszcze dwoje rodzeństwa: Rick Horton i Janet Maurice. Kiedy zapisywałam te nazwiska, zadzwonił telefon. Serce zamarło mi w piersi.

Podniosłam słuchawkę.

- Cześć, kotku.

- Już jedziesz do domu, prawda? - zapytałam. Danny milczał przez chwilę, potem wziął głęboki wdech.

- Przepróż dzieciaki ode mnie - powiedział.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Sam je przeprosisz.

- Nie rób tego.

Ale ja nie posłuchałam. Zawołałam Anthony'ego i Tammy, po czym posadziłam ich przy telefonie, najpierw jedno, a potem drugie. Kiedy wyszli z mojego gabinetu, wzięłam słuchawkę z powrotem w dłoń.

- Nie powinnaś mieszać w to dzieci, Samantho - zwrócił mi uwagę Danny.

- Mieszać? A w co? Wyjaśnij łaskawie. Westchnął. A gdy skończył wzdychać, w słuchawce zabrzmiał szept jakiejś innej osoby. To była kobieta.

- Kto to tak do ciebie szepcze? - zapytałam.

- Nie czekaj dziś na mnie.

- Kto to jest...?

Ale on już się rozłączył.

Nie było szans, żebyśmy zdążyli na początek dnia otwartego.

Naszarpałam się z dzieciakami jak diabli, zanim udało mi się przygotować je do wyjścia. O zrobieniu obiadu już nawet nie chciało mi się myśleć. Zatrzymaliśmy się po drodze pod okienkiem w Burger Kingu.

- Co chcecie do jedzenia? - zapytałam przez ramię. Przed nami stały dwa samochody. Dzieci miały na sobie najlepsze ubrania; martwiłam się, że je pobrudzą, chociaż nic jeszcze się nie stało.

Zerknęłam w lusterko. Środkiem tylnego siedzenia biegła wytyczona przeze mnie niewidzialna linia. Każde jej przekroczenie oznaczało karę. Akurat właśnie Tammy była bardzo bliska naruszenia zakazu: drażniła się z bratem, robiła miny, pokazywała język. Anthony powoli dostawał szału. Widok był zabawny, ale musiałam coś zrobić.

- Tammy, wysunęłaś język za linię. Nie oglądasz dzisiaj telewizji i nie dostaniesz Game Boya.

- Aha! - zawołał Anthony, celując w siostrę palcem. Tammy pisnęła żałośnie.

- Mamo, to niesprawiedliwe! To był tylko język!

- Język też się liczy. Poza tym wiesz, że nie wolno drażnić się z bratem. - Podjechałam o jedno miejsce bliżej okienka. - Co chcecie do jedzenia?

Tammy powiedziała, że nic. Anthony poprosił o to, co zwykle: hamburgera bez żadnych sosów ani dodatków. Zamówiłam też porcję kurczaka w panierce dla Tammy

- Nie chcę kurczaka - sprzeciwiła się.

- Przecież lubisz.

- Ale nie jestem głodna.

- Więc możesz nie jeść, ale jeśli kurczak się zmarnuje, potrączę ci za to z kieszonkowego. Anthony, nie drażnij się z

siostrą - zwróciłam uwagę synowi, który odstawiał taniec zwycięstwa na tylnym siedzeniu, aż cały samochód się bujał. Miał się z czego cieszyć: siostra dostała karę, a jemu się upiekło. Każdy młodszy brat świętowałby taki triumf.

A potem chyba zaczęło mu się wydawać, że jest bezpiecznie, bo nie patrzę, i pokazał Tammy środkowy palec. Dziewczynka pisnęła płaczliwie, a ja parsknęłam śmiechem. Zanim odjechaliśmy spod okienka, oboje zdążyli zarobić dwudniowy szlaban na telewizję.

A gdy wyjeżdżałam już z parkingu pod Burger Kingiem, Anthony odwinął swoją kanapkę i zawył wniebogłosy:

- Dostałem z musztardą!
- Jezu... - jęknęłam pod nosem, robiąc zawrotkę i stając z powrotem w kolejce.

Po skończonej wywiadówce wróciliśmy do domu i zasiedliśmy sobie we trójkę na kanapie przed telewizorem. Leciała powtórka Sponge'a Boba. Szkoda, że widziałam już ten odcinek. Danny jeszcze się nie zjawił, nie spodziewałam się go zresztą w najbliższym czasie.

Wywiadówka przebiegła bez większych zgrzytów. Anthony zaliczył wszystkie przedmioty, chociaż słabiutko. Jego wychowawca powiedział, że powinien bardziej uważać na lekcji, a mniej zabawiać klasę. Tammy, o kilka lat starsza, zaczęła się już chyba oglądać za chłopakami. Stopnie miała idealne, z małymi wyjątkami, ale jej wychowawca skarżył się, że rozprasza innych uczniów: częściej kolegów niż koleżanki.

Płynął stąd wniosek, że moje dzieci lubią zwracać na siebie uwagę - może dlatego, że ja poświęcam im za mało czasu?

- Co tu tak śmierdzi? - zapytałam w pewnej chwili.

- Kto poczuł, ten wytoczył... - zachichotał Anthony.

- To pewnie ty - dogryzła mu Tammy - Zawsze kadzisz.

- Ty też!

- Wcale że nie! Dziewczynki nie kadzą.

- Aha, jasne! - krzyknął mały

- Ja nic nie czuję, mamusiu - powiedziała Tammy, puszczając jego wrzaski mimo uszu.

Obwąchałam im stopy i pachy Śmiechom nie było końca, a Anthony próbował powąchać też moje stopy

- Mamo, to ty! - parsknął. - Nogi nieładnie ci pachną!

- Nieprawda - powiedziałam. - Dziewczynom się to nie zdarza.

- Ty nie jesteś dziewczyną.

- Naprawdę?

- No to jak nie dziewczyną, to kim, matołku? - zapytała Tammy

- Damą - odparł Anthony.
- Dziękuję ci, kochany - Przytuliłam go. Był ciepłutki. -
Jak to pięknie brzmi: dama.

- Damie też mogą brzydko pachnieć nogi - dodał malec.
- No i się doigrałeś - prychnęłam i zaczęłam go łaskotać do upadłego. Skulił się w rogu kanapy, nogami spychając na mnie poduszki, a chwilę później Tammy w obronie brata skoczyła mi na plecy i w końcu wylądowaliśmy na podłodze, dźgając palcami każdy centymetr odsłoniętej skóry; wybuchła wielka łaskotkowa bitwa w stylu każdy na każdego.

Gdy było po wszystkim, wyciągnęliśmy się zdyszani na dywanie, a w telewizorze właśnie kończyła się kolejna wesoła podmorska przygoda Sponge'a Boba w słynnych kanciastych portkach.

- Mamo, dlaczego ty zawsze jesteś taka... zimna? - zapytał Anthony.

- Jestem chora - odpowiedziałam, zresztą zgodnie z prawdą: w pewnym sensie byłam ciężko chora.

- I niedługo umrzesz? - zapytał mój synek.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Będę żyć bardzo długo.

- Fajnie! - ucieszył się.

- A możemy się od ciebie zarazić? - zapytała Tammy, jak zwykle ostrożna.

- Nie - zapewniłam. - Nie możecie.

Nagle coś zakręciło mnie w nosie. Znów ten sam fetor. Z miejsca, gdzie leżałam, mogłam zajrzeć pod kanapę. Więc zajrzałam. I oto proszę: pod kanapą walą się skarpetka Anthony'ego zwinięta w kulkę. Była to wyjątkowo cuchnąca kulka. Wyciągnęłam ją końcem ołówka, trzymając jak najdalej od siebie, jakby to był odpad radioaktywny.

- Coś ci to przypomina, Anthony? - zapytałam. Malec wymamrotał przeprosiny. Kazałam mu wrzucić skarpetkę do

prania. Wstał posłusznie, a gdy wychodził, Tammy i ja wydawałyśmy przykające odgłosy w rytm jego kroków.

I to był błąd.

Anthony odwrócił się nagle i cisnął w nas tą brudną skarpetką. Przez kilka minut przierzucaliśmy się nią gorączkowo, śmiejąc się do rozpuku, aż rozboleły nas brzuchy.

Przed sześcioma laty padłam ofiarą wampira, niedługo zaś potem odkryłam internet i zawarłam pierwszą wirtualną znajomość.

Poznawałam sieć z perspektywy pasjonującego wynalazku, jakim jest czatroom. Trafiłam na kanał o nazwie „Dzieci Nocy”. Było tam śmiesznie, bo twórca strony dał jako tło animację pokazującą wampira, który krążył po zamku i podgryzał jego mieszkańców. Z trudem się nadażalo za rozmową, bo bez przerwy pojawiały się krótkie, pospieszne wpisy, ale jedno było pewne: wszyscy użytkownicy kochali wampiry całym sercem i duszą. A wielu z nich marzyło o tym, żeby samemu zostać wampirem.

W pewnym momencie na moim monitorze pojawiło się nowe okienko. Wiadomość prywatna. Chciał ze mną porozmawiać ktoś podpisujący się „Kieł950”. Napisał „Cześć”, a ja odpowiedziałam. Kolejnych kilka godzin minęło jak z bicza strzelił. Otworzyłam się przed tym kimś, przed tym Kłem. Uczucie było porywające. Opowiedziałam mu o wszystkim. Dosłownie o wszystkim. Zdradziłam najskrytsze tajemnice, nie dbając o to, czy mi wierzy, czy nie. Kto to był?

Nie miałam pojęcia, ale interesowało go to, co piszę. Zadawał pytania i nie próbował mnie oceniać. Idealny powiernik dla kogoś, kogo dręczy niepokój. A do tego - o naszej znajomości nie wiedział nikt. Absolutnie nikt. Miałam go tylko dla siebie.

Pora była już późna, a deszcz wciąż bębnił w szyby. Podsumowanie dnia: musiałam pojechać z dziećmi na wywiadówkę, a Danny nie wrócił do domu. Pożywiłam się już na noc, a teraz siedziałam w swoim gabinecie, osłabiona i lekko otępiała. Po jedzeniu zawsze robię się ospała, nie mówiąc już o wzdętym żołądku i mdłościach.

Na monitorze mojego komputera otworzyło się okienko prywatnej wiadomości, a z głośnika dobiegł krótki sygnał - plusk wody. To był on, Kieł.

Hej, Luna. Jesteś? „Luna” to była moja nazwa użytkownika; nie znał mnie pod innym imieniem.

Hej, Kieł, jestem. Co tam?

Nic nowego. A u ciebie?

Nic nowego. Zawsze to słyszałam. Kieł nie lubił mówić o sobie. Wiedziałam tylko tyle, że mieszka w Missouri i ma dwadzieścia osiem lat.

Zacząłam go więc wprowadzać w szczegóły swojego nowego zlecenia. Oczywiście bez żadnych nazwisk, ale on umiał posługiwać się komputerem i gdyby był ciekawy, sam dałby radę ustalić, o kogo chodzi.

Masz jakieś przeczucie na temat tej sprawy, którą znalazłaś w aktach?, zapytał.

Mam, odpowiedziałam. Intuicja podpowiada mi, że znalazłam jakiś trop.

Szkoda, że twoja intuicja nie jest bardziej konkretna.

Szkoda, zgodziłam się. Ale i tak pomogła mi rozwiązać niejedną zagadkę. Wyrobiłam już sobie tutaj niezłą reputację, ale myślę, że jestem trochę nieuczciwa.

Nieuczciwa?, zdziwił się Kieł.

Po chwili namysłu wyjaśniłam:

No wiesz, żaden prywatny detektyw nie ma szóstego zmysłu czy jak to tam nazwać.

Inni prywatni detektywi mogą pracować w ciągu dnia, odpowiedział. Ty masz tylko noc. Praktycznie rzecz biorąc, jesteś niepełnosprawna.

Gdzie tam niepełnosprawna. Daję sobie radę.

Wszystko jedno. Poza tym pamiętaj, że pomagasz ludziom, i to jest najważniejsze, a nie to, czy jesteś uczciwa

czy nie. Uczy się wynik. Sama kiedyś mówiłaś, że odrzucasz więcej zleceń, niż przyjmujesz, prawda?

Tak, odpisałam.

Jakich najczęściej nie bierzesz?, chciał wiedzieć.

Głównie zdrań małżeńskich.

A jakie przyjmujesz?

Poważne sprawy. Morderstwa. Zaginięcia.

W jaki sposób klienci do ciebie trafiają?

Zazwyczaj dostają moje namiary od policji. Jeśli wydział śledczy nie umie znaleźć winowajcy, czasem podsyła mi klientów. Wiedzą, że umiem rozwiązywać zagadki.

Jesteś dobra w tym, co robisz. Jesteś jak superbohaterka. Pomagasz tym, którzy nie mają się do kogo zwrócić o pomoc. Odpowiadasz na pytania, które ich dręczą.

Superbohaterka. Ktoś już tak na mnie mówił.

Deszcz nie przestawał padać. Słyszałam, jak Danny otwiera drzwi wejściowe, ale nie chciało mu się zajrzeć do mojego gabinetu; poszedł prosto pod prysznic. Pewnie musiał zmyć ślady po... po tamtej.

Są jednak takie pytania, na które nie powinno się odpowiadać, odpisałam po kilku minutach, kiedy zdołałam już zebrać myśli rozproszone powrotem męża.

To prawda, zgodził się Kieł. Tak czy inaczej twoi klienci mają poczucie, że sprawa została zamknięta.

Skinęłam potakująco głową i wystukałam:

Takie poczucie to cenna rzecz.

Owszem, odpisał. Dzięki tobie mogą się nim cieszyć. Więc jak: uważasz, że to ten zdesperowany braciszek zaczął się na twojego klienta ze spluwą?

Wydaje mi się to prawdopodobne. Zatrzymałam się na chwilę, a potem dopisałam: Powiedz mi, Kieł, czy ty naprawdę wierzysz, że jestem wampirem?

Pytałaś mnie o to już chyba ze sto razy.

I za każdym razem z pełną premedytacją zapominam, co odpowiedziałeś.

Tak, odpisał. Wierzę, że jesteś wampirem.

Dlaczego?

Bo tak mi powiedziałaś.

I uwierzyłeś mi?

Tak.

Zaczerpnęłam powietrza, po czym rzuciłam na łącze krótkie zdanie:

Wczoraj piłam krew zmarłego człowieka.

Po długiej ciszy nadeszła odpowiedź:

Czy to ty go zabiłaś?

Nie. Zginął kilka minut wcześniej. Napadli na mnie całą bandą, a jeden przypadkiem zastrzelił drugiego. Przypadkiem, bo mierzył do mnie.

Boże! Nic ci się nie stało?!

Nie miałam zielonego pojęcia, z kim właściwie rozmawiam, ale wiedziałam, że kocham tego kogoś.

Dziękuję za troskę, odpisałam. Nic mi nie jest. Nie wiedzieli, z kim zadzierają.

Oczywiście, skąd mieli wiedzieć? I co z tym, który zginął?

Wyssałam z niego tyle krwi, że nie mogłabym już przełknąć ani kropli więcej.

I znów długa chwila milczenia. Deszcz bębnił lekko o szybę.

Jak się z tym czułaś?, zapytał wreszcie Kieł.

Wtedy? Czułam się pokrzepiona. Nasycona. Spełniona. Odmłodzona.

Aż tak ci smakowało?

Nawet lepiej.

A teraz jak się czujesz?

Jestem przerażona.

Martwisz się, że tak bardzo smakowało?

Raczej nie, odparłam, ale uświadomiłam sobie, jak wiele tracę. Bydlęca krew jest obrzydliwa.

No chyba. Panujesz jeszcze nad sobą?

Tak. Jeszcze nigdy nie straciłam kontroli. Muszę tylko regularnie, co wieczór, pożywiać się krwią, którą mam w lodówce.

A co by było, gdyby skończył ci się zapas?

Nie chcę o tym nawet myśleć, odpisałam. Po tej pory nigdy się to nie zdarzyło i nie zamierzam do tego dopuścić.

Widzę, że wiesz, czego chcesz.

Zaśmiałam się pod nosem, poprawiając się na fotelu. Pociągnęłam łyk wody.

Poznałam wilkołaka, odpowiedziałam po chwili.

Powaga?

Powaga.

I jaki jest?

Na razie go jeszcze bliżej nie poznałam. Tajemniczy, z obsesją na punkcie księżyca.

To ma sens.

Jest adwokatem, dodałam. Bardzo dobrym.

Ho tak, nie można siedzieć cały dzień w domu.

Ani całą noc, zripostowałam.

Ha, ha. No dobrze, Luna, zrobiło się późno. Daj znać, jak ci się układa z tym wilkołakiem. Kiedy pełnia?

Za kilka dni. Sprawdziłam.

Słyszałaś ostatnio, żeby ktoś zginął w tajemniczy sposób, jakby zagryziony przez zwierzę?

Nie, nic takiego nie zarejestrowałam.

Może warto zacząć się tym interesować?

Racja.

Dobranoc, Luna.

Dobranoc, Kiel.

Jechałam autostradą numer pięćdziesiąt siedem w kierunku południowym. Nagle zadzwoniła moja komórka. Na wyświetlaczu pokazał się numer Kingsleya Fulcruma.

- Słyszała pani, co się stało? - zapytał przejęty.

- Słyszałam, że podobno jest pan wilkołakiem.

- Nie tak głośno, moja droga. Nie przez telefon. Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

- Może Wielki Brat? A może kosmici albo biuro antyterrorystyczne?

- Hewlett Jackson nie żyje. Mrugnęłam oczami z niedowierzaniem.

- Pana klient?

- Teraz już były klient.

- Ktoś go zamordował?

- Konkretnie: zastrzelił.

- Niech zgadnę... - zastanowiłam się. - Pięć strzałów w głowę?

- Blisko. Dziewięć.

- Jak widać, nasz morderca tym razem postanowił nie ryzykować.

- Proszę go znaleźć - powiedział twardo Fulcrum.

- Taki właśnie mam plan.

- Trafiła już pani na jakieś tropy?

- Tak. Na jeden.

- Tylko jeden?

- Wystarczy.

- Rozumiem - odparł. - No cóż, na policji mówili, że jest pani najlepsza, więc mam do pani zaufanie.

Zapadła cisza, przerywana tylko trzaskami zakłóceń na linii. Trwała jednak o chwilę za długo.

- Jest pan tam? - zapytałam.

- Jestem - odparł, a potem dodał: - Wie pani, że jutro jest pełnia?

- Wiem - przytaknęłam. - To co, mogę popatrzeć?

- Na co? - zdziwił się.

- No, wie pan... Na pana przemianę.

- Nie - uciał. - Ma pani chore upodobania.

- Nic podobnego. Mam tylko wilczy apetyt na wszelkie niezwykłości.

Fulcrum prychnął pod nosem. Widziałam niemalże, jak potrząsa swoją wielką, kudłatą głową.

- Słyszałem - zmienił temat - że w Fullerton policja znalazła zwłoki mężczyzny. - Zawiesił na moment głos. - W jego żyłach nie było ani kropli krwi.

- Nie tak głośno, nie przez telefon - zganiłam go. - Ale jeśli ma to pana uspokoić: to nie ja go zabiłam.

- Cieszę się.

Znowu cisza, szum i trzaski. Takie milczenie czasami bywa niezręczne, ale w rozmowie z Fulcrumem wydawało się zupełnie naturalne. No cóż, trzeba pamiętać, że byliśmy nieśmiertelni. Teoretycznie mogliśmy czekać całą wieczność.

Tym razem to adwokat przerwał ciszę:

- A dokąd to pani się wybiera o tak późnej porze?

- Dla mnie jest wcześnie. Jadę sprawdzić mój jedyny trop.

- Może pani o nim coś powiedzieć? Mogłam. I powiedziałam.

- Rick Horton. Pamiętam go - przyznał Fulcrum, kiedy skończyłam. - Jego brat zginął, a jedyny podejrzany wyszedł na wolność, bo policja nawaliła.

- Gdybym pana nie znała, mogłabym pomyśleć, że pan mu... współczuje?

- Tego bym nie powiedział.

- Co konkretnie zaszło tamtego dnia w sądzie?

- Rzucił się na mnie, ale bez wielkiego zapału. Głównie obrzucał mnie różnymi wyzwiskami.

- Do których, zdaje się, jest pan przyzwyczajony

- Jak to się mówi: gadaj zdrow - odparł krótko adwokat. - Zresztą tamten facet nie wyglądał na agresywnego.

- Niektórzy nie wyglądają.

- To prawda - przytaknął. - Wie pani, gdzie on mieszka?

- Mam jego adres. Została mi jeszcze garstka przyjaciół na wysokich stołkach.

- Świetnie. Proszę mnie informować o postępach w pracy.

- Życzę miłej zabawy jutro - powiedziałam. - Wrr! Wrr!
Auuu!

- Słaby dowcip - mruknął, ale mimo wszystko się roześmiał.

Odłożyłam słuchawkę, chichocząc pod nosem.

Ruszyłam dalej, najpierw autostradą numer dwadzieścia dwa, a potem na południe pięćdziesiątką piątką, z której zjechałam na Siedemnastą Ulicę w mieście Tustin, około piętnastu kilometrów od Fullerton. Tam, w ekskluzywnej dzielnicy, mieszkał Rick Horton. Kierując się wskazówkami z serwisu nawigacyjnego na Yahoo, dotarłam wreszcie do celu. Pod wskazanym adresem stał piętrowy dom w stylu neogotyckim. Rezydencja w sam raz dla wampira.

Domostwo Hortona, jak wiele innych w hrabstwie Orange, miało wygląd złowieszczy, upiorny i nawiedzony: ostre trójkątne łuki i żeliwne dachowe ozdoby, łupkowe gonty w kształcie rombu i las ceglanych kominów. Wznosiło się w głębi działki położonej na rogu ulicy. Otaczał je wysoki mur, gęsto zarośnięty bluszczem i zwieńczony grzebieniem żelaznych szpikulców, na które sam książę wołoski Wład, zwany Palownikiem, z pewnością raczyłby spojrzeć łaskawym okiem. Ściany domu wymurowano z ociosanego kamienia.

Stałam przy domofonie zainstalowanym obok bramy wjazdowej. Odebrał jakiś mężczyzna. Powiedziałam mu, że jestem prywatnym detektywem i chciałabym spotkać się z panem Hortonem. W głośniku zapadła cisza, a po chwili furtka uchyliła się z cichym szcękaniem. Pchnęłam ją i weszłam dalej. Zadbany trawnik przecinała ścieżka ułożona z czerwonej cegły. Ogólnie rzecz biorąc, ta posępna i romantyczna wiktoriańska rezydencja niezbyt pasowała do takiego miejsca jak miasto Tustin w Kalifornii.

Kiedy postawiłam stopę na ganku, otworzyły się drzwi wejściowe, zza których wyjrzał niski mężczyzna w okularach w masywnej oprawie.

- Zapraszam do środka - powiedział. - Jestem Rick Horton.

Weszłam do przestronnego holu. Po prawej biegly kręcone schody. Wysoki sufit był wypukło sklepiony, a wszędzie płonęły świece. W dzień musiało być tutaj ciemno jak w grobie, czyli idealnie dla drzemającego wampira.

Niepozornie wyglądający Horton otworzył przede mną łukowato zwieńczone drzwi, za którymi znajdował się salon. Widziałam w życiu zaledwie kilka prawdziwych salonów, ale każdy z nich był dokładnie tak oficjalny i reprezentacyjny, jak sugeruje nazwa. Salon w domu Hortona był obwieszony olejnymi pejzazami. Gospodarz wskazał mi zakurzoną łukową sofę w stylu chippendale. Usiadłam. Sofa stała naprzeciwko witrażowego okna w głębokim, trzystronnym wykuszu wychodzącym na trawnik przed domem. Za szybą we wzór karo widać było fontannę ogrodową: marmurową syrenę rozlewającą dookoła strumienie wody. Morska panna miała olbrzymie piersi. Nosiłaby miseczkę co najmniej rozmiaru F - fatalny rozmiar dla prawdziwej syreny. Tuż za oknem prężyły się trzy żłobkowane doryckie kolumny, podtrzymujące dach nad przestronną werandą.

Pan domu usadowił się naprzeciwko mnie w szerokim dwuosobowym fotelu obitym skórą, wprost stworzonym do pieszczot we dwoje. Tyle że ja nie byłam w nastroju do pieszczot. Rick Horton w każdym uchu nosił złoty kolczyk, pojedynczy okrągły ćwiek. Możliwe, że jestem staroświecka, ale był na oko o jakieś dwadzieścia lat za stary na ozdoby tego rodzaju. Miał na sobie pizamę w zieloną szkocką kratę. Sprawiał wrażenie samotnika. Nie zdziwiłabym się, gdyby był, na przykład, jakimś słynnym pisarzem.

- Mogę poprosić o okazanie licencji? - zapytał. Był chyba speszony, zdezorientowany; mrugał szybko, jakbym świeciła mu w oczy mocnym reflektorem.

Rzucił okiem na licencję, którą mu podałam. Nie cierpiałam tamtego zdjęcia. Wyglądałam na nim jak obłożnie

chora: blada, ziemista cera, włosy zaczesane do tyłu, zapadnięte policzki. Wypisz, wymaluj - wampir. Umalowałam się do zdjęcia, ale błysk flesza jakby przebił się przez warstwę makijażu. Sama fotografia wyszła nieostro, rysy twarzy zamazywały się lekko.

Horton rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Jeszcze ani razu nie zwrócił się do mnie per „pani”, ale dobrze, oszczędzajmy siły; postanowiłam mu tego nie wypominać.

- Szukam nieznanego sprawcy, który postrzelił bezbronnego człowieka.

- Tak? Kim jest ten człowiek?

- To mój klient. Kule trafiły go pięć razy w głowę. Mój rozmówca ani drgnął. Nawet nie zmienił wyrazu twarzy.

- Uważam, że to pan do niego strzelał, panie Horton - dodałam.

Taka inkryminacja skutecznie ucięła rozmowę. Zapadło ciężkie milczenie. Gdzieś w głębi domu tykał zegar szafkowy, a w pustych korytarzach ten miarowy dźwięk niósł się przeciągłym echem.

- Zjawiała się pani w moim domu, aby oskarżyć mnie o morderstwo? - zapytał Horton.

- O usiłowanie morderstwa - uściśliłam. - Mój klient nie zginął. Dzięki temu mógł mnie zatrudnić.

- Jak nazywa się pani klient? - zapytał, w żalospny sposób usiłując udawać oburzenie. Widać było, że nie ma do tego serca.

- Kingsley Fulcrum - odpowiedziałam.

- Ach tak, oczywiście. Ten adwokat. Widziałem w telewizji, jak chowa się za drzewem. Było to niezwykle zabawne. Żałuję, że nie zginął. Ale to nie ja do niego strzelałam.

Każde jego słowo, każdy szczegół wypowiedzi analizowałam na poziomie świadomym i podświadomym, czekając, kiedy odezwie się mój dar pozazmysłowej percepcji, zapewniający mi przewagę nad zwykłymi śmiertelnikami, ten głos prawdy, który podpowiada intuicji: „To ten!”. Czekają mnie jednak gorzkie rozczarowanie: głos prawdy milczał. Słyszałam tylko mdły szum własnej niepewności. Słowa Hortona brzmiały wiarygodnie, a jednak on sam nie wydawał mi się całkiem czysty. Coś tutaj było nie w porządku.

- Czy wynajął pan zabójcę, aby zastrzelił pana Fulcruma?
- zapytałam.

- Sądzę, że powinniśmy rozmawiać w obecności adwokata - odparł.

- Nie jestem policjantką.

- Ale może pani mieć mikrofon i nagrywać naszą rozmowę.

- Niczego nie nagrywam. - Miałam szósty zmysł, więc mikrofon był zbędny.

Horton wzruszył ramionami i usiadł wygodniej.

- Nie znam słów, aby wyrazić, jak bardzo się ucieszyłem, kiedy ten sukinsyn dostał za swoje. Należało mu się. Proszę mi wierzyć, gdybym to naprawdę ja strzelał, nie wyparłbym się tego. Niestety, nie mogę chwalić się czymś, czego nie zrobiłem.

- Czy wynajął pan kogoś, aby to zrobił, panie Horton?

- Uważa pani, że przyznałbym się do czegoś takiego?

- Nie, ale zapytać nie szkodzi. Czasem już sama reakcja na pytanie może wiele powiedzieć.

Nie było potrzeby mówić mu, jak wiele.

- Niech będzie. Odpowiem więc: nie zleciłem nikomu zamordowania mecenasa Fulcruma.

- Gdzie przebywał pan w dniu zajścia?

- A jaki to był dzień? Powiedziała mu.

- Byłem tutaj, w tym domu, jak zwykle. Ojciec pozostawił mi duży spadek. Nie pracuję. Głównie zajmuję się czytaniem i oglądaniem telewizji. Nie jestem, jak to się mówi, przebojowym charakterem.

- A ma pan alibi?

- Nie.

- Czy posiada pan pistolet kalibru dwadzieścia dwa?

Horton nagle poderwał głowę. Trafiony, zatopiony, pomyślałam.

- Czas już zakończyć tę rozmowę, pani Moon - oznajmił.

- Nie strzelałem do pana Fulcruma. Jeżeli policja zamierza przesłuchać mnie w tej sprawie, żądam, aby przy przesłuchaniu był obecny mój adwokat. Życzę dobrej nocy.

Wstałam, chcąc wyjść, ale zatrzymałam się jeszcze na chwilę.

- Hewlett Jackson nie żyje. Dzisiaj znaleziono jego zwłoki. Dziewięć strzałów w głowę.

Horton odetchnął głęboko. Na jego wargach zaigrał cień uśmiechu, a twarz przybrała wyraz głębokiej ulgi.

- Powtarzam - rzekł - policja może mnie przesłuchać, ale wyłącznie w obecności mojego adwokata.

Sama trafiłam do wyjścia i opuściłam ten upiorny stary dom. Lubię takie miejsca. Chyba jednak mam w sobie coś z wampira.

24

Hej, Kieł. Jesteś?

Jestem, Luna.

Rozmawiałam dzisiaj z podejrzanym, napisałam. Kontaktując się z kimś przez komunikator, najczęściej przechodzę od razu do rzeczy.

Pamiętam, że wymyśliłaś, kto mógł strzelać do twojego klienta. To był ten człowiek?

Tak. Tylko że teraz już nie mam pewności, że to on.

Kieł przez chwilę nie odpowiadał.

Coś ci nie pasowało?, odpisał wreszcie.

Sama nie wiem.

Pogubiłaś się.

Tak, przyznałam. Kieł sam miał cholernie czułą intuicję i potrafił niezwykle trafnie ocenić sytuację, którą mu opisywałam. Uwielbiałam to w nim. Me mimo wszystko wydaje mi się, że facet nie jest do końca czysty.

Może coś go łączy z tą sprawą.

Może. Kiedy zapytałam, czy ma broń, zobaczyłam u niego to, o co mi chodziło.

No i proszę. Nie musiał osobiście pociągnąć za spust, ale ktoś mógł strzelać z jego broni.

Niewykluczone.

Kolejna przerwa, tym razem jeszcze dłuższa. Zazwyczaj nasze rozmowy toczyły się szybko, jak to w internecie. Być może nawet szybciej.

Jest u mnie kobieta, odezwał się w końcu Kieł. Domaga się uwagi.

Baw się dobrze, odpisałam, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Taki mam zamiar. Niedługo pogadamy.

*

Czas na posiłek.

Poszłam do sypialni dzieci: spały już twardo. Zajrzałam nawet do Danny'ego. Kiedyś mój mąż spał tylko w bokserkach. Teraz kładzie się do łóżka w dresie i koszulce. Ma na to proste wyjaśnienie: nie lubi ocierać się o moją lodowatą skórę.

Lodowata skóra? Pocałuj mnie gdzieś. Nie prosiłam się o to.

Szłam cicho przez ciemne pokoje. Światła nie chciało mi się zapalać, bo po pierwsze, nie jest mi potrzebne, a po drugie - nie chciałam nikomu przeszkadzać. Danny przyznał mi się ostatnio, że woli nie myśleć o tym, jak snują się nocą po domu. Bo to podobno jest straszne. Tak powiedział: straszne. Mój własny mąż.

Pocałuj mnie gdzieś, mężu.

Weszłam do kuchni, przystając przed drzwiami spiżarni. Po chwili wahania sięgnęłam pewnie na jedną półkę, wiedząc, że znajdę tam... pudełko czekoladowych ciasteczek. Otworzyłam je. W środku błyszcząły dwa rzędy okrągłych paczuszek w srebrnej folii. Te cieniutkie jak błona opakowania były uderzająco piękne w swej prostocie.

Wyjęłam trzy sztuki z pudełka, czując, jak w ustach wzbiera mi potok śliny. Serce zaczęło walić jak szalone.

Usiadłam przy stole, aby odpakować pierwsze ciastko; folię zgmiotłam w małą srebrzystą kuleczkę. Leżało przede mną, oblane czekoladą, z kształtu podobne do hokejowego krążka. Na gładkiej powierzchni cmił odbity blask księżyca. Żołądek podjechał mi do gardła i wywrócił się chyba na drugą stronę; wszystko aż się we mnie skręciło.

Pierwszy kęs był niewielki, taki na rozpoznanie. Smak czekolady - czysta rozkosz, zupełnie jakbym w tej chwili miała orgazm. Co zresztą nie było wykluczone. Mocny, nieoczywisty i najprawdopodobniej sztuczny posmak ziaren

kakao, pozostawał w ustach jeszcze długo po przełknięciu pierwszego kęsa.

Nie było już dla mnie odwrotu.

Szybko skończyłam pierwsze ciastko i zabrałam się do drugiego. A potem trzeciego. Kiedy i z niego nie zostało już ani okruszyny rozsiadłam się na krześle. Tak musi się czuć prawdziwy żarłok. Kubków smakowych zostało mi tyle co nic, ale smak czekolady nie wiedzieć czemu, zawsze przebijał się prosto do mózgu.

Przez szczelinę w zasłonce nad zlewem widać było niebo zalane blaskiem księżycy. Następnej nocy miała być pełnia; srebrnej tarczy do pełnej krągłości wciąż jeszcze brakowało małego skrawka. Ciekawe, pomyślałam, czy taka niepełna pełnia działa jakoś na Kingsleya Fulcruma. Może wyrastają mu wąsy i baczki? Może zęby i paznokcie robią się odrobinę dłuższe?

Zaśmiałam się z tych pomysłów. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić i ponabijać się z niego trochę, ale była już druga w nocy. Samotna godzina.

W brzuchu zaburczało mi donośnie.

Zaczyna się, pomyślałam.

Ciekawiło mnie jeszcze coś innego: od jak dawna Fulcrum jest wilkołakiem? Przypomniałam sobie również, że oficjalnie nigdy się nie przyznał, że nim jest. Mógł być jakąś odrębną odmianą wilkołaka. Wilko - czymś tam. Albo może kicio - łakiem.

Poprawiłam się na krześle, aby złagodzić narastający w trzewiach ból. Nadchodziły skurcze, i to porządne.

Ile lat miał Kingsley Fulcrum? Skąd pochodził?

I nagle zgięłam się wpół, dysząc ciężko. Wstałam z trudem i dopadłam zlewu. Włączyłam wodę, a ciastka pędziły już z powrotem, rozpychając się z przeraźliwą brutalnością w moim przełyku.

Gdy było po wszystkim, otarłam usta i usiadłam na podłodze. Rzut oka na zegarek powiedział mi, że czekoladowe smakołyki przebywały w moim żołądku całe długie dziewięćdziesiąt trzy sekundy.

Chciało mi się płakać.

Nie sypiam w trumnie.

Mam własne łóżko i śpię w pościeli, przy zasłoniętych oknach. Kładę się, kiedy tylko wyprawię dzieci do szkoły a wstaję około dwóch godzin przed końcem ich lekcji. Gdybym mogła, spałabym do wieczora, ale jestem matką i nie ma dla mnie żadnego „gdybym mogła”.

Sypiam głęboko i zazwyczaj nie miewam snów. Regeneruję się przy tym w szczególny sposób, który trudno mi w pełni zrozumieć. Zanim zamknę oczy, zazwyczaj już kilka minut po tym, jak dzieci wyjdą do szkoły, dopada mnie śmiertelne znużenie. Nie przesadzam: czasami naprawdę wydaje mi się, że jestem bliska śmierci, a wtedy głęboki sen ożywia mnie, daje energię, przywraca siły Nigdy nie wyjaśnię zagadki jego nadprzyrodzonej mocy

Wystarczy, że się położę - i już śpię jak zabita. Ze snu wyrywa mnie dopiero budzik, ustawiony na maksymalną głośność. Wstaję niechętnie, bo czuję się wyczerpana, i w pełni zdaję sobie sprawę, że powinnam spać dalej i nigdy ale to nigdy nie otwierać oczu na jasne światło dnia. Mimo to podnoszę się z łóżka i wystawiam na dzienne światło, bo muszę być jak najlepszą matką dla moich dzieci.

Sny miewam rzadko. Ale miewam. Czasami śni mi się, że jestem olbrzymim ptakiem. Lecę bez pośpiechu, szeroko rozkładając swoje potężne skrzydła, powoli zagarniając nimi powietrze. Nigdy mi się nie spieszy

Czasem śnią mi się też moje dzieci. W tych snach zarażam je swoją chorobą, a one upodabniają się do mnie i zamieniają w krwiopijców, wyrzutek społeczeństwa żyjących w ukryciu, strachu i cierpieniu. Z takich snów najczęściej budzę się zapłakana.

Ale dzisiaj nie płakałam. Dzisiaj obudziłam się uśmiechnięta. Owszem, byłam jak zwykle wyczerpana i

przydałoby mi się jeszcze kilka godzin snu, ale mimo wszystko czułam w sercu radość.

Bo dzisiaj śnił mi się mężczyzna. Prawdziwy olbrzym, zwalisty i barczysty z grzywą gęstą jak u dzikiego zwierzęcia. Mężczyzna o oczach, w których księżyc przeglądał się bursztynowym blaskiem, i o szerokim uśmiechu, bardziej wilczym niż ludzkim. W tym śnie Kingsley Fulcrum szedł moim tropem przez ciemny las. Czasem widziałam go w postaci na poły ludzkiej, innym razem był już całkowicie przemieniony w wilka. Największego wilka, jakiego widziałam w życiu.

We śnie ukrywałam się przed nim, ale to była tylko zabawa; nie bałam się tego wilkoczłeka ani trochę.

Przystanęłam za grubym pniem potężnej sosny, a on tymczasem szukał mnie po całym lesie.

Ta nasza zabawa trwała w nieskończoność, a dodatkowo coś mi mówiło, że naprawdę możemy to robić bez końca, jeżeli tylko zapagniemy. Że nic nie może nam przeszkodzić. Nic i nigdy. W końcu wyszłam zza drzewa i przystanęłam na ścieżce biegnącej wśród drzew. Kingsley zbliżył się do mnie pod postacią człowieka. W jego bursztynowych oczach odbijał się przeraźliwy głód. Ja już nawet zapomniałam, że można czuć coś takiego. Wypchnęłam ten głód ze świadomości. Pogodziłam się z faktem, że nigdy więcej nie zobaczę go w niczyich oczach, że już zawsze będę budzić u innych wyłącznie odrazę i przerażenie, tak jak u Danny'ego.

Ale Kingsley był inny. W jego oczach obudziłam głód.

A co ważniejsze: oprócz głodu była w nich całkowita akceptacja.

Dopadł mnie długim susem, porwał w swoje potężne łapska, a gdy zgiał kark, ułowiłam kątem oka jakiś błysk. To był złoty amulet, ten sam, który dawno temu miał na szyi wampir, który mnie zaatakował. Chciałam zapytać Kingsleya,

co to jest i skąd to ma, ale on nachylił ku mnie twarz i zabrał mnie tam, gdzie nie spodziewałam się już zawitać.

I wtedy się obudziłam, z szerokim uśmiechem na ustach.

No, nieźle...

Chwilę później, oprzytomniawszy już całkowicie, podniosłam się z łóżka i chroniąc oczy przed słońcem wciskającym się przez szpary w żaluzjach, przeszłam do dużego pokoju, gdzie stał kredens z porcelaną. Sięgnęłam pod niego i wyciągnęłam pudełko, w którym spoczywał medalion ozdobiony trzema rubinowymi różami.

Otworzyłam pudełko i wzięłam medalion do ręki, obracając go w palcach. Na rewersie widniała maleńka plamka krwi. Nie zauważyłam jej wcześniej.

Dlaczego w moim śnie Kingsley nie chciał rozmawiać o tym medalionie? A skąd właściwie miałby o nim wiedzieć?

Zresztą, upomniałam się w myśli, to był tylko sen.

A tak w ogóle, skarciłam się, to dlaczego śnią ci się obcy faceci? Masz przecież męża. To się może źle skończyć.

Nawet bardzo źle.

Schowałam medalion z powrotem do pudełka i zamknęłam je, uśmiechając się szeroko. To był jednak niesamowity sen.

Zanim zaczęłam prowadzić nocny tryb życia, pracowałam w federalnym biurze do spraw rozwoju budownictwa miejskiego i gospodarki przestrzennej. Zajmowaliśmy się czymś zupełnie innym niż podobnie brzmiące sławniejsze Federalne Biuro Śledcze, ale i nam zdarzało się łapać przestępców: razem z moim dawnym kolegą przyskrzyniliśmy niejednego kombinatora z rynku nieruchomości, nieuczciwą firmę pożyczkową i innych kanciarzy żerujących na takich, którzy z trudem wiążą koniec z końcem.

Facet, z którym tam pracowałam przez dwa lata z małym hakiem (dopóki sytuacja nie zmusiła mnie do przejścia na nocną zmianę), nazywał się Chad Helling. Zrozumiał, kiedy poinformowałam go, że odchodzę. To znaczy, uwierzył w wyjaśnienie, które mu podałam.

Pozostaliśmy w kontakcie: on udostępniał mi wszelkie możliwe dane z archiwów federalnych, a ja w czynnie społecznym badałam dla niego różne sprawy.

Odebrał telefon już po trzecim dzwonku.

- Hej, słoneczko - zabrzmiał w słuchawce jego głos.

- Słoneczko?

- Przepraszam. Źle się wyraziłem. Co nowego?

- Chciałam cię poprosić o pomoc.

- To akurat nic nowego - zauważył. Puściłam to mimo uszu.

- Niejaki Rick Horton - zaczęłam prosto z mostu. - Mieszka w Tustin. Muszę się dowiedzieć, czy na to nazwisko jest zarejestrowana broń palna, a konkretnie pistolet kalibru dwadzieścia dwa.

- Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko.

- Załatwione, słoneczko.

- Głupi jesteś - warknęłam, ale Chad zdążył się już rozłączyć.

Był już późny wieczór. Zadzwoiłam do kancelarii Kingsleya, ale dowiedziałam się tylko tyle, że jest chory i nie pojawił się tego dnia w pracy; nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że księżyc miał dzisiaj wzejść w pełni. Wystukałam jego numer domowy; tym razem musiałam czekać tylko jeden sygnał.

- Dziś wielka noc! - zawołałam, nie czekając na „halo”. - Wrr, wrrr, auu!

- Kto mówi? - odezwał się jakiś sztywny, wyniosły głos.

Oj! Pomyłka!

- Eee... Nazywam się Samantha Moon. Czy mogę rozmawiać z panem Fulcrumem?

W słuchawce zapadła cisza, ale wydawało mi się, że gdzieś w oddali słychać jakieś hałasy. Może to wyobraźnia płatała mi dziwne figle, ale... Niech to cholera, to brzmiało jak wycie psa.

Albo wilka.

- Jaśnie pan jest w chwili obecnej... niedysponowany. Przekażę, kto dzwonił.

Jaśnie pan?

- Serdecznie dziękuję - odpowiedziałam, siląc się na taki sam dystyngowany ton, ale chyba jednak wyszło trochę za bardzo „ę, ą”. Mój rozmówca pierwszy odłożył słuchawkę.

Niemalże natychmiast zawibrowała komórka, którą wciąż trzymałam w drugiej dłoni. Zerknęłam na wyświetlacz. Dzwonił mój dawny kolega z pracy.

- Na nazwisko Rick Horton jest zarejestrowany pistolet kalibru dwadzieścia dwa - zameldował agent specjalny Helling. - Ale skoro już o tym wiedziałaś, to po co dzwoniłaś z tym do mnie?

- Nie wiedziałam. Domyśliłam się.

- Całkiem trafnie. Przydałby nam się w firmie ktoś taki jak ty Szkoda, że pracujesz w takich dziwnych godzinach.
- Dzięki, Chad. Jestem ci winna przysługę.
- Albo i dwie. Przestałem już liczyć.

Dochodziła osiemnasta trzydzieści. Dzieci poszły pobawić się do sąsiadów.

Ja pracowałam w swoim gabinecie, przeglądając notatki i nagranie z zamachu na Kingsleya Fulcruma. Patrząc, jak próbuje uchylać się przed kulami, mimo woli śmiałam się w głos. Był nieśmiertelny, ale każdy taki postrzał musiał boleć jak jasna cholera. Rany z pewnością były na tyle poważne, że przez jakiś czas nie mógł normalnie funkcjonować.

Zatrzymałam nagranie w momencie, gdy najlepiej było widać zamachowca. Niestety, obraz był mocno ziarnisty, więc nawet jeśli to Rick Horton strzelał do Fulcruma, to i tak nikt by go nie rozpoznał. Zamachowiec miał na sobie prostą, zwyczajną bluzę sportową i czerwoną czapkę z daszkiem. Wydawało mi się, choć nie miałam całkowitej pewności, że jego wąsy są sztuczne. Za bardzo rzucały się w oczy, a w pewnym momencie nawet się dziwnie przekrzywiły, jakby klej puścił. W policyjnym protokole też była wzmianka o tym.

Ustaliłam już, że Horton ma pistolet kalibru dwadzieścia dwa, czyli taki sam, z jakiego strzelał zamachowiec. Co z tego wynikało? Niezbyt wiele, lecz na początek dobre i to.

Byłam niewyspana, a niepokój gryzł mnie jak wampir.

Wreszcie wzruszyłam ramionami - które o tej porze dnia wydawały się co najmniej dwa razy cięższe niż zwykle - i odruchowo potarłam obolały kark, lecz ból, jak zwykle, uciekał mi spod palców. Jakbym próbowała złapać rybę gołymi rękami. Zaczęło się to po napaści i przemianie: czułam dziwną tkliwość w najdziwniejszych miejscach.

Może tak właśnie czuje się trup?

Potem znalazłam w sieci artykuł o śmierci Hewletta Jacksona. Dawny klient Kingsleya Fulcruma dostał dziewięć kulek, wszystkie prosto w twarz. A ponieważ nie był wilkołakiem, szybko umarł. Ciało znaleziono w jego

samochodzie, na parkingu pod obskurnym barem, który miałam nieprzyjemność znać osobiście. Ofiara nie została obrabowana; to było po prostu zuchwałe morderstwo.

Co ciekawe, do tej pory nikt jeszcze nie powiązał śmierci Jacksona z zamachem na Fulcruma.

Może więc jednak mój nos mnie zawiódł i to był niewłaściwy trop.

A czy wilkołaki mają czułe nosy, tak jak psy?

Opadłam na oparcie fotela, wędrując wzrokiem po suficie. Pajęczyna wisząca w jednym rogu kołysała się lekko, chociaż nie czułam żadnego przeciągu. Chyba powinnam tutaj kiedyś posprzątać. Do zachodu słońca pozostało już tylko kilka minut. Niebo gasło leniwie, niechętnie, co z kolei odbijało się na moim samopoczuciu: byłam niespokojna, oddychałam płytko i z trudem. Ogólnie: bez kija nie podchodź.

Kiedyś uwielbiałam słońce. Teraz widziałam w nim już tylko wroga.

Stało się dla mnie tym, czym kryptonit dla Supermana.

Położyłam dłoń na poręczy fotela, wystukując nerwowy rytm. Palce miałam krótkie, a paznokcie - grube i lekko zaostrome. Nie dawały się w ogóle obcinać. Same przybierały taki kształt, a potem jakby przestawały rosnać.

Znów zaczęłam się zastanawiać, czy to Horton zlecił morderstwo Fulcruma.

Coś tutaj jednak nie grało. Żaden płatny zabójca z prawdziwego zdarzenia nie zaatakowałby tak na chama, w biały dzień, w zasięgu kamer, przed wejściem do sądu. Nie ma mowy. To była demonstracja. A co ważniejsze, zamachowiec nie dbał o to, czy go złapią. Tego byłam pewna na sto procent. Jasne, zakamufłował się, a konkretnie - idiotycznie ucharakteryzował, ale nie liczył na to, że uda mu się uciec. Tak czułam w głębi serca.

A jednak uciekł.

Nagle ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Wstałam z fotela. Nogi wciąż lekko mi drżały, bo słońce nie zniknęło jeszcze za horyzontem. Wolnym krokiem przemierzyłam cały dom, aby otworzyć frontowe drzwi.

Na progu stał detektyw Sherbet z wydziału śledczego policji w Fullerton. W dłoni trzymał torbę z paczkami.

Usiedliśmy w dużym pokoju: ja na fotelu na biegunach, który odziedziczyłam po babci, policjant na sofie stojącej naprzeciwko. Do zachodu słońca wciąż pozostało jeszcze dobrych kilka minut, więc czułam się bezbronna. Mój umysł pracował na wolniejszych obrotach, poruszałam się ospale. Czułam się jak zwykła śmiertelniczka. Zmusiłam się, aby skupić uwagę na siedzącym przede mną detektywie.

A tymczasem detektyw wyciągnął w moją stronę papierową torbę.

- Jest na Orangethorpe Avenue taka cukiernia, gdzie o tej porze smażą świeże pączki - zachwalał.

Zajrzałam do środka i żołądek podskoczył mi do gardła.

- Widzę, że kultywuje pan stereotyp gliniarza jedzącego pączki - zauważyłam.

- Kultywuję? Ja go uosabiam! - Zaśmiał się sam do siebie.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, ile ich w życiu zjadłem. I jakoś nie szkodzą! Mam sześćdziesiąt siedem lat, a wciąż znakomicie się trzymam.

Porządny kęs słodkiego ciasta zniknął w jego ustach. Odwróciłam wzrok.

- Nie wygląda pani najlepiej - zauważył. - Czyżby za wczesna pora? Specjalnie wybrałem się w czasie, kiedy słońce zachodzi, pamiętając, że cierpi pani na chorobę skóry. Mogę wiedzieć, co to za choroba?

Powiedziałam mu.

- Aha, no właśnie - mruknął. - Poczytałem sobie trochę na ten temat.

- Naprawdę?

- Tylko proszę nie myśleć, że panią sprawdzam. Nic z tych rzeczy, zapewniam. Po prostu bardzo lubię ciekawostki. Zawsze taki byłem.

Skinęłam potakująco głową. Sprawdził mnie, to jasne.

- Tak czy inaczej - ciągnął dalej detektyw - jest to podobno bardzo rzadkie schorzenie. Częściej występuje u dzieci niż u dorosłych... - Zawiesił głos.

- No cóż, ja na ogół do wszystkiego dochodzę powoli. Zawsze taka byłam.

Nie miałam specjalnej ochoty na pogawędkę. W głowie dźwięczał mi sygnał alarmowy, tylko że byłam zbyt otępiała, aby zrozumieć z jakiego powodu.

- W czym mogę pomóc, panie detektywie?

- Po prostu byłem ciekawy, jak pani idzie ze śledztwem. Bo my robimy postępy. - Zaśmiał się znowu.

- My też - poinformowałam go.

- Wpadła pani na jakiś trop?

- Jeszcze nie.

Niechętnie dzielę się informacjami z policją. Muszę być na to gotowa. Gdybym potrzebowała pomocy, sama przyszedłabym do Sherbeta.

Detektyw skończył pączka i oblizał palce, co nie na wiele się przydało, bo zaraz potem znów zanurzył rękę w torbie. Tym razem wyłowił z niej ciastko z cynamonem. Uśmiechnął się, zadowolony z wyboru, i szybko chapnął pierwszy kęs.

Oddychałam powoli, ostrożnie. Płuca jakby mi się skurczyły. Strasznie trudno było porządnie nabrać powietrza.

Policjant obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak. Po prostu jest jeszcze zbyt jasno.

- Okna są zasłonięte. Siedzimy tutaj praktycznie po ciemku.

- Każda ilość światła może mi zaszkodzić. - Gestem dłoni wskazałam ostatnie, wątle promyki przebijające się przez szpary w zasłonach.

- Jest pani bardzo wrażliwa.

- Owszem, bardzo.

- W zeszłym tygodniu w Fullerton zginął młody mężczyzna - oznajmił detektyw, odgryzając kolejny kęs ciastka. Nie patrzył przy tym na mnie, ale gdzieś w bok. - Wykrwawił się prawie do ostatniej kropli. Kłopot w tym, że patolog nie wie, co się stało z jego krwią.

- To znaczy?

- To znaczy, że facet zginął od kuli z broni palnej, ale na chodniku, gdzie leżał, nie było ani kropli krwi. I tak samo nie było krwi w jego żyłach. - Tym razem Sherbet już się nie śmiał.

- Może wykrwawił się gdzie indziej?

- Może. - Detektyw znów wgrzyzł się w swoje ciastko, z którego osypał się cynamon, połyskując w ukośnych promieniach słońca przebijających się przez zasłony - Nikt nie wie, kto go zabił. Nikt nic nie słyszał. Więc muszę dążyć. Rozumie pani, taką mam robotę. Ustaliłem, że to był znany w okolicy gangster, ma u nas grubą teczkę. Nazywał się Gilberto. Rozmawiałem z jego kumplami. Podobno tamtej nocy urządzili sobie imprezkę, ale nic więcej nie chcieli mi powiedzieć. Zdaje się, że zginął już po zakończeniu zabawy - Urwał na chwilę. - A potem znaleźliśmy to.

Detektyw oblizał palce, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął fotografię pistoletu.

- Dzieciaki znalazły go w krzakach kilka przecznic dalej. Zrobiliśmy analizę i okazało się, że z tej samej broni zastrzelono naszego gangstera. Zdjęliśmy też odciski palców. Czyje? Ano wujka biednego Gilberta, niejakiego Eliasza. Znalazłem go i przycisnąłem z lekka, a on powiedział, że strzelał w obronie własnej.

Detektyw znów zajrzał do swojej torby. W moim gabinecie panowały spokój i cisza. Twarz policjanta kryła się w półmroku. Papier szeleścił przy wyławianiu następnego ciastka z koleji.

- No więc przycisnąłem Eliasa jeszcze trochę. Porządnie założyłem mu za skórę. Może mi pani nie wierzyć, ale kiedy chcę, potrafię być naprawdę ostry.

Wierzyłam mu.

- I tak - mówił dalej - Elias opowiedział mi wszystko. Sprawdziłem potem, czy tę wersję potwierdzają jego kumple, którzy byli z nim i jego siostrzeńcem tamtej nocy. Potwierdzili. - Detektyw znowu zawiesił głos i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. W ciemności białka jego oczu lśniły jasno. - Było tak: bawili się w najlepsze, a tu nagle na ulicy pojawiła się jakaś kobieta. Wyszła sobie pobiegać, w środku nocy, kto by uwierzył? Ale mam zeznanie jednego smarkacza, że tak właśnie było, a imprezującym kolegom zachciało się zbiorowego gwałtu. Co, niestety, źle się skończyło. Wręcz dramatycznie.

Milczałam.

- Okazało się, że zaczepili prawdziwą tygrysykę. - Sherbet zachichotał cicho, zabierając się z wigorem do następnego ciastka, klasycznego pączka w czekoladowej polewie, którego zaczął ogryzać od zewnątrz. - Spuściła im straszny łomot. Jak jakiś komandos.

Chciało mi się śmiać. Nie bardzo zrozumiałam, o co mu chodziło, ale zabawnie to brzmiało. Detektyw mówił dalej:

- Podobno złapała tego Gilberta za gardło i uniosła w powietrze. Facet ważył ponad sto dziesięć kilo, a ona podniosła go jedną ręką. I tutaj wersje przestają być zbieżne. Pada strzał, Gilberto dostaje kulkę prosto w pierś, a reszta spieprza jak szczury z płonącego domu, bo też i tyle są warci. Ale jeden schował się w krzakach i widział, jak ta kobieta zabiera trupa i znika z nim w ciemności.

Umilkł, a ja też się nie odzywałam. Zapadła taka cisza, że niemalże było słychać, jak jego umęczony żołądek zaczyna trawić pożarte pączki.

- Niezła historia. Można ją opowiadać na biwaku, przy ognisku - odezwał się wreszcie Sherbet, składając swoją papierową torbę. - Co pani o tym wszystkim sądzi?

- Trudno uwierzyć. Detektyw zachichotał.

- Otóż to. Kolesie się zabawiają po pijaku, nagle wybuchają bijatyka, robi się groźnie, ktoś strzela i jeden z nich ginie. Czyli normalka. Czasami nawet się zdarza, że kumple wymyślą do spółki jakąś nieprawdopodobną bajeczkę, taką jak ta.

Złożył dłonie, ściskając torbę pomiędzy nimi. Oparł podbródek na wyprostowanych palcach.

- Tylko że jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem bardziej nieprawdopodobnej bajeczki.

Milczałam dalej uparcie.

- Biega pani w nocy samotnie?

- Tak.

I znowu zapadła cisza.

- Z tego, co widzę - podjął detektyw - ta dziewczyna nie złamała prawa. Działała w obronie własnej i dała tamtym niezłą nauczkę, gwarantuję to pani. Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś tak wystraszył bandę łobuzów. Ale mimo to chętnie bym się dowiedział, co zrobiła z ciałem. Bo ciało zniknęło na parę godzin i znalazło się dopiero rano. Z wyjątkiem krwi, bo ta się już nie znalazła. Ma pani może jakiś pomysł, pani Moon?

- Niestety nie, przykro mi. Policjant wstał.

- No cóż, dziękuję, że chciało się pani pogawędzić ze starszym panem. Na pewno niedługo się zobaczymy.

- To chyba miło mieć taką pewność?

Sherbet zatrzymał się jeszcze przy samych drzwiach.

- Pani Moon... Czy tamtej nocy wyszła pani, aby pobiegać?

- A kiedy to było? - zapytałam. Detektyw podał mi datę.

- Tak - potwierdziłam.
- Może pani coś widziała?
- Nic, co mogłoby panu pomóc.
- Świetnie, dziękuję pani.

Podalam mu rękę, a on ostrożnie uścisnął ją obiema dłońmi. Były ciepłe, bardzo ciepłe. Potem skinął mi głową i wyszedł z domu.

Ciepłe, bardzo ciepłe...

Przejechałam powoli przed olbrzymią gotycką rezydencją Ricka Hortona, zaglądając przez bramę z kutego żelaza. Wszystkie okna były ciemne, wszędzie cisza i spokój. Minęłam złowieszczą rezydencję i zaparkowałam za rogiem. Wyłączyłam silnik.

Jeśli nie liczyć kilku samochodów i pojemników na śmieci, ulica była pusta, tak jak to zwykle bywa o drugiej w nocy, w godzinie wampirów.

Jeśli ktoś wie, co to w ogóle znaczy: godzina wampirów.

Zerwał się lekki wiatr, szeleszcząc leżącym w rynsztoku czerwonym opakowaniem po hamburgerze z Carl's Jr. Na krótkiej liście produktów, które toleruje mój organizm, nie ma hamburgerów ale czasami - zaznaczam, czasami - udaje mi się przełknąć trochę surowego mielonego mięsa i go nie zwrócić. Co się z nim potem dzieje? Tego, rzecz jasna, nie wiem.

Nowy temat do przemyśleń.

Ceglany mur otaczający posiadłość od wschodniej strony był prawie w całości porośnięty bluszczem. Nieliczne latarnie stały daleko od siebie, a na rogu nie było żadnej. Tym lepiej dla mnie.

Wysiadłam z furgonetki. Ogarnęło mnie chłodne nocne powietrze. Ciemność dodawała otuchy. Nie umiałabym się bez niej obejść, ale lubiłam sobie wyobrazać, choć to pewnie nieprawda, że także jestem potrzebna - jako urozmaicenie dodające nocy kolorytu. Wierzyłam, że łączy mnie z nią swego rodzaju symbiotyczna więź, że dzięki mnie ona ma większy sens.

Wybiła druga, godzina wampirów. Czułam się doskonale.

Stałam pod murem zarośniętym bluszczem i rozejrzałam się dookoła. Ani żywej duszy na całej ulicy. Mur, wysoki na trzy metry, był zwieńczony rzędem żelaznych szpikulców. Wszystkie ostro zakończone rzeczy przyprawiają

mnie o dreszcze: kolce, kołki, pręty, raz nawet spłoszyłam się na widok jednej cholernej wykałaczkii.

Wsunęłam w szlufkę dżinsów krótki, poręczny łom, zmierzyłam wzrokiem mur i odbiłam się od ziemi. Poleciałam wysoko. Wręcz wzbiłam się w powietrze.

Wylądowałam na szczycie muru, chwytając się oburącz ostrych żelaznych prętów. Jednym z moich wczesnych odkryć, na samym początku wampirzego życia, było to, że jestem niezła w koszykówkę i umiem zrobić tak zwany wsad. Obręcz kosza znajduje się zazwyczaj na wysokości mniej więcej trzech metrów. Grywałam w kosza z dziećmiakami z miejscowego parku, które robiły wielkie oczy, widząc, co potrafię. Ja sama też byłam pod wrażeniem. Rzecz jasna graliśmy w nocy.

Niczym ogromna żaba - czarująca pomimo swoich rozmiarów - przykucnęłam na szczycie muru, jak najdalej od żelaznych szpikulców. Po chwili przeskoczyłam je susem, którego nie powstydziliby się prawdziwy płaz, lądując miękko po drugiej stronie, w przysiadzie, podparta dłońmi.

Szybko przebiegłam na tyły domostwa, ale nagle stanęłam w pół kroku, twarzą w twarz (czy też może raczej: twarzą w pysk) z dwoma zaskoczonymi dobermanami. Były olbrzymie i przepiękne. Umięśnione sylwetki mówiły o wielkiej sile, a lśniąca czarna sierść zlewała się z czernią nocy

Ich zaskoczenie szybko przerodziło się w strach. Domyśliłam się, że zwietrzyły mój zapach, bo obróciwszy się w miejscu, dały drapak, aż się zakurzyło. Krótkie, zaokrąglone kikuty ich ogonów drżały jak struchlałe kreciki wyglądające z norki; gdyby miały całe ogony, na pewno podkuliłyby je pod siebie. Pomknęły na złamanie karku, znikając w gęstych krzakach obok schowka na narzędzia.

Tak właśnie działałam na psy i inne zwierzęta, które najwidoczniej potrafią dostrzec, co się kryje pod moją maską

skleconą z pozorów człowieczeństwa. I chyba nie podoba im się to, co widzą. A szkoda, bo zawsze kochałam psy.

Liczyłam się z tym, że w domu może być alarm. W południowej Kalifornii niejedna znacznie uboższa posiadłość ma takie czy inne zabezpieczenia, więc chociaż wydawało mi się, że oprócz psów nikt nie pilnuje domu, to nie zamierzałam wchodzić przez duże, przeszklone drzwi na parterze; to by było zbyt ryzykowne. Wypatrzyłam na piętrze balkon, który na moje oko należał do pokoju gościnnego.

Uchwyciłam się krawędzi jego drewnianej podłogi i poderwałam w górę jednym płynnym ruchem, lądując zwinnie na samym środku. Balkon zatrzęsł się lekko. Wyciągniętym ze szlufki łomem wyważyłam zamek w rozsuwanych drzwiach. Na szczęście tym razem udało mi się nic nie połamać. To znaczyło, że nabieram wprawy.

Weszłam do środka.

Nie pomyliłam się: to był pokój gościnny

W łóżku nie zastałam jednak żadnego gościa. Ściana za wezłowiec była ozdobiona olbrzymim peruwiańskim gobelinem przedstawiającym sielską scenę z życia wsi. Blask księżyca, wpadający przez odsunięte kotary, malował wszystko srebrną poświatą. Uwielbiam ten blask. Słońce jest przereklamowane.

W powietrzu unosiła się woń piżma. Drobiniki poruszonego kurzu tańczyły w świetle księżyca. Przeszkolenie detektywistyczne odpowiedziało mi, że ten pokój od dłuższego czasu nie był używany.

Wyszłam na pogrążony w mroku korytarz. Co prawda dla mnie nie było tam ciemno: wszystko jarzyło się srebrzyście, niczym płynna rtęć, dzięki czemu widziałam każdy szczegół w wyrazistych odcieniach szarości. Niech się schowają latarki.

Korytarz dobiegł końca, płynnie przechodząc w schody z drewnianą poręczą. Poniżej znajdował się salon.

Tam właśnie natknęłam się na kota z piekła rodem.

Siedział na poręczy w pozie tchnącej niezrównanym spokojem: przednie łapy razem, rozkołysany ogon, postawione uszy, okrągłe żółte ślepia lśniące nienawiścią. Wydał z siebie głęboki, gardłowy pomruk. Przez jakieś dwadzieścia sekund mierzyliśmy się wzrokiem: ot, przypadkowe spotkanie dwóch nocnych stworów.

Lecz najwidoczniej kot nie podzielał mojego poczucia pobratymstwa.

Wygiął grzbiet w pałąk, jeżąc wściekle sierść. Widok był taki, jakby otworzyła się parasolka: trzask! Potem zaskowyczał niczym demon, śmignął łapą, orząc mi twarz pazurami, i zeskoczył na podłogę. Puścił się przed siebie korytarzem, skręcając w prawo i zbiegając po drugich schodach.

Paskudny gnojek, zakląłam w myśli, dotykając rozciętej skóry. Krew zaczynała już krzepnąć. Wiedziałam, że za kilka minut po ranie nie będzie ani śladu.

Tak czy inaczej - gnojek, nie kot.

Zamarłam w wyczekiwaniu, pewna, że zaraz ktoś się zjawi, żeby sprawdzić, dlaczego piekielny kocur narobił takiego hałasu. Ale nikt nie przyszedł.

Ruszyłam dalej. Po drugiej stronie salonu znajdowały się otwarte na oścież drzwi, a za tymi drzwiami znalazłam Ricka Hortona. Spał spokojnie jak niemowlę. Stałam w progu i rozejrzałam się po rozległym pokoju, zwracając uwagę na przeróżne stare meble; wzrok szczególnie przykuwało ogromne, bogato zdobione lustro. Panował tutaj nieskazitelny porządek: wszystko na swoim miejscu. Nie zmrużyłabym oka w takim otoczeniu. W sypialni też się mieszka.

Horton leżał na szerokim łóżu, z baldachimem, ale bez kotary; zamiast niej na ramie podtrzymującej baldachim wisiały na wieszakach płaszcze, swetry i spodnie, równo, zupełnie jak w szafie. Spod łóżka wystawało kartonowe pudło. Stało trochę krzywo, jakby na przekór wszechobecnej pedanterii. Wyglądało tak, jakby ktoś je przed chwilą tam wsunął.

Podeszłam cicho do śpiącego, który nie miał najmniejszego pojęcia, że pochyła się nad nim najprawdziwszy wampir, wodząc wzrokiem po jego szyi, gdzie pod bladą, gładką skórą kusząco pulsowała gruba tętnica. Bez trudu mogłabym go obezwładnić, rozerwać tę skórę i pić do woli. To by było dziecinnie proste, a smak cieplej krwi... wspaniały, wyborny.

Westchnąwszy, porzuciłam te myśli, i zajęłam się pudłem, które wysunęłam spod łóżka. Horton nawet nie drgnął, chociaż przyszło mi do głowy, że podświadomie może mnie wyczuwać. Być może śniło mu się właśnie, że ucieka przed

piękną wampirzycą. No dobrze: może niekoniecznie piękną, ale na pewno ponętą, zaokrągloną tam, gdzie trzeba. Ciekawe, pomyślałam, czy ona go złapie, ta wampirzyca ze snu. A jeśli złapie - to co z nim zrobi.

Zabrałam ze sobą pudło i wyszłam z sypialni, po czym ruszyłam z powrotem długim korytarzem, trafiając z kolei do gabinetu rozmiarów jaskini. Nie chcąc ryzykować, nie zapaliłam światła, odsłoniłam tylko okno, aby wpuścić blask księżyca. Usiadłam za lakierowanym na czarno biurkiem, na dyrektorskim fotelu obitym mosiężnymi ćwiekami i zajrzałam do kartonu.

W środku były teczki i różne papiery. W pierwszej teczce z brzegu znalazłam swoją firmową wizytówkę, przypiętą spinaczem do kartki z moim rysopisem. Przeczytałam z zadowoleniem, że jestem „szczupła” i „ładna”. Oprócz tego znajdowała się tam jeszcze szczegółowa relacja z rozmowy z Rickiem Hortonem, lecz najbardziej niepokojący był opis mojej furgonetki, łącznie z numerem rejestracyjnym. Pewnie mnie obserwował, kiedy odjeżdżałam spod jego domu.

Druga teczka była znacznie grubsza. Wypełniały ją informacje dotyczące Hewletta Jacksona, zamordowanego klienta mojego zleceniodawcy a także fotografie zmarłego. Jackson był czarnym mężczyzną, młodym i przystojnym. Na zdjęciach wchodził i wychodził z jakiegoś domu, wysiadał z białego forda mustanga, siedział w parku z kobietą albo pił w nocy ze znajomymi w knajpie na świeżym powietrzu. To, co robił i gdzie bywał, zostało skrupulatnie odnotowane.

Moją uwagę zwróciła jedna z notatek, zakreślona na czerwono. Co ciekawe, było to dokładnie to samo miejsce, gdzie znaleziono zwłoki Jacksona, i ta sama godzina.

Ostatnia teczka zawierała informacje podobnej natury, tyle że na temat Kingsleya Fulcruma. Przeczytałam ją z wielkim zainteresowaniem, po czym zamknęłam pudło i odniosłam

cały ten kram do sypialni, z powrotem pod łóżko Hortona. Pamiętałam nawet o tym, żeby ustawić je trochę krzywo.

Potem przyjrzałam się człowiekowi, który w zeszłym roku stracił brata. Żał mi go było, jednakże wszystko wskazywało na to, że pan Rick Horton postanowił wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. I tutaj kończyło się moje współczucie.

Poza tym, zgodnie z jego notatkami, byłam kolejna na liście.

Mogłam go zabić wtedy, na miejscu, i mieć spokojną głowę: z pewnością nie pokazałby się nieproszony moim dzieciom. Tylko że ja nie lubię zabijać ludzi, zwłaszcza bezbronnych, we śnie. Niech lepiej zajmie się tym sąd.

Wymknęłam się, znikając w ciemnościach nocy.

Było dopiero wczesne popołudnie, więc czułam się beznadziejnie, a przez kilka najbliższych godzin, dopóki słońce wisiało na niebie, nie miałam co liczyć na poprawę. Spotkałam się z siostrą w Heros, tak jak poprzednim razem; niewielu ludzi znało nas tam chociażby z imienia, ale przynajmniej barman pamiętał, co podać.

- Dla pani chardonnay, a dla pani martini? - upewnił się, obdarzywszy nas ciepłym uśmiechem, od którego na policzkach zrobiły mu się wdzięczne dołki. Zauważyłam też, że ma pełne, wydatne wargi. Pełne, wydatne i seksowne.

- Trafił pan w dziesiątkę - rozpromieniła się Mary Lou, a gdy barman, puściwszy do nas oko, poszedł przygotować drinki, patrzyła za nim długo. Najwidoczniej zupełnie jej nie przeszkadzało, że stoi do nas tyłem.

- Niesamowity, co? - zachłysnęła się. - Fantastyczna pamięć!

- Leżeć, mała - mruknęłam. - W tej robocie trzeba mieć dobrą pamięć. Im więcej ludzi pamiętasz, tym więcej forsy ci wpada.

Barman przyniósł nam pełne kieliszki. Mary Lou podała mu swoją kartę kredytową, chociaż widać było wyraźnie, że wolałaby wsunąć ją za gumkę jego szortów. Pociągnęła ostrożnie mały łyżeczek martini, po czym łaskawie odwróciła się w końcu do mnie.

- No mów, jak ci idzie śledztwo?

- Skończyłaś rozbierać barmana wzrokiem?

- Jeszcze nie. Chwileczkę... No dobrze. Już.

- Masz męża i dzieci - przypomniałam jej.

- Wiem o tym. I co z tego?

- Mężatkom nie wolno rozbierać wzrokiem barmanów.

- A gdzie to jest napisane?

- Nigdzie.

- No właśnie. - Mary Lou spojrzała na mnie bystro. - To opowiadaj, jak ci idzie.

Podzieliłam się z nią swoimi najnowszymi ustaleniami i tutaj trzeba oddać jej honor: słuchała mnie z pełną uwagą, zapomniawszy o barmanie i jego pośladkach.

- Czyli to ten Horton - podsumowała, wzdrygnąwszy się lekko. - A to pieprzona menda.

- Przy dzieciach też używasz takich słów?

- Nie, wyłącznie przy tobie. Przy tobie mogę sobie pofolgować.

- Ja to mam szczęście.

- I mówisz, że jesteś następna w kolejce? - Mary Lou podjęła wątek.

- No wiesz, trzeba uciszyć natrętnego detektywa.

- A ty potrafisz być natrętna, co?

- Im bardziej, tym lepiej.

- I co teraz zrobisz? - zapytała.

Przełknęłam trochę wina. Nie miało dla mnie absolutnie żadnego smaku, ale przynajmniej nie wywracało mi żołądka na drugą stronę, a kieliszek w dłoni dawał poczucie jakiejś normalności.

- Wieczorem porozmawiam z detektywem Sherbetem - odpowiedziałam.

- A jak on może ci pomóc? - zdziwiła się moja siostra. - Przecież nie zrobi Hortonowi nalotu na dom i nie aresztuje go bez powodu.

- Oglądasz za dużo telewizji. Ale właściwie masz rację. Bez nakazu rewizji policja nic nie zdziała, a żeby dostać nakaz, trzeba przedstawić jakieś dowody

- A prywatny detektyw, który włamał się w nocy do podejrzanego i znalazł dowody pod jego łóżkiem, nie przekona sędziego?

- Nie.

- Co więc teraz zrobisz? - powtórzyła Mary Lou.
- Pogadam z Sherbetem i coś wymyślimy.
- Przyznasz mu się, że włamałaś się do Hortona?
- Chyba tak.
- Myślisz, że mu się to spodoba?
- Raczej nie.

Zapadła cisza. Uznałam, że to dobry moment, aby powiedzieć jej o tych oprychach, którzy chcieli mnie zgwałcić - i o tym, jak piłam krew tego, który przypadkiem zginął. Więc powiedziałam. Zajęło mi to kilka minut; Mary Lou milczała, ale zauważyłam, że szybko dokończyła swojego drinka.

- To było nierozsądne - oznajmiła mi, kiedy skończyłam.
- Wiem.
- Naprawdę piłaś jego krew?
- Tak.

Umilkła. Ja też nic nie mówiłam. Zewsząd napływały zwyczajne w takim miejscu odgłosy: brzęk zmywanego szkła, śmiechy, szczękliwy trzask otwieranej kasy.

- A jeśli dojdzie do tego, że nie będziesz mogła się opanować? Co wtedy, Samantha? - zapytała wreszcie Mary Lou.

- Za bardzo kocham swoje dzieci, żeby stracić panowanie nad sobą.

- W takim razie picie ludzkiej krwi to było po prostu głupie ryzyko, tak?

- Tak. Ale sytuacja błyskawicznie wymknęła się spod kontroli. Zanim się obejrzałam, facet już nie żył.

- Nie powinnaś biegać o takiej porze.

Wypiłam łyk wina. Mary Lou już taka była, że czasami nie dało się z nią pogadać.

- Jestem wampirem, do jasnej cholery Nie ma dla mnie lepszej pory.

- A wczesny wieczór?
- Wczesnym wieczorem muszę się zająć dziećmi i pracą.
- Po co więc w ogóle biegasz?
- Żeby nie zwariować.

Siedziałyśmy na skraju baru, tylko we dwie. Nieustannie rozglądałam się dookoła, sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje.

- Mary Lou, ja żyję w ciągłym zagrożeniu - westchnęłam.
- W każdej chwili wszystko może pójść w diabły Trening to jedna z niewielu rzeczy, które mam pod kontrolą. Muszę mieć poczucie, że nad czymś panuję.

- Może ktoś mógłby ci pomóc? Ten temat miałyśmy już omówiony

- Nikt mi nie pomoże.
- A gdybyś porozmawiała z psychologiem? Nie wiem, z kimś takim?
- Uważasz, że wymyśliłam sobie to wszystko?
- Nie. Wiem, że mówisz prawdę.
- Kiedy psycholog usłyszy, że jestem wampirem, zamknie mnie w wariatkowie i zabierze mi dzieci. Chcesz tego?

Milczała.

- Chcesz tego, Mary Lou?
- Nie, nie chcę, ale uważam, że dla twoich dzieci takie życie nie jest ani zdrowe, ani normalne. - Westchnęła, biorąc mnie za rękę. - Wiem, że jesteś dobrą matką, a dzieci są dla ciebie najważniejsze, ale moim zdaniem taka sytuacja jest dla nich niezdrowa.

- Dlaczego niezdrowa? Po prostu inna - sprzeciwiłam się, ale potem zastanowił mnie jej stroskany wyraz twarzy - Zaraz... Czy ty się przypadkiem nie boisz, że zrobię im krzywdę?

Nie odpowiedziała.

- Myślisz, że gdyby dopadł mnie głód, byłabym w stanie wypić krew własnych dzieci?

Cisza.

- Tak myślisz, prawda? Mary Lou wzięła płytki wdech.

- Nie, oczywiście, że tak nie myślę. Ale jeśli dalej będziesz taka nierozsądna, to któregoś dnia możesz się zapomnieć. Sam... Już od tak dawna się z tym zmagasz, walczysz z całym światem, aby nie doszło do katastrofy. Nie chciałabym doczekać chwili, gdy całe twoje życie legnie w gruzach tylko dlatego, że posmakowała ci ludzka krew.

Spojrzałam na nią uważnie. Odwróciła wzrok, a mnie nagle coś tknęło.

- Rozmawiałaś z Dannym. Prawda?

Zaczerwieniła się.

- Tak. Zadzwoił do mnie niedawno. Chciał przeprosić, że nie odebrał wtedy dzieci. Martwi się o nie.

- Co ty powiesz? Więc to dlatego nigdy nie wraca do domu przed północą?

Mary Lou wzruszyła ramionami.

- Martwi się, że masz na niego zły wpływ. Powiedziałam mu, że to bzdura. Żadna matka nie kocha swoich dzieci bardziej niż ty.

Znów zapadła cisza. Na dworze zmierzchało się powoli, więc byłam, jak zwykle o tej porze, rozdrażniona, marudna i zmęczona. Chciało mi się spać.

- Danny ma kochankę - poinformowałam siostrę.

- Jesteś tego pewna?

- Jeszcze nie. Ale wszystkiego się dowiem.

- Współczuję ci, Sam. Bardzo mi przykro.

- Mnie też. Ale to było nieuniknione, prawda? Kto by chciał żyć z takim dziwołagiem?

- Nie jesteś żadnym dziwolągiem - zaprzeczyła szybko, ale po chwili uśmiechnęła się pod nosem. - Najwyżej dziwaczką.

Parsknęłam śmiechem. Mary Lou wzięła moją dłoń w rękę. Ich ciepło było upojne.

- Co teraz zrobisz, Sam? - zapytała po raz trzeci.

- Będę go śledzić - odparłam. - Jestem w końcu wytrawnym detektywem.

Tuż po zachodzie słońca pojawiłam się w gabinecie detektywa Sherbeta. Czułam się już całkiem dobrze, a co ważniejsze - byłam przytomna i zdolna do klarownego rozumowania.

Usiadłam na fotelu naprzeciwko biurka. Po raz pierwszy dostrzegłam - wcześniej jakoś mi to umknęło - że Sherbet jest przystojnym mężczyzną. Ręce miał muskularne i opalone, zarosnięte czarnymi włosami na przedramionach. Zazwyczaj nie przepadam za owłosieniem na rękach u mężczyzn, ale do niego w dziwny sposób to pasowało, a nawet było jakby trochę pociągające. Prawdziwy facet z klasą, silny i męski. Nic dziwnego, że żółć go zalewała na samą myśl, że jego syn może być gejem.

- Jak się udał mecz? - zagadnęłam na początek. Kosz na śmieci stojący obok biurka był pełen po brzegi, a na samym wierzchu leżała papierowa torba po pączkach, ciemna od paskudnie śmierdzącego oleju. Mdlilił mnie ten zapach, ale przemogłam obrzydzenie.

- Młody grał jak noga. Udało mu się nawet rzucić do własnego kosza. I prawie trafił, cholera jasna. Już chciałem mu bić brawo. Trener posadził go na ławce za tę zagrywkę.

- Dobrze się bawił na tym meczu?
- Nie. Był załamany.
- A pan dobrze się bawił?
- Nie. Wstydzilem się za niego.
- I co teraz? Dalej będzie go pan zmuszał do gry w kosza?
- Mówi pani jak moja żona.
- Wygląda na to, że pańska żona jest jedyną rozsądną dorosłą osobą w całym domu.
- Nie wiem, co mam zrobić z tym dzieciakiem.
- Wystarczy go kochać.
- Kocham go.

W tej części posterunku, gdzie znajdował się gabinet Sherbeta, było pusto i cicho. Detektyw siedział z dłońmi złożonymi na okrągłym brzuchu. Owszem, bez tej wypukłości prezentowałby się lepiej, lecz mimo wszystko tusza dodawała mu męskiego wyglądu, mówiła: oto prawdziwy mężczyzna, który nie boi się jeść.

- Patrzy pani na mój tłusty bebech - zauważył.

- Rzekłabym raczej: krągły.

- Krągły? Chce mi się pani podlizać?

- Być może...

Policjant pogładził się po swojej obłości, obrócił w palcach jeden z przezroczystych plastikowych guzików. I nagle sposepniał.

- Pani Samantho - powiedział - wiem, że sześć lat temu padła pani ofiarą napaści, tutaj, w Fullerton. To wszystko jest w naszych aktach. Znaleziono panią w parku Hillcrest, półżywą, z rozerwanym gardłem. I chociaż na miejscu zdarzenia nie było prawie wcale krwi, to jakimś sposobem straciła jej pani tyle, że była bliska śmierci. Z początku śledczy myśleli, że zaatakowało panią jakieś zwierzę, pies albo kojot, ale potem zeznała pani, że to był człowiek. Nigdy go nie odnaleziono.

- Panie detektywie, wolałabym o tym nie rozmawiać ...

- Rozumiem panią, ale fakty są takie, że w moim mieście dzieje się coś dziwnego. Można powiedzieć: na moim podwórku. Na moim terenie. Byłbym wdzięczny, gdyby pani pomogła mi kiedyś zrozumieć, o co chodzi.

- Kiedyś - zgodziłam się. - Ale nie dzisiaj.

- Dobrze, w porządku. Przejdźmy do kwestii numer dwa. Co pani ustaliła w sprawie Fulcruma?

Odetchnęłam z ulgą, że nie muszę rozmawiać o tamtym, a potem powiedziałam mu wszystko, co udało mi się ustalić na

temat Hortona. Przyznałam się też do włamania do jego rezydencji i zapytałam wprost:

- Aresztuje mnie pan?

- Na razie nie. Proszę mówić dalej.

- Horton zbierał informacje na temat Hewletta Jacksona i Kingsleya Fulcruma. Nie wspominam już o nowej teczce, którą założył specjalnie dla mnie. Miał szczegółowe informacje dotyczące tego, co i kiedy robią obserwowane osoby. W teczce Jacksona znalazłam zakreśloną na czerwono datę i godzinę. Była to data i godzina jego śmierci.

Detektyw Sherbet nieco szerzej otworzył oczy. Poznałam go już nieco, więc mogłam się domyślić, że kiedy tak robi, to jakby skakał i krzyczał z radości.

- Czyli to on - powiedział.

- Mnie też tak się wydaje - przytaknęłam.

- Wydaje? A czego trzeba więcej? Chyba tylko broni, z której strzelał zabójca. A niewykluczone, że ją jeszcze znajdziemy, jak tylko dostaniemy nakaz rewizji.

- Coś mi tutaj nie pasuje. Nie jestem do końca pewna, że to naprawdę on.

- Intuicja?

- Tak.

- A mnie intuicja mówi, że to on.

- Jak pan przekona sędziego, aby wydał nakaz? Sherbet opadł na oparcie krzesła i założył ręce za głowę, zanurzając palce w swoich gęstych szpakowatych włosach.

- Dobre pytanie. Ma pani może jakiś pomysł?

- To pan jest policjantem - przypomniałam mu. - Detektywem z wydziału zabójstw.

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

- A może by tak zajrzeć mu do śmieci?

- To znaczy: do pojemnika na śmieci? - upewniłam się.

- Jasne. To jest własność publiczna. Jeśli znajdziemy coś obciążającego, sędzia da się przekonać i wyda nakaz rewizji.
- My? - powtórzyłam, mrugając oczami.
- My. Sam nie będę się grzebał w śmieciach Hortona.
- Wczoraj wieczorem była u niego śmieciarka - powiedziałam. - Widziałam puste pojemniki.
- Więc jesteśmy umówieni. W przyszły czwartek pojedziemy tam i zajrzemy mu do śmieci.
- Zabrzmiało to tak, jakby zaprosił mnie pan na randkę.
- Obyśmy tylko coś znaleźli.
- Coś na pewno znajdziemy - uśmiechnęłam się. - Oby tylko to było to, co trzeba.

Moje dzieci chodziły razem na kurs karate, a ja w tym czasie jechałam na trening do Jacky'ego. Był już późny wieczór, dawno po zachodzie. Czułam się silna i zdrowa. Jacky owijał mi dłonie. Nie mówił nic i ja też milczałam. Chyba wyczuł mój podły nastrój. Od czasu do czasu zerkał tylko na mnie i szybko odwracał wzrok.

- Jacky, ja nie gryzę - odezwałam się wreszcie.

- Myślisz, że się ciebie boję? - prychnął. - No dobrze. Boję się.

Zamiast odpowiedzieć, pogładziłam go owiniętą dłonią po lśniącej srebrem głowie.

Rozmowa z Mary Lou wciąż nie dawała mi spokoju. Jak to możliwe, że moja własna siostra w tajemnicy przede mną rozmawiała z Dannym? I to o czym? O tym, że nie nadaję się na matkę!

- Jak coś cię gryzie - rzekł Jacky - wyładuj się na worku treningowym. Oto moje motto.

Więc się wyładowałam. Okładałam twarde skórzany wór do siódmych potów, w trzyminutowych rundach. Jacky, jak zwykle, wrzeszczał, że mam nie opuszczać pięści. Każdą rundę kończyłam lawinową serią ciosów jak z karabinu maszynowego. W trakcie jednej z tych serii zauważyłam, że Jacky, który przytrzymał worek, krzywi się z bólu; worek oddawał mu impet moich ciosów. Zawzięty Irlandczyk dostawał w kość, ale mimo to, nie wiedzieć czemu, był w siódmym niebie.

Po szóstej rundzie opuściłam w końcu rękawice, które zrobiły się ciężkie jak dwa worki cementu. Jacky pokuśtykał po wodę do picia.

Oparłam czoło o twardą, szorstką skórę. Pomimo wysiłku wciąż myślałam o Dannym. Wszystko wskazywało na to, że zaczął zbierać argumenty przeciwko mnie. Nie było to,

oczywiście, zbyt trudne. Sama dobrze wiedziałam, że w takim stanie nie nadaję się na matkę. Staram się jednak ze wszystkich sił, a swoje dzieci kocham całym sercem. Tego niczym nie da się zastąpić. Niczym.

Na drugim końcu sali jakiś wysoki bokser, młody, potężnie umięśniony blondyn, ćwiczył z jednym z najstarszych stażem trenerów Jacky'ego. Jego ciosy były błyskawiczne i bardzo precyzyjne, a mięśnie grały pod rozgrzaną, lśniącą skórą.

Wrócił Jacky, niosąc papierowy kubeczek pełen wody. Dłonie mu drżały.

- Już dawno chciałam z tobą pogadać o tych kubkach. - Przypomniałam sobie. - Nieźle ci płacimy za treningi, a ty masz dla nas tylko takie naparstki z papieru?

- Ach, wiesz, kochanieńka, tutaj się płaci za atmosferę.

Skinęłam głową w kierunku młodego, ostrego boksera.

- Kto to jest?

- Desmond Beacon. Mistrz z piechoty morskiej, odszedł ze służby niepokonany przez nikogo. Szykuje się do kariery zawodowej.

- Chcę się z nim zmierzyć.

Oczy mu błysnęły - pewnie z entuzjazmu - ale szybko powrócił na ziemię i potrząsnął przecząco głową.

- Posłuchaj, wiem, że to ja narobiłem ci wielkich nadziei, ale nie ma mowy. Może ustawię ci walkę z jakąś inną laską...

- Laską? - powtórzyłam. - A może sam staniesz ze mną na ringu? - Spojrzałam jeszcze raz na byłego komandosa. - Chcę z nim walczyć.

- Nie, kochana. Wybacz.

- Najwyżej spuści mi łomot. Przynajmniej będę miała o czym myśleć.

Jacky zerknął na mnie bystrym wzrokiem i westchnął ze współczuciem.

- Widzę, że miałaś naprawdę kiepski dzień. Pomyślałam sobie: mąż mnie zdradza - wszystko na to wskazuje - i mogę stracić dzieci.

- Owszem - przytaknęłam. - Cholernie kiepski.

Jacky westchnął jeszcze raz.

- Zaczekaj chwilę - powiedział i poszedł na drugi koniec sali. Zagadnął cudowne dziecko boksu i jego trenera, wskazał na niżej podpisaną. Desmond Beacon tylko pokręcił głową i powiedział coś, co rozbawiło wszystkich panów. To znaczy: wszystkich poza Jackym, który podszedł do wysokiego komandosa i spojrzał mu prosto w oczy, chociaż musiał porządnie zadrzeć głowę. Z całą pewnością za swoich najlepszych dni spokojnie dałby mu radę, ale te czasy już dawno minęły. Mierzyli się wzrokiem przez jakieś dziesięć sekund, a potem były żołnierz odwrócił się lekceważąco z pogardliwym uśmiechem na ustach.

- Co się stało? - zapytałam, gdy Jacky wrócił do mnie, utykając na jedną nogę.

- Pieprzony kutas - warknął. - Chętnie bym mu skopał dupsko.

- Co ci powiedział?

- Nieważne.

- Nie chciał ze mną walczyć?

- Nieważne.

- Bo jestem kobietą?

- Wspomniał i o tym - przyznał Jacky, oglądając się na komandosa, który wrócił do treningu i boksował się z cieniem - ale konkretnie chodziło o to, że wolałby zrobić z tobą coś innego. Tylko że tego ci już nie powtórzę.

- I to cię tak ruszyło, że mnie broniłeś?

- Chłopak nie ma szacunku. Ktoś powinien dać mu nauczkę.

- Zgadzam się.

- Samantho... Jak widzę u ciebie taką minę, to zaczynam się denerwować.

Ale ja go nie słuchałam, bo byłam już daleko. Kiedy prawie dwumetrowy Beacon zauważył, że zbliżam się do niego, przerwał ćwiczenie i trącił swojego trenera, szczerząc zęby. Zupełnie jak wilk. Stałam przed nim, spojrzałam mu w oczy i uśmiechnąwszy się słodkiutko, kopnęłam go prosto w jaja.

Lepiej by było, żeby miał dzisiaj ochraniacz.

Beacon wytrzeszczył oczy i po prostu zdębiał; po chwili opadł ciężko na jedno kolano, stękając i czerwieniejąc na twarzy

Zdaje się, że jednak nie miał.

Jego trener, nieduży facecik, skrzeknął jak małpa. Złapał mnie za ramię, chcąc obrócić, ale nie dałam się ruszyć z miejsca, więc tylko stracił równowagę. Gdy ją odzyskał, skoczył mi do oczu.

- Co ty wyrabiasz, dziewczyno? Odbiło ci, do diabła?

- Całkiem możliwe - przytaknęłam, odpychając go na bok i spoglądając na klęczącego przede mną boksera. Czułam się niczym prawdziwa królowa. - No co? Teraz będziesz ze mną walczył?

Desmond Beacon uniósł głowę. Na twarzy nie był już czerwony, tylko zielony.

- Masz załatwione - wycharczał.

Stałam w narożniku ringu z Jackym, który poprawiał mi jeszcze ochraniacz na głowę, wielki i toporny. Nie był mi potrzebny, ale zgodziłam się go założyć, żeby wszyscy byli zadowoleni. Komandos, stojący w przeciwległym narożniku, też miał na głowie ochraniacz. Domyśliłam się, że tak jak ja założył go z konieczności. Skończywszy z głową, Jacky zabrał się do moich rękawic. Tuż pod nosem miałam jego pochyloną siwą głowę. Z tej perspektywy widać było bardzo wyraźnie zastarzałe blizny na jego czole, pamiątki po dawnych walkach. Dużo, bardzo dużo starych blizn. Kiedy mój trener unosił na mnie wzrok, w jego oczach błyskały szelmowskie ogniki; oddychał pospiesznie, a twarz miał czerwoną z emocji.

- Pamiętaj o tym, co ci zawsze powtarzam - powiedział. - Nie opuszczaj pięści.

- Nie opuszczać? Czy opuszczać? Bo już nie wiem.

Ale on mnie nie słuchał. Stał z rozmarzoną miną. Możliwe, że wrócił w tej chwili myślami do Belfastu lat pięćdziesiątych zeszłego stulecia, kiedy był młodym bokserem i wyrabiał sobie markę na zawodowym ringu. Te czasy już dawno minęły, a ponadto miałam wrażenie, że jestem dla niego furtką do przeszłości, ale nie przeszkadzało mi to w najmniejszym stopniu. Chciałam walczyć. Chciałam się bić, na serio i na ostro. Czasami człowiek po prostu musi spuścić komuś łomot.

- Skup się na prostych, laleczko.

- Nie mów do mnie „laleczko”. Skupię się, na czym będę chciała. To nie jest prawdziwa walka. Dam wycisk temu palantowi, a potem pojedę po dzieci na trening.

Jacky odsunął mnie od siebie, położył dłonie na moich ramionach.

- Lepiej tak nie kozakuj, mała. Jesteś silna jak diabli i w ogóle jakaś dziwna, jeśli mam być szczery, ale ten facet ma

solidne podstawy. Coś mi się wydaje, że nie do końca zdajesz sobie sprawę, w jakie gówno wdepnęłaś.

- Zobaczymy.

Jacky pokazał mi biały ręcznik.

- W razie czego od razu go rzucam.

- Żeby nie zrobił mi krzywdy?

- Albo ty jemu.

*

- Ding, ding - powiedział Jacky.

Desmond Beacon był ode mnie dobrych trzydzieści centymetrów wyższy. Wyszliśmy na środek ringu, żeby dotknąć się rękawicami. Ból w kroczu już minął i widać było, że razem z nim odeszła go ochota na pojedynek z kobietą - zwłaszcza że przyglądało nam się kilka babek.

Aby więc ożywić w nim ducha walki, poczęstowałam go krótkim podbródkowym. Głowa komandosa odskoczyła w tył, a gdy wróciła na swoje miejsce, dostrzegłam w jego oczach gniew. I właśnie tego mi było trzeba.

- Tak! Tak! - zawołał Jacky

Beacon zakołysał się lekko na palcach, przeciągnął mięśnie szyi i nagle zamachnął się rękawicą. Cios był znacznie szybszy, niż się spodziewałam. Unik w prawo nie przydał się na wiele: dostałam prosto w szczękę i zatoczywszy się w tył, rymnęłam na tyłek, pod samymi linami.

- W porządku, Sammy? - Znad najniższej liny wychyliła się rumiana, zatroskana twarz Jacky'ego.

Stałam na równe nogi.

- Nic mi nie jest.

- Nie podoba mi się to, Sammy. On jest dla ciebie za dobry.

- Nie mów do mnie „Sammy”.

- To jak mam mówić, do cholery?

- Po prostu Sam.

Znów wyszliśmy na środek i dotknęliśmy się rękawicami. Beacon nie uśmiechał się już. Widać było, że przestało mu się podobać. Chyba miał nadzieję, że dam sobie spokój po tym pierwszym ciosie. Okrążaliśmy się czujnie. Cały czas pamiętałam, że jest bardzo szybki. Jego twarz była bez wyrazu, ochraniacz ścisnął mu policzki. Pięści trzymał wysoko, grzeczny chłopczyk. Nagle wypuścił kolejny prosty. Zablokowałam rękawicą, ale impet uderzenia był taki, że walnęłam się nią prosto w czoło. Na szczęście ochraniacz w tym miejscu jest najgrubszy. Komandos znów uderzył prostym, który zablokowałam, po czym wykonałam zwód, ale on właśnie na to czekał: po następnym ciosie zobaczyłam wszystkie gwiazdy i zatoczyłam się w tył.

Obejrzałam się na Jacky'ego. Tylko że było ich teraz już dwóch. Stary Irlandczyk spoglądał na mnie markotnym wzrokiem. Był zaintrygowany, bo spodziewał się, że zobaczy prawdziwą walkę, ale teraz po entuzjazmie nie zostało ani śladu. Uniósł dłoń, w której ścisnął biały ręcznik. Potrząsnęłam głową; opuścił go, chociaż niechętnie.

Beacon był jakby nieco zdziwiony, że trzymam się jeszcze na nogach. Okrążyliśmy się znowu. Komandos najwidoczniej umówił się ze swoim trenerem (może nawet sam Jacky też maczał w tym palce), że będzie atakował tylko prostymi. Nieszkodliwie i niezbyt brutalnie. Kobięca klientela Jacky'ego mogłaby się zniechęcić, widząc, jak półprofesjonalista robi miazgę z ich koleżanki z klubu.

Widownia rosła. Dookoła ringu zebrał się niewielki tłumek zgrzanych, ociekających potem ludzi, którzy skończyli już trening albo przerwali go, żeby przyjść i popatrzeć. Większość stanowiły kobiety. Wszyscy przyglądali mi się badawczo, rozmawiając pomiędzy sobą. Nie lubię, jak ludzie się na mnie gapią, ale czułam, że muszę kogoś zbić, a nie miałam pod ręką niczego większego niż były komandos.

Skupiłam całą uwagę na przeciwniku. Pot spływał mu po policzkach, wsiąkając w wyściółkę ochraniacza. Widząc, jak spina mięśnie prawego ramienia, szybko cofnęłam się o krok, dzięki czemu jego błyskawiczny prosty przeciął tylko powietrze. Obserwuj jego ramię, powiedziałam sobie i posłuchawszy własnej rady, złowiłam wzrokiem kolejne drgnięcie mięśni, ponownie unikając ciosu. Odsunęliśmy się od siebie, ruszając dookoła ringu. Beacon przestał kołysać się na palcach stóp i opuścił rękawice, a ja w tym samym momencie zaatakowałam kombinacją: lewy prosty, a po nim prawy znad głowy Oba trafiły. Jeśli chcę, potrafię być szybka i silna - a w tej chwili chciałam. Ciosy posłały komandosa na liny Spocone kobiety stłoczone dookoła ringu odpowiedziały wrzawą i brawami. Beacon odepchnął się od lin i ruszył na mnie, unosząc pięści, ale kątem oka obserwował kobiecą widownię. Nie wiedział, co ma robić. Wplątał się w niezłą kabałę. Nie chciał zrobić krzywdy kobiecie, a tymczasem to on dostawał lanie. Aby rozwiać jego wątpliwości, runęłam na niego jak szarżujący byk. Po zmyłce markowanym lewym prostym walnęłam z całej siły nad jego rękawicami, trafiając prosto w nos. Zachwiał się, kolana mu zmiękły. Poprawiłam, ale pozbierał się szybko. Nie patrzył już na widownię. Dobrze. Tańczył po ringu i widać było, że robi to z sercem. Też dobrze. Uniósł pięści i uderzył potężną kombinacją, którą wzięłam na rękawice, amortyzując ugięciem ramion. Zabolało. Bił mocno. Przestał się martwić, kto go zobaczy i jak to będzie wyglądało. Miał już dosyć baby, która spuszcza mu cięgi.

Tylko że ja nie jestem zwykłą babą.

Było późne popołudnie, słońce dopiero zachodziło, ale i tak mój refleks przekraczał przeciętną. Trzeba jednak przyznać, że niewiele. Czułam się jeszcze słaba i ociężała. To cholerne słońce mogłoby się pospieszyć.

Komandos nagle machnął pięścią na odlew. Cios ześlizgnął się po moim barku, otwierając mi szczelinę w jego gardzie, którą wykorzystałam, waląc hakiem od dołu. Trafiłam go pod brodę, aż głowa mu odskoczyła. Możliwe, że nawet oderwał się od maty. Tak czy inaczej padł jak podcięty na plecy. Widownia oszalała. No dobrze: może szalu nie było, ale mała owacja - jak najbardziej. Komandos wstał i po raz kolejny zetknęliśmy się rękawicami na środku ringu. Zauważyłam, że oczy lekko mu się rozjeżdżają. Był z niego duży chłopiec, ale dostał właśnie w głowę od wampira, i to wampira w niezłej formie. Uniósł pięści, zrobił parę zwodów, skoncentrował się na nowo.

I ruszył do ataku, wymachując łapskami.

Jasny gwint! Męczyzna upokorzony przez kobietę gorszy jest od diabła. Spadały na mnie kaskady potężnych ciosów; niektóre były celne, ale zdecydowana większość omijała cel z daleka. Bardzo szybko zostałam przyparta do lin. Komandos rozsiewał dookoła mgiełkę zmieszana z potu, śliny i krwi. Ramiona chodziły mu jak tłoki, zamazując się w ruchu. Za sobą słyszałam stłumione okrzyki. Żeńska część widowni z pewnością była przerażona widokiem olbrzymiego mięśniaka okładającego kobietę. Jestem pewna, że Jacky już chciał rzucić ręcznik. Nie zdążył.

Nie widziałam, co się stało, przysięgam.

Nie widziałam, ale to poczułam.

Słońce nareszcie schowało się za horyzontem, a we mnie wstąpiło życie.

Poczułam, że żyję.

Wymknęłam się spod nawałnicy ciosów, wycofałam do narożnika. Beacon już chciał ruszyć za mną, ale chyba dostrzegł coś w moich oczach, bo zatrzymał się w pół kroku. I powinien zostać tam, gdzie stał. Ale nie, on skoczył do przodu, a ja, widząc wszystko jak na dłoni, wyprowadziłam

idealnie zsynchronizowany prawy prosty Mocny wymierzony w szczękę.

Za mocny.

Nigdy jeszcze nie trafiłam pięścią tak celnie i z taką siłą. Facet padł na deski. A właściwie na podłogę, bo przeleciał ponad linami ringu i zwałił się na matę. Kobiety przyglądające się walce krzyknęły jednym głosem i przypadły do niego. Jacky szybko do nich dołączył, rzucając mi w biegu przerażone spojrzenie.

Co ja narobiłam?

Stałam w osłupieniu na środku ringu. Komandos leżał na wznak, nieruchomo.

35

O mały włos zabiłabym dzisiaj człowieka.

Opowiedz mi o tym.

Opisałam wszystko, tak jak prosił Kieł. Czytał błyskawicznie, z demoniczną wręcz szybkością, a jego odpowiedź przyszła niemalże natychmiast:

Komandos pewnie się teraz zastanawia, czy naprawdę chce zostać bokserem.

Niespodziewanie załała mnie fala oburzenia. Być może było mi to potrzebne, aby zagłuszyć sumienie.

I bardzo dobrze, odpisałam. To była świnia, a boks to na pewno nie jest godziwy zawód. Co to ma być, że człowiek codziennie daje sobie robić z mózgu galaretę?

Rozumiem. A więc twój srogi nokaut zakończony lądowaniem za linami można w zasadzie uznać za przysługę?

A owszem. Za coś w rodzaju doradztwa zawodowego.

Szkoła życia imienia Twardej Pięści?

Ha, ha, ha.

Wydaje mi się, że masz wyrzuty sumienia i próbujesz je zagłuszyć, szukasz usprawiedliwienia.

No dobrze, niech ci będzie. Czuję się pod\e\ Zadowolony?

Nie. Ale przynajmniej umiesz się przyznać, że cię to gryzie.

On sobie niczym na to nie zasłużył.

Zapewne. Me z drugiej strony odniosłem wrażenie, że nauczka była mu potrzebna. Naprawdę kopnąłaś go w jaja?

Aaa! Jestem potworem!

Tak, potwierdził. Dzisiaj byłaś potworem.

Nie odpuścisz mi, co?

A chcesz tego?

Nie, przyznałam po zastanowieniu. Chcę, żebyś zawsze mówił mi prawdę. Po to cię mam.

O rany, dzięki. A co się w końcu stało z tym komandosem?

Zabrało go pogotowie. Ratownik powiedział, że to chyba wstrząs mózgu. Wysłałam mu do szpitala kwiaty i kartkę z przeprosinami.

Może powinnaś znaleźć sobie inny sposób na rozładowanie gniewu, napisał Kieł.

Pewnie tak.

Powinnaś też chyba być nieco bardziej... jak to powiedzieć... dyskretna, jeśli chodzi o twoje talenty. Lepiej nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

Chyba masz rację. Ale czemu mówisz, „talenty”?

To wszystko zależy od tego, jak na to spojrzysz, Luna. Możesz skupić się na tym, co dobre, albo na tym, co złe. Całe życie tak wygląda.

Dziękuję. Jesteś prawie jak Tony Robbins.

Nie. Jestem do niego podobny tylko wzrostem.

Naprawdę? A poza tym jak wyglądasz?, zapytałam zaciekawiona.

Ale on, jak zwykle, przemilczał pytanie natury osobistej.

Przyjrzyjmy się twoim talentom. Masz wyjątkową siłę, szybkość i wytrzymałość, widzisz po ciemku... O transformacji już nawet nie wspomnę...

Chwila!, napisałam, prostując się na siedzeniu. A kiedy to była mowa o transformacji?

Nigdy się w nic nie zmieniłaś?

A pisałam ci kiedyś, że latałam w nocy pod postacią nietoperza?

Po długim milczeniu Kieł odpowiedział:

Większość tekstów, źródeł i opisów jest w tej kwestii całkowicie zgodna. Powinnaś mieć zdolność transformacji. Konkretnie w co potrafisz się zmienić - to już pozostaje sprawą otwartą.

No dobrze, wystukałam odpowiedź, śmiejąc się w głos, jeśli twoje źródła podpowiedzą mi, jak mam się w coś zmienić, to może spróbuję.

Sprawdzę. A może ty też powinnaś to sprawdzić.

Niby w jaki sposób?

I znowu milczenie. Może powinnaś zajrzeć w głąb siebie. W tym momencie odezwał się dzwonek do drzwi. Przyszła opiekunka do dzieci. Dobranoc, Kieł. Dobranoc, Luna.

Noc była już późna, a mną targał niegasnący niepokój.

W ciągu dnia po raz kolejny śnił mi się Kingsley Fulcrum, cholerny wielkolud. I teraz też nie mogłam przestać o nim myśleć. Śniło mi się, że znów jesteśmy w lesie, ale tym razem to już nie była zabawa. Kingsley znalazł mnie szybko, złapał i przewrócił. Leżałam na wznak; pamiętam dokładnie, jak sosnowe igły kłuły mnie w nagie plecy. Pomiedzy drzewami szeleściły małe zwierzęta uciekające w głąb lasu. Uciekały ze strachu. Kingsley był w połowie człowiekiem, a w połowie wilkiem. Długie, czarne, skudłacone włosy spływały mu z karku, wijąc się dookoła smukłych przedramion. Niewielkie kępki sterczące na plecach, wzdłuż kręgosłupa, wyglądały jak grzebień na grzbiecie stegozaura. Wzniósł się nade mną, opadając na czworaki, przygważdżając ciężarem swojego ciała. Miałam pełną świadomość, że nie zdołam go odepchnąć, bo jest znacznie silniejszy ode mnie. Musiałam mu ulec. Ciałem i duszą.

W moim śnie Kingsley znów miał na szyi tamten złoty medalion. Amulet wisiał na jego grubym karku, kołysząc się kilka centymetrów nad moją twarzą.

Kilkakrotnie chciałam o niego zapytać, ale gdy tylko otwierałam usta, Kingsley po prostu potrząsał swoją wielką głową, dając jasno do zrozumienia, że nie wolno mi o tym rozmawiać. Więc milczałam, chociaż chciałam wiedzieć. Bardzo chciałam wiedzieć.

Potem opuścił głowę jeszcze niżej. Jego twarz zachowała piękny, ludzki wygląd. Był przystojny, chociaż potwornie zarośnięty. Czułam jego gorący oddech na szyi, za uszami, we włosach. Dotykał mnie wargami, a może językiem, zresztą było mi wszystko jedno, czym mnie dotykał. Wiedziałam tylko, że od bardzo, bardzo dawna nie czułam się tak cudownie.

A potem nagle rozdzwonił się budzik. Zachciało mi się płakać.

Ale sen, pomyślałam. Chyba spodobał ci się ten wielkolud.

Chyba?

Problem polegał na tym, co mam teraz zrobić. Na to pytanie nie umiałam sobie odpowiedzieć. W głębi serca zdawałam sobie sprawę, że moje małżeństwo to czysta fikcja, lecz mimo to sumienie nie pozwalało mi bezkarnie żywić uczuć do innego mężczyzny.

Po co ci te wyrzuty? Straciłaś męża już dawno temu. Nie możecie tak dalej żyć: ani ty, ani on.

Wiedziałam jednak, że jeśli postanowię zmienić swoje życie - czyli zdecyduję się na separację - to stracę dzieci. A na to nie mogłam pozwolić.

Nie mogę na to pozwolić.

Więc przestań myśleć o Kingsleyu.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

Było już późno. Trawił mnie niepokój i za żadne skarby świata nie mogłam przestać myśleć o Kingsleyu Fulcrumie. Szlag by go trafił... Kto mu pozwolił całować samotną, cierpiącą kobietę? Jakim prawem tak mnie dręczy?

Chwycił mnie śmiech, który powstrzymałam w ostatniej chwili. Przecież to był tylko sen. Oczywiście, to był tylko sen.

- Jest pan w domu? - zapytałam.

- A gdzie mam być o wpół do trzeciej w nocy? - odparł Fulcrum.

- No już, bez takiej skargi w głosie, bardzo proszę.

- To nie jest skarga, co najwyżej zmęczenie.

- Chcę się spotkać. Gdzie pan mieszka?

W słuchawce zapadła cisza, która trwała tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy mój rozmówca przypadkiem nie usnął. A potem przyszło mi do głowy, że może spędza tę noc z kobietą. Cóż, nawet jeśli tak, mało mnie to obchodziło. Chciałam porozmawiać - ale z kimś takim jak ja, nieśmiertelnym. A poprzedniej nocy była pełnia, więc teraz Fulcrum powinien już być z powrotem sobą.

- W porządku - zgodził się wreszcie i podał mi adres wraz ze wskazówkami, jak mam jechać. - Aha, a gdy się już zobaczymy, to proszę mi przypomnieć, że muszę pani o czymś powiedzieć.

- Ja panu też.

Fulcrum mieszkał niedaleko, w Yorba Linda. Wyjechałam z domu za piętnaście trzecia i skręciwszy w Bastanchury Boulevard, ruszyłam na wschód. Noc była spokojna i cicha. Po lewej ciągnęły się falujące pasma bezludnych wzgórz, za którymi, z dala od ciekawskich oczu i czułych nosów, kryło się miejskie wysypisko.

Bulwar Bastanchury jest jednym z najlepszych miejsc do zamieszkania w całym hrabstwie Orange. W bezpiecznej odległości od miejskiego zgiełku i krzątaniny stoją tutaj przepiękne domy.

Do posiadłości Kingsleya Fulcruma, stojącej po lewej stronie ulicy, prowadziła długa droga dojazdowa, która przecinała gęste zarośla, przechodząc w podjazd wysypany pokruszonymi muszlami. Muszle odbijały blask prawie

idealnie okrągłego księżyca; dla mnie było tam jasno jak na autostradzie do nieba. Podjazd biegł prosto przez dwieście metrów i zakręcał dopiero pod olbrzymią rezydencją.

Zaparkowałam przed wysokim portykiem, obrzucając budowlę krótkim, aczkolwiek zachwyconym spojrzeniem. Dom wzniesiono w stylu neokolonialnym, nie zapominając nawet o tym, że centralną bryłę budynku powinny podpierać z lewej i prawej dwie niższe dobudówki. Fasada była niemalże w całości szalowana ciemnymi deskami, a okna wyposażono w drewniane okiennice. Ogólnie - dom w sam raz dla wilkołaka.

Zadzwoiłam do drzwi i bardzo szybko przed wejściem zapaliło się światło. Otworzył mi wysoki mężczyzna o ponurym wyglądzie. Miał krogulczy nos i zmarszczone niechętnie czoło. Najwidoczniej przyjmowanie gości o trzeciej w nocy nie należało do jego obowiązków. Było w nim coś dziwnego, niedopasowanego, a ja dopiero po chwili zrozumiałam, o co chodzi: otóż jedno jego ucho było wyraźnie większe od drugiego.

- Proszę tędy - powiedział. - Jaśnie pan czeka w oranżerii.

- Z oranżadą?

Mój żart nie rozbawił pana Wielkie Ucho.

Kingsley Fulcrum leżał wyciągnięty na skórzanej sofie. W dłoni trzymał szklaneczkę.

Wyglądał okropnie: potargana broda, włosy w nieładzie, olbrzymie wory pod oczami.

- Nieźle pan wygląda - powiedziałam.

- Bzdura.

- Z ust mi pan to wyjął.

Oranżeria miała osiem ścian, a okna wychodziły na rozległy dziedziniec. W oddali majaczyły grzbiety wzgórz. Przez przeszklone drzwi balkonowe widać było szemrzącą na zewnątrz alabastrową fontannę w kształcie nagiej nimfy trzymającej wodę w złożonych dłoniach. Jej twórca trochę przesadził, gdy przyszło do rzeźbienia piersi. Ech, ci mężczyźni. Tylko jedno im w głowie.

- Napije się pani czegoś? - zapytał gospodarz.

- Jasne. Może być to samo, co pan pije. Fulcrum skinął na kamerdynera, a chwilę później pojawiła się przede mną szklaneczka.

- Dziękuję, Janie - powiedziałam.

- To jest Franklin - poprawił mnie adwokat, uśmiechając się szeroko.

- Kamerdyner Franklin?

- Właśnie.

- To już nie to samo.

- Owszem - zgodził się Fulcrum - ale Franklin to dobry kamerdyner i robi wyśmienite drinki.

- To prawda - potwierdził Franklin. - Prawie nigdy nie rozlewam.

Miał nienaganną dykcję i melodyjny akcent, najprawdopodobniej angielski. Kiedy mówił, jego twarz pozostawała kompletnie nieruchoma, jakby doznał porażenia mięśni. Nie mogłam nie zauważyć szpetnej blizny która biegła

od podbródka w tył, znikając we włosach. Wyglądało to tak, jakby ponury Franklin w pewnym momencie swojego życia pożegnał się na jakiś czas z głową.

- Dziękuję, Franklin - powiedział Fulcrum. - Nic więcej nam nie trzeba. Wybacz, że obudziłem cię w środku nocy.

- Jestem zobowiązany do służby.

- I doskonale ją wypełniasz. Znikaj. Dobrej nocy.

Kamerdyner imieniem Franklin skłonił się i wyszedł. Patrzyłam za nim, zaintrygowana. Szedł długim, sprężystym krokiem, ale miało się wrażenie, że jego nogi powinny być krótsze.

- Ciekawa postać ten Franklin - zauważyłam, kiedy go już nie było.

- Jeszcze jak... - Skinął głową Fulcrum.

- A ta blizna to pewnie pamiątka po jakimś paskudnym wypadku?

- Można tak powiedzieć.

- Gdzie go pan znalazł?

- Poleciała mi go pewna znajoma osoba. Pociągnęłam łyżeczek alkoholu. Nie miał smaku i nie działał na mnie w żaden sposób. Lód zagrzechotał o ściany szklaneczki.

- Słyszał pan, że wampiry mają zdolność transformacji? - zagadnęłam nagle.

Fulcrum zamrugał oczami, zaskoczony, a potem zastanowił się przez chwilę.

- Niestety, niewiele mi na ten temat wiadomo. Skąd to pytanie?

- Ostatnio wypłynęła taka kwestia.

- Rozumiem.

- No więc, czy wampir umie się w coś zmienić czy nie?

Fulcrum zaśmiał się głośno.

- Owszem. W coś - umie. Serce szarpnęło mi się w piersi.

- A w co konkretnie?

- Naprawdę pani nie wie?
 - Gdybym wiedziała, to po co miałabym pytać?
 - A nigdy nie próbowała pani się w nic zmienić?
 - Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.
 - Zawsze może pani wejść na drzewo, skoczyć i zobaczyć, co się stanie.
 - Mam myśleć jak nietoperz? Owocożerny czy owadożerny?
 - A u których występują homoseksualne rytuały godowe?
 - Miał mi pan pomóc...
 - Nic więcej nie wiem. Nie umiem pani pomóc. W moim wypadku transformacja odbywa się raczej mimowolnie.
 - Rozumiem. A więc zapytam jeszcze raz: w co konkretnie zmieniają się wampiry?
 - W coś... dużego i czarnego. - Fulcrum umilkł nagle i skrzywił się, jakby ugryzł kwaśny owoc. - Wstrętnego i odrażającego. W coś, co ma olbrzymie skórzaste skrzydła. Pół człowiek, pół nietoperz.
 - Widział pan to kiedyś na własne oczy? Chwila wahania.
 - Widziałem.
 - I co?
 - I wiem tylko tyle, ile powiedziałem.
 - Co to był za wampir?
 - Wolałbym teraz o tym nie rozmawiać.
 - Dlaczego?
- Fulcrum odetchnął głęboko. Jego przystojną twarz krył cień, ale dla mnie nie był to praktycznie żaden problem. Widziałam wyraźnie subtelny zarys jego nosa i podbródka.
- Bo ten wampir zabił moją żonę - odpowiedział wreszcie. Westchnęłam.
 - Bardzo ci współczuję, Kingsley
 - Nie trzeba. Było, minęło.

- Jestem zbyt dociekliwa. Skrzywienie zawodowe. Nie zawsze umiem się powstrzymać.

- Nie mogłaś się tego spodziewać.

Chętnie dowiedziałabym się więcej o jego zmarłej żonie. Dlaczego zginęła? Czy była wilkołakiem, tak jak on? Bo jeśli nie, to jak udało im się ułożyć wspólne życie? Jak długo byli małżeństwem? I czy mieli dzieci? A przede wszystkim - kim był ten wampir? Ale zamknęłam się, chociaż z trudem, bo nigdy nie przychodzi mi to łatwo. Ponieważ nie mogłam mówić, zaczęłam sobie wyobrażać, jak latam po Fullerton pod postacią piekielnego nietoperza w rozmiarze XXL. Nie, to był jakiś obłąd. Przecież ja jestem matką, mam dwójkę dzieci. W zeszłym tygodniu byłam na wywiadówce. W weekend robiłam pranie: poszło dwanaście pełnych pralek. Chyba w prawdziwym świecie ludzie nie zamieniają się w olbrzymie nietoperze, prawda?

- A zatem - odezwałam się po upływie stosownego czasu - noszę w sobie potwora.

Fulcrum wstał z sofy i podszedł do barku, żeby nalać sobie jeszcze jednego drinka.

- Nie ty jedna - powiedział. - Raz w miesiącu Franklin zamyka mnie w specjalnym pomieszczeniu, gdzie nie mogę zrobić krzywdy sobie ani innym. - Zakołysał swoją szklaneczką. Trochę alkoholu wylało się na niego, ale zlekceważył to albo tego nie zauważył. - Tylko potwory trzeba trzymać pod kluczem.

- Ale ty coś robisz, aby zapanować nad potworem, którego w sobie nosisz. Dla mnie to jest jasny znak, że jednak nim nie jesteś.

- Chodzi o to, że dbam o BHP w okresie przemiany?

- Otóż to. - Parsknęłam śmiechem.

Kiedy siadał z powrotem na sofie, zauważyłam wyjątkowo gęstą kępkę włosów rosnącą na wierzchu jego dłoni. Jeszcze

przed kilkoma dniami jej tam nie było. Wstałam z krzesła i przybliżywszy się, wzięłam Kingsleya za rękę, przeczesując palcami to bujne uwłosienie.

- Co robisz? - zapytał. Siedział bez ruchu, ale pod skórą na nadgarstku czułam tętno. Szybko, coraz szybciej. Ujęłam w palce kępkę włosów, pociągnęłam.

- Prawdziwe.

- Oczywiście, że prawdziwe. - Skinął głową.

- Naprawdę jesteś wilkołakiem.

- Tak.

- Mogę ci mówić Wolf?

- Nie.

Jego tęczy błyśnęły bursztynowo. Zupełnie jakbym zajrzała w ślepią wilka płonącą w głębi mrocznej puszczy.

Ten las... Mój sen. Jego palący oddech. Jego płonące wargi.

Odwróciłam wzrok. Facet potrafił hipnotyzować spojrzeniem. Nic dziwnego, że wygrał tyle spraw w sądzie. Pokażcie mi przysięgłego, który umiałby się oprzeć takim oczom. Nagle zauważyłam, że na obiciu kanapy zalegają jakieś kłaczki, jakby psiej sierści. Miałam ją teraz także na ubraniu.

- Liniejesz - powiedziałam.

- Owszem. To mi się zdarza.

- Ile masz lat, Kingsley?

- Samantha... Widzę, że nie dasz się dzisiaj zbyć byle czym.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeśli lepiej cię zrozumiem, to być może zrozumiem też, kim sama jestem i dokąd zmierzam.

- W porządku - zgodził się. - Mam siedemdziesiąt dziewięć lat.

- Liczone jak u psa?

- Idę spać - oznajmił nagle Kingsley
 - Zaczekaj. Chciałeś mi o czymś powiedzieć. Skinął głową, poważniejąc.
 - Ktoś cię szuka, Samantho.
 - Kto?
 - Łowca wampirów.
 - Słucham...?
 - Łowca wampirów. Tropi cię i chce zabić. Zakrztusiłam się drinkiem.
 - Dlaczego?
 - Bo jesteś wampirem, a on poluje na wampiry
 - Jak je zabija?
 - Wydaje mi się, że z kuszy. Widocznie belt działa na wampira tak samo jak kołek.
 - Od dawna o tym wiesz?
 - Od dzisiaj.
 - Jak się dowiedziałeś?
 - Mam dostęp do takich informacji. Przez różnych współników. Podobnych do mnie.
 - Czyli wilkołaków.
 - Tak.
- Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, a potem opowiedziałam mu o mężczyźnie, który niedawno obserwował mnie nocą przez gogle noktowizyjne. Kingsley wzruszył ramionami.
- To mógł być on. Pewnie cię śledził.
 - Nikt mnie nie śledził.
 - Skąd wiesz?
 - Zawsze patrzę, czy ktoś się za mną nie włóczy. Taki nawyk.
 - Przydatny
 - A propos włóczenia się...
 - Idę spać - powtórzył.

- Zaczekaj. Co twoim zdaniem mam zrobić z tym łowcą wampirów? - zapytałam.

- Jak nie ty jego, to on ciebie. I tutaj mogę ci pomóc. Pozwól mi go zlikwidować.

- Nie. Jestem dużą dziewczynką i to jest mój problem.

- Ten facet to szkolony zabójca.

- A ja potrafię się bronić. Też się szkoliłam.

Nie spodobało mu się to, ale nie powiedział już nic więcej. Siedzieliśmy przez chwilę na kanapie, opierając się ramieniem o ramię.

- Samantho... Dlaczego z nim jesteś? Wiedziałam, o kogo mu chodzi. O mojego męża.

- To nie twoja sprawa - ucięłam.

- Owszem, moja.

- A to niby dlaczego?

- Bo chyba się w tobie zakochałem.

Był późny wieczór.

Zostawiłam dzieci u siostry a sama pojechałam na pewien parking, pusty o tej porze. Stałam za krzakami, w cieniu zwisających gałęzi rozłożystej wierzby. Cyfrowy zegar na wyświetlaczu samochodowego radia pokazywał jedenastą dwadzieścia dwie. W takich godzinach nie pracują już ani prawnicy, ani ich sekretarki.

Wyłączyłam silnik i uchyliłam okna. Nawet wampiry muszą czymś oddychać. Chociaż w zasadzie... Zaczęłam się zastanawiać. Wstrzymałam oddech, spoglądając na zegarek. Minęła minuta. Dwie. Trzy. Cztery. Pięć. Wypuściłam powietrze. No proszę, proszę. Każdego dnia coś nowego.

Co to za mroczne wudu utrzymuje mnie przy życiu? Czy mój mózg i krew też nie potrzebują tlenu? A może po prostu organizm wampira zużywa go mniej i tylko działający jak automat system nerwowy nie wiedział, że ma to wyłączyć, więc oddycham w miarę regularnie? Położyłam dłoń na sercu. Biło, bardzo powoli. Policzyłam uderzenia. Dziesięć na minutę. Cholera jasna. Nie miałam prawa żyć.

A jednak żyłam. Wręcz tryskałam witalnością. Jak to możliwe, do diabła?

Chyba lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Nie umarłam. Być może powinnam była umrzeć wtedy, przed sześcioma laty, ale tak się nie stało. Zachowałam życie - nie wiem, w jaki sposób, ale cieszyłam się nim. Dzięki temu nie tylko będę mogła zobaczyć, jak dorastają moje dzieci, ale też najprawdopodobniej przeżyję swoje wnuki, a nawet prawnuki.

Boże...

Pytam jeszcze raz: co to za czarna magia trzyma mnie przy życiu?

Mój mąż ma niedużą firmę prawniczą. Kiedyś, gdy prowadził ją razem ze współnikiem, zajmowali całe pierwsze piętro skromnego, zwyczajnego biurowca. Danny specjalizuje się w wypadkach samochodowych. Na takich adwokatów mówią „sępy szpitalne”. Zarabiał dobrze, ale za te pieniądze oddawał duszę.

Dawno temu ciosałam mu o to kołki na głowie, ale potem dotarło do mnie, że on lubi tę pracę. Lubi obierać firmy ubezpieczeniowe z kasy. A teraz polubił obieranie swojej sekretarki z ciuchów.

Noc była chłodna. Drzewa łagodnie szumiały. Sierp księżycy co chwila krył się za rzadkimi chmurami rozsianymi po nocnym niebie.

W jednym z okien na piętrze dostrzegłam jakby przyćmione światło, ale żaluzje były zaciągnięte, więc nie mogłam być pewna. Pociągnęłam łyk letniej wody z butelki. Odkryłam, że odpowiada mi letnia woda; była to ożywcza odmiana po cwieczornej porcji zimnej hemoglobiny.

Przypomniał mi się łowca wampirów. Przez kilka ostatnich dni byłam szczególnie czujna i mogłam mieć pewność, że nikt mnie nie śledził.

Szpiegowanie podejrzanego - nawet jeśli jest nim własny mąż - to czasami okropnie nudna robota. Uniosłam rękę, przyglądając się jej uważnie. Skórę miałam białą, niemalże przejrzystą. Na wierzchu dłoni ciemniała siateczka fioletowych żył. Paznokcie - grube i twarde. Rosły mi wolno, tak jak włosy. Dotknęłam prawej dłoni lewym palcem wskazującym. Lekki dreszcz przebiegł mi po prawym ramieniu. Tak, byłam istotą z krwi i kości. Miałam prawdziwe ciało. Wrażliwe zmysły. Mogłam czuć, śmiać się i kochać swoje dzieci.

Dlaczego zatem nie mogłam umrzeć? I jakie było źródło mojej niezwykłej siły?

Sięgnęłam do lusterka, odwracając je w swoją stronę.

Było puste. Odbijał się w nim tylko zagłówek fotela kierowcy i moje ubranie, które wisiało jak na niewidzialnym manekinie. Irytujące i niepokojące wrażenie: jakby samo lustro nie chciało uznać faktu, że istnieję, że jestem. Odwróciłam je z powrotem, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- Jestem - oznajmiłam twardo beczelnemu lusterku. - Czy ci się to podoba, czy nie.

A może nie mówiłam do lustra, tylko do Danny'ego? Albo do całego świata?

Fakty wyglądały tak, że pewnej nocy napadło mnie stworzenie zwane wampirem. I skaziło moją krew, mieszając ją ze swoją. To skażenie zmieniło mnie na zawsze, nieodwracalnie.

Krew była przyczyną. Zastanowiłam się głęboko. Krew daje życie. Bez niej człowiek musi umrzeć. Owszem, wiele innych rzeczy także jest niezbędnych do życia: głowa, serce. Człowiek pozbawiony głowy albo serca również umiera.

Jak to możliwe, że jakaś domieszka w mojej krwi odmieniła mnie na zawsze?

Krew spaja wszystko, dociera wszędzie. Krew ożywia całe ciało.

Nagle zrozumiałam: to krew jest rozwiązaniem tej zagadki. Ta skażona krew daje mojemu ciału życie sprzeczne z naturą - życie, które najprawdopodobniej będzie trwało całą wieczność.

Boże, jęknęłam w duchu.

I wtedy pomyślałam: czy nadal jestem dzieckiem Boga? A może przeszłam na stronę zła?

Nie, nie czułam się zła.

Na ulicy było spokojnie, chociaż nie pusto. W wejściu do biurowca, gdzie mieściła się firma Danny'ego, pojawiły się sylwetki dwóch osób. Rozpoznałam swojego męża z jakąś

kobietą. Nie znałam jej, ale Danny opowiadał mi o nowej sekretarce, zatrudnionej przed kilkoma miesiącami. Nie widziałam jej jeszcze. Ta dziewczyna była wysoka i koścista. Miała proste blond włosy i nosiła wyjątkowo obcisłą białą spódnicę.

Razem przeszli na parking przylegający do tego, na którym stałam, zatrzymując się obok czerwonego sportowego samochodu z opuszczonym dachem. I wtedy mój mąż objął tę kobietę w talii i pocałował, długo i bardzo namiętnie. Nie odrywali się od siebie przez dobre pół minuty. Wreszcie ona wyplątała się z jego ramion, wsiadła do samochodu i odjechała, a on patrzył za nią. Potem odwrócił się w moją stronę. Wstrzymałam oddech, bo przez chwilę wydawało mi się, że patrzy prosto na mnie. Ale nie; Danny sięgnął do kieszeni, wyciągnął kluczyki, wsiadł do swojego cadillaca escalade i pojechał do domu. Do żony i dzieci.

A ja zostałam na parkingu, całkowicie ośpiała. Nie włączyłam nawet silnika. W pewnym momencie ze zdziwieniem zauważyłam, że trzymam dłoń pod kurtką, szukając pistoletu, którego tam nie było.

Leżeliśmy razem w łóżku.

Ja położyłam się na kołdrze, Danny przykrył się pod samą szyję. Jak zwykle. On był nago, a ja w ubraniu. Też jak zwykle. Biło od niego ciepło po niedawnej kąpieli. Zmył ze skóry zapach tamtej kobiety. Co za facet. Było ciemno, ale widziałam dokładnie jasny zarys jego ramion. Widziałam też, że nie patrzy na mnie, choć oczy ma szeroko otwarte. Leżał ze wzrokiem wbitym w sufit.

Obróciłam się na plecy, układając się tak samo jak on. Sufit mienił się wirującymi drobinkami blasku, niewidocznymi dla nikogo oprócz mnie.

- Widziałam cię z nią dziś wieczorem - odezwałam się.

- Wiem.

- Mnie już dawno tak nie całowałeś.

Nie odpowiedział. Drobinki światła nagle zawirowały szybciej, jakby poruszone napięciem narastającym pomiędzy nami.

- Pocałowałeś ją, chociaż wiedziałeś, że tam jestem? - zapytałam.

- Zauważyłem cię, kiedy tylko wyszliśmy na ulicę.

- I dlatego ten pocałunek był taki długi.

- Dlatego.

- A po co w ogóle wróciłeś do domu?

- Bo tutaj są moje dzieci.

- Kochasz ją? - Głos zaczął mi drżeć. Nie mogłam ukryć strachu i nienawiści, targających mną w tej chwili. Nagle zapragnęłam zerwać się z posłania, skoczyć na niego i okładać pięściami, sprawić mu dokładnie taki sam ból, jaki on sprawił mnie.

- Chyba tak - odpowiedział, a potem poprawił się: - Tak.

- A mnie?

- Nie wiem. Kiedyś cię kochałem. - Urwał na chwilę. - Ale tego, czym stałaś się teraz, nie potrafię pokochać. Próbowałem, naprawdę szczerze próbowałem, ale...

- Ale się mną brzydzisz.

- Tak - przyznał. - Brzydzę się cię i boję. Bardzo się boję, a kiedy cię dotykam, robi mi się niedobrze.

- Czyż każda żona nie marzy, żeby usłyszeć takie wyznanie z ust swojego męża?

- Przykro mi, Sam. Naprawdę mi przykro. Współczuję ci, że napadł cię wampir. Żałuję, że tak to się skończyło, ale w małżeństwie musi być mężczyzna i kobieta.

- A ja nie jestem kobietą?

- Nie wiem, kim ty jesteś. Jakimś cholernym wampirem. A wampir to kto?

- Jestem tą samą osobą co kiedyś.

- Nieprawda. Idziesz do garażu i pijesz krew jak demon. Widuję cię w najgorszych koszmarach. Śni mi się, że w środku nocy przegryzasz mi gardło, że rzucasz się na nasze dzieci... Że wpadasz w obłęd i mordujesz nas wszystkich.

Łzy polały mi się po policzkach. Szlochałam rozpaczliwie, nie mogąc się powstrzymać. Spełniły się moje najgorsze obawy. Ukochany mężczyzna, miłość mojego życia, postanowił odejść, a co gorsza, ja wcale nie miałam mu tego za złe.

Danny nie przejął się moim płaczem. Odwrócił się do mnie plecami.

I wtedy wpadłam w szal. Po prostu kompletnie mi odbiło.

Dopałam go w mgnieniu oka, usiadłam mu na piersi i zacisnęłam obie dłonie na jego gardle. Byłam szybsza od kobry, nie zdążył zrobić nic, żeby obronić się przed moim atakiem. Z całej siły przycisnęłam go do posłania.

- Ty gnoju - wysyczałam. - Tylko spróbuj zabrać mi dzieci, tylko spróbuj, to cię zabiję. Rozumiesz? Znajdę cię i zabiję, a potem rozszarpię na strzępy.

To była już czysta histeria: wyłam, wrzeszczałam i skrzeczałam. Moje dłonie - blade, smukłe, silne - obejmowały jego muskularną szyję. Próbował je zerwać, odepchnąć od siebie, ale nie miał szans. Przyszło mi do głowy, że się dusi, ale zaskoczona poczułam, że mam to gdzieś. Kopał i wił się spazmatycznie, a ja tym mocniej ściszałam go za gardło, tym głośniej bluzgałam wyzwiskami. Ręce zaczynały mi już drzeć z wysiłku. Gdyby to trwało jeszcze chwilę dłużej, gdybym włożyła w to jeszcze odrobinę więcej siły, to zabiłabym go, jestem tego pewna. I zrobiłabym to z radością. Przynajmniej chwilową.

Gdy wreszcie go puściłam, stoczył się bezwładnie z łóżka, kaszląc, krztusząc się i tocząc z ust ślinę. Każdy oddech był wysiłkiem, który wstrząsał całym jego ciałem.

Serce waliło mi gwałtownie, w szaleńczym tempie.

- Nie waż się zabrać mi dzieci, Danny - szepnęłam. - Nie waż się.

Danny oparł się o wezglowie łóżka i podciągnął kolana pod brodę, przyjmując coś w rodzaju męskiej pozycji płodu. Obserwował mnie nieufnym wzrokiem. Trudno było mu się dziwić.

W sypialni nie paliło się żadne światło, lecz mimo to widziałam dobrze czerwone, nabrzmiące pręgi na jego szyi. Oddychał już bez przeszkód, a ja znacznie się uspokoiłam. Ten wybuch to nie był morderczy szal wampira, ale furia matki, której chcą zabrać dzieci.

- Mój adwokat otrzymał ściśle instrukcje. Przekazałem mu w zapieczętowanej kopercie informacje dotyczące twojej... choroby

Ostatnie słowo powiedział z jadowitym przekąsem. Głos miał chrapliwy i rzeźący, jakby mówił przez jakiś stary mikrofon. Albo miał mocno nadwerężone gardło.

- To na wypadek - dodał - gdyby stało mi się coś złego.

- Jak to? - zapytałam, siadając na skraju łóżka. Powoli docierało do mnie, co się dzieje. Zrobiło mi się niedobrze. Pomimo gróźb z mojej strony - poważnych gróźb - Danny rozegrał sytuację na swoją korzyść.

- Opisałem dokładnie twoje wampirze życie. We wszystkich szczegółach. Od napaści sześć lat temu po rachunki za dostawy krwi z rzeźni w Norco.

- Nikt w to nie uwierzy. Pomyślą, że zwariowałeś.

- Może tak, może nie.

- Jak to może nie?

- W kopercie znalazły się jeszcze dwie dodatkowe rzeczy. Nagranie, które zrobiłem, kiedy spałaś - widać na nim, że nie odbijasz się w lustrze - i próbka twojej skażonej krwi.

- Oszalałeś?

- Możliwe. Ale chcę zabrać dzieci. Chcę zapewnić im bezpieczeństwo. Masz trzymać się z daleka ode mnie i od nich. Nie pozwolę, żebyśmy wpadli w twoje wstrętne łapska.

Zapadła cisza. Powoli przyswajałam sobie te informacje. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Nie wiadomo, czy ktoś by uwierzył w taką bajkę albo zadał sobie trud zbadania mojej krwi, ale nie stać mnie było na takie ryzyko. Wiedziałam prawie od samego początku, że nie mogę się zdemaskować.

- Co będzie z dziećmi? - zapytałam wreszcie. Danny odetchnął głęboko, podciągnął kolana jeszcze wyżej.

- Dzieci zostaną ze mną.

Musiałam poświęcić chwilę, żeby to sobie poukładać w głowie. Danny odchodzi: to było jasne i zrozumiałe, to mogłam jakoś przeżyć. Ale zabrać mi dzieci...

Kiedy się odezwałam, przemawiał przeze mnie niezachwiany spokój i rozsądek.

- Danny, posłuchaj mnie, kochany. Przeżyliśmy tak sześć lat. Okazuję im miłość na każdym kroku. Nie potrafię nikogo skrzywdzić, a już na pewno nie zrobiłabym krzywdy własnym dzieciom. One mnie potrzebują. Muszą mieć matkę.

Danny prychnął pogardliwie.

- Właśnie widziałem, jak nie potrafisz nikogo skrzywdzić. Myślałem, że chcesz mnie zabić.

- Byłam na ciebie wściekła, Danny. Zdradziłeś mnie i to praktycznie na moich oczach. Każda kobieta - każda matka - zrobiłaby dokładnie to samo.

Umilkłam. Obmacał sobie szyję i skrzywił się boleśnie.

- Nasze dzieci muszą mieć matkę - powtórzyłam.

- Zgadzam się i dlatego pozwolę ci je widywać co drugi weekend. Pod nadzorem.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a oddech rwał mu się w krtani. Zdawał sobie w pełni sprawę z tego, że mnie dobija, ale mimo to nie zawahał się i mówił dalej:

- Nie próbuj ze mną walczyć, Sam. Nie zmuszaj mnie, żebym cię wydał, bo to zrobię, możesz być pewna. I wyjdzie na jaw, że jesteś potworem. Zrobię to, bo muszę ratować dzieci.

- Danny, proszę cię...

- Przykro mi. Naprawdę. Nie zasłużyłaś sobie na taki los i nigdy tego nie chciałaś. Ja i dzieci zresztą też nie. Ale jestem zdecydowany zrobić wszystko, co trzeba, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Wytrzymałem długo, Sam. Zrobiłem to dla nich. A teraz uważam, że są już na tyle duże, aby zrozumieć, że między mamą i tatą coś się popsuło.

W tym momencie chyba obudziło się w nim nieczęste w takich razach współczucie, bo wziął mnie za rękę. Zauważyłam, że nie wzdrygnął się przy tym z trwogi, a uścisk jego dłoni nie był miękki i bezpłciowy, ale mocny, pokrzepiający.

- Tak będzie najlepiej, Sam - powiedział. - Możesz żyć własnym... życiem, robić wszystko po swojemu. Nie będziesz musiała się martwić, że trzeba odebrać dzieci ze szkoły albo pojechać na wywiadówkę. Kiedy któreś z nich zachoruje, nie będziesz musiała przy nim siedzieć cały dzień. Masz szansę być wolna i robić to, co chcesz czy może nawet musisz...

Mówił i mówił, ale ja go nie słuchałam. Myślałam tylko o tym, że moje dzieci będą dorastały bez matki. I o tym, że ja nie będę mogła widywać ich codziennie. A co gorsza, zrozumiałam, że mogę co najwyżej je porwać, a to było wykluczone, bo co to za życie? Danny mówił dalej, wyliczał plusy samodzielności, bez codziennego kieratu przy dzieciach, głaskał mnie po dłoni - a ja myślałam tylko o tym, że nie mam już synka, nie mam córeczki. Co drugi tydzień? Tb cała wieczność. Nagle codzienny kierat przy dzieciach nabrał niesamowitego uroku, nie mogłam jednak znaleźć słów na

swoją obronę, bo w głębi serca wiedziałam, że Danny ma rację.

Jestem potworem. Wybrykiem natury. Anthony i Tammy zasługują na lepszy los.

Bzdura. Jestem ich matką.

I nigdy nie przestanę nią być.

Wiedziałam od dawna, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Próbowałam powstrzymać nieuniknione. Staralam się, jak tylko mogłam, ale okazało się, że to za mało.

- Jeśli obiecuję, że zgodzę się na wszystko - zapytałam - jeśli oddam ci dzieci i pozwolę, żebyś je wychowywał, z kim uznasz za stosowne... to czy spełnisz w zamian jedną moją prośbę?

Nie odpowiedział. Był tuż obok i choć nie patrzyłam na niego, to wiedziałam, że przygryza dolną wargę, tak jak zawsze, gdy się głęboko zamyślił. Wahał się, on, mężczyzna, który oświadczył mi się w lecącym balonie, chociaż miał straszliwy lęk wysokości.

- Proszę cię, Danny. Tylko jedną.

- Zobaczymy

- Pozwól mi widywać dzieci co tydzień. W weekendy. Bez nadzoru.

Zastanawiał się długo, wreszcie westchnął przeciągle.

- Zgoda - powiedział. - Co tydzień w weekend. Ale w kwestii nadzoru nie mogę ustąpić.

- Dziękuję ci - szepnęłam głosem ciężkim od emocji i cierpienia, głosem, który brzmiał obco nawet w moich własnych uszach. - Kiedy chcesz się wyprowadzić?

I gdy tylko padło to pytanie, zrozumiałam swój błąd. To nie oni mieli się wyprowadzić.

- My zostajemy tutaj, Sam. To ty masz stąd zniknąć. Chcę, żeby jutro wieczorem już cię tutaj nie było.

Późnym wieczorem wyszłam na balkon. Przede mną rozciągał się widok z ósmego piętra hotelu Embassy Suites w Brea.

To był ciężki dzień. Siostra pomogła mi przy wyprowadzce, chociaż tak naprawdę nie miałam zbyt wielu rzeczy do zabrania. Najbardziej zależało mi na moralnym wsparciu z jej strony. Danny też był w domu, ale bynajmniej nie po to, aby udzielić mi wsparcia. Pilnował mnie jak strażnik więzienny.

Ponieważ to miał być mój ostami dzień z dziećmi, pozwoliłam im nie iść do szkoły. Próbowałam też wytłumaczyć, dlaczego się wyprowadzam. Usłyszały, że to nie jest ich wina, ale po prostu rodzice nie mogą już dłużej mieszkać pod jednym dachem; że wciąż się kochają, tylko nie w ten specjalny sposób. Splakali się oboje. I ja też.

Mary Lou pojechała ze mną do hotelu i pomogła mi wszystko rozpakować - nawet torebki z krwią, które włożyłyśmy do minilodówki w wynajętym pokoju. Przyłapałam ją, gdy trzymała jedną z nich w dłoni i oglądała ją uważnie. Była blada jak płótno, ale trzeba docenić, że nie skomentowała tego ani słowem, za co w duchu byłam jej wdzięczna.

Usiadłyśmy na łóżku. Mary Lou mnie przytuliła, gładziła po szyi i ramionach, delikatnie mierzwiła włosy. Jej dłonie, jej ciepło i współczucie dodawały mi sił i otuchy. Chciała zostać ze mną na noc, żebym miała kogoś przy sobie, ale podziękowałam jej, tłumacząc, że wolę nie mieć towarzystwa. Nie spodobało jej się to, ale w końcu ustąpiła, a gdy zamknęły się za nią drzwi, po raz pierwszy od wielu lat zostałam naprawdę sama.

Pokój miał niewielki balkon. Stały tam dwa płócienne leżaki i okrągły stolik. Rozsunęłam przeszkłone drzwi i

wyszłam na zewnątrz; powitało mnie smagnięcie zimnego wiatru. Miasto, widziane z tej perspektywy, było oszałamiająco piękne. We wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, płynęły potoki migoczących świateł.

Jednym susem wskoczyłam na balustradę i usiadłam na niej, wymachując niefrasobliwie nogami jak dziecko na huśtawce.

Hotel stał przy wąskiej uliczce, a naprzeciwko niego znajdowało się centrum handlowe. Na jezdni panował wzmożony ruch, a parkingi były zapchane samochodami. Centra handlowe to stały element krajobrazu hrabstwa Orange; można powiedzieć, że jedno idzie w parze z drugim.

Czułam jednocześnie głód i mdłości. Tak już miałam, że czasami te dwie rzeczy też szły u mnie w parze.

Wiatr szarpał mnie za ramiona, zawodząc z cicha nad głową. Niedawno minęła ósma wieczorem. To był cholernie kiepski dzień, a w dodatku nie zmrużyłam oka.

Skutki napaści sprzed sześciu lat były straszne. Straciłam pracę, słoneczną część doby, dom, męża, dzieci i całe dawne życie.

Patrzyłam z wysoka na rój ludzi w wejściu do olbrzymiego kompleksu handlowego; spieszyli się, aby wydać swoje ciężko zarobione pieniądze na towary o mocno zawyżonych cenach. Nawet z ósmego piętra widziałam wyraźnie ich ubrania i twarze. Większość zakupowiczów wyglądała na zadowoloną. To było dla nich spełnienie amerykańskiego snu: zabieramy nasze ładne dzieci, idziemy do ładnego sklepu i kupujemy ładne rzeczy. Jedną z wchodzących do centrum osób odstawała od reszty; niosła firmową torbę JCPenney i chyba zamierzała zwrócić zakup.

Siedząc na poręczy hotelowego balkonu, przeczesywałam wzrokiem ziemię pode mną jak jastrząb wypatrujący polnych

myszy Czułam, że coraz mniej mnie łączy z rodzajem ludzkim.

Nagle uniosłam nogi i wstałam, bez trudu utrzymując równowagę na szerokiej balustradzie. Wiatr chyba przybrał na sile, ale nie aż tak bardzo, żeby mnie strącić.

Spojrzałam na wąską uliczkę pod swoimi stopami, na tętniące życiem centrum handlowe, na szeregi samochodów i światła miasta w oddali. Docierały do mnie także zapachy i dźwięki: samochodowy klakson rozbrzmiewający echem w podziemnym garażu, szmer stłumionych, zmieszanych głosów. To były głosy dzieci.

Odetchnęłam głęboko. Ten rozedrgany oddech nic mi nie pomógł.

Nie miałam naprawdę nic do stracenia. Odebrano mi dzieci. To tak, jakby odebrano mi życie.

Do ziemi było daleko, bardzo daleko. Osiem pięter wygląda tak samo jak pięćdziesiąt, zwłaszcza w oczach tego, kto chce skoczyć. A ja chciałam.

Zamknęłam oczy i skoczyłam z balustrady.

Czas nagle zwolnił.

Płynęłam przez nocne powietrze wyprężona jak struna, z rozkrzyżowanymi ramionami. Uniosłam oczy do gwiazd, a wiatr szumiał w moich włosach; ogarnęła mnie niezmierna, niespotykana cisza, jakby cały świat w jednej chwili oniemiał. Moje ciało obróciło się powoli, przyjmując naturalną pozycję do nurkowania.

I wtedy runęłam w dół.

Dopiero w tym momencie przyszło mi do głowy, że chyba należało zdjąć ubranie. Co to za nietoperz zaplątany w sweter?

To w zasadzie powinny być moje ostatnie chwile. Chyba nawet wampir nie przeżyłby upadku z ósmego piętra.

Potężny żółty błysk eksplodował mi pod czaszką, a w tej świetlnej powodzi dostrzegłam coś czarnego. Skrzydlatego. Olbrzymi, obcy, przerażający kształt.

Potem ten obraz zniknął.

Świat ruszył z miejsca, przyspieszając z każdą chwilą. Mijałam w locie kolejne hotelowe piętra. Niektóre okna były odsłonięte. Z jednego wyjrzał mężczyzna ubrany tylko w slipy, zaniepokojony, jakby złowił coś kątem oka. Fakt - zobaczył spadającą kobietę, ale zanim zdążył się odwrócić do końca, wyszłam już z jego pola widzenia.

Skrzydlaty kształt ponownie pojawił mi się przed oczami, ale tym razem dostrzegłam więcej szczegółów. Była to ludzka - w ogólnych zarysach - sylwetka z rozłożystymi, skórzastymi skrzydłami. Natychmiast poczułam, że z tą istotą łączy mnie mocna więź.

Chodnik, jeszcze niedawno wąziutki srebrny paseczek, szybko nabierał realnych kształtów. Robił się coraz prawdziwszy i coraz bardziej betonowy. Stale nabierając szybkości, minęłam jeszcze jedno czy dwa piętra. Pechowo dla mnie zaczynało ich już brakować.

Wzdrygnęłam się w nagłym spazmie.

Ziemia biegła mi na powitanie.

Pozostały sekundy.

Wtem - cała odzież opadła ze mnie w strzępach. Po bokach mego ciała rozpostarły się grube, błoniaste skrzydła, luźne jak otwarty za późno spadochron.

Ziemia rzuciła się na mnie.

Szarpnęłam się, ustawiając swoje odmienione ciało w innej pozycji.

Łopocząca skóra, która wyrosła mi wzdłuż boków, od nadgarstków do mniej więcej połowy uda, złapała wiatr i wyduła się jak żagiel. Ręce zadrżały od wysiłku; naprężyłam mięśnie, wykręcając o metr, może dwa, nad chodnikiem i poderwałam się do góry, wiedząc instynktownie, co trzeba robić.

Po drodze zahaczyłam prawym biodrem o znak zakazu parkowania.

Rzuciło mną w bok, aż pokoziołkowałam w powietrzu. I nagle, nie wiem jakim sposobem, udało mi się zapanować nad tym szaleńczym lotem, jakbym odzyskała jakąś dawno zapomnianą umiejętność. Odnalazłam równowagę i poszybowałam nisko nad parkingiem, muskając dachy błyszczących, drogich samochodów. Uniosłam głowę, aby nabrać nieco wysokości. W kilka chwil centrum handlowe zostało pode mną.

Ja lecę.

Lecę.

Uniesiona przyrodzoną biegłością, której nie mogłam ani pojąć, ani zakwestionować, zgrabnie machnęłam skrzydłami i wzbiłam się w nocne niebo.

To był sen oczywiście.

To musiał być sen. Przecież takie rzeczy się nie zdarzają, prawda?

Byłam pewna, że za chwilę się obudzę i zamiast lecieć sto pięćdziesiąt metrów nad dachami Brea, znajdę się znów w hotelowym pokoju, samotna i nieszczęśliwa.

No, ale sen czy nie sen, mogę równie dobrze mieć z tego frajdę.

Uderzył mnie podmuch porywistego wiatru, wytrącając z równowagi. Wpadłam w panikę, ale po chwili mój wbudowany system nawigacyjny podjął pracę. Ustawiłam skrzydła w odpowiednim położeniu, obniżając jeden bark, aby wyrównać lot.

Gdy przestałam wreszcie szaleńczo dyszeć i mogłam oddychać normalnie, obejrzałam się przez prawe ramię. To dopiero było skrzydło! Moja ręka zrobiła się smukła, całkiem czarna i sękata od wężlastych mięśni. Wzdłuż boku ciągnął się gruby płat chropawej, twardej skóry, sięgając od nadgarstka dobrze poniżej talii.

Rozpoznałam ulicę, która przesuwiała się pode mną. To była Randolph Street. Leciałam nad nią jeszcze przez kilka minut, a potem opuściłam prawe ramię, uniosłam lewe, wykonując zgrabny zwrot w prawo. To było zupełnie odruchowe, jakbym robiła takie rzeczy od urodzenia.

Miasto Brea o tej porze tętni życiem; był wczesny wieczór, ulice pełne samochodów. Przeleciałam nad śródmieściem, gdzie kłębiły się tłumy ludzi maszerujących od jednego sklepu do drugiego. Usiane gwiazdami niebo było czyste, ani jednej chmurki. Na tym tle moja czarna skóra musiała być niewidoczna dla ludzkiego oka. Całkiem niespodziewanie południowa Kalifornia okazała się wprost stworzona dla wampirów.

Postanowiłam trochę poeksperymentować.

Najpierw jednak należało sprawdzić, jak właściwie teraz wyglądam. Wyszukawszy biurowiec pokryty na całej wysokości taflami szkła, przeleciałam na wysokości pierwszego piętra, mając nadzieję zobaczyć swoje odbicie. I tu spotkał mnie zawód: nie było tam nic. Czyli po staremu.

Poderwałam się z powrotem w górę, pracując mocno skrzydłami, pnąc się coraz wyżej i wyżej. Te manewry nabrały już płynności i nie wiązały się z żadnym wysiłkiem, ale w pewnym momencie nasza mnie myśl: jak wysoko odważę się polecieć? Bo byłam już dobre kilkaset metrów nad ziemią.

Miałam więc tylko jedną drogę: dalej w górę.

Niebo pociemniało. Przygasły światła miasta. Wzmógł się wiatr, spadła temperatura. Ja jednak czułam, że mogę tak lecieć bez końca, nie znając znużenia, za nic mając czas i przestrzeń. Zobaczyć obce gwiazdy i całe wszechświaty. Czułam, że żyję, i jestem wolna; po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna przestałam przeklinać swój los.

Wreszcie zatrzymałam się i zawisłam, rozkładając szeroko ręce, aby pochwycić prądy powietrzne płynące, zdawało się, wprost z przestrzeni kosmicznej. Daleko pode mną hrabstwo Orange migotało świetlnymi punkcikami. W oddali majaczyły Los Angeles i Long Beach, a na południu - nieogarniona czarna pustka Oceanu Spokojnego.

Wicher nie słabł, bił we mnie raz po raz potężnymi podmuchami. Przyjmowałam tę surową chłostę, kołysząc się po każdym smagnięciu i szarpiąc jak upiorny latawiec. Latawiec bez uwięzi, latawiec - demon. Miałam niezachwiane przekonanie, że pod tą postacią mogę dotrzeć wszędzie, na sam kraniec świata.

Tego dnia straciłam swoje dzieci - ale zyskałam nieograniczoną wolność. Pod więcej niż jednym względem.

Stuliłam ramiona. Rozpięte błony załamały się i złożyły niczym dwa wachlarze w dłoniach gejszy. Runęłam w dół lotem meteorytu. Krwiożerczego meteorytu. Światła miasta zaczęły rosnać mi w oczach.

Żyły napuchły od adrenaliny. Wydałam z siebie okrzyk zachwytu. Nie, nie okrzyk: wycie. Uderzenia wiatru były jak ciosy pięściami. Trzęsłam się i dygotałam na całym ciele, mrużąc oczy w cienkie szparki. Naturalne fałdy skóry na brwiach i kościach policzkowych sprawdziły się doskonale; dzięki nim mogłam wyraźnie widzieć.

Centrum miasta Brea pojawiło się z powrotem; miałam wrażenie, że unosi się, aby wybiec mi naprzeciw. Nagle ujrzałam ruchliwą ulicę, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami i w ostatniej sekundzie odbiłam do góry, podrywając głowę i szeroko rozkładając ręce. Przy takiej prędkości swobodnego spadania moje błoniaste skrzydła powinny w zasadzie pójść w strzępy od samej siły ciężkości, ale wytrzymały i spisały się na medal: śmignęłam środkiem zatłoczonej jezdni, tuż nad dachami różnych SUV - ów i furgonetek.

Zostałam zauważona. Widziało mnie wielu ludzi. Pokazywali palcami i odwracali się gwałtownie, rozlewając drinki, upuszczając lody. Ale mnie już nie było; odbiłam ostro w prawo, skręcając w boczną ulicę.

Tą ulicą dotarłam do hotelu, manewrując ostrożnie w kierunku swojego balkonu. Miałam tylko nadzieję, że się nie pomyliłam i to naprawdę jest właściwy balkon. Dyszałam ciężko. Okazało się, że jednak potrzebuję tlenu.

Ręce wciąż miałam smukłe i szczupłe, obciążone czarną skórą. Błony lotne wisiały teraz luźno, niczym peleryna. Stałam na balkonie, zastanawiając się, co robić. Przymknęłam powieki i nagle w myślach ujrzałam siebie w ludzkiej postaci.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na swoje ręce. Skórę miałam znów jasną, różową. Opuściłam głowę, stwierdzając bez wielkiego zdziwienia, że jestem całkiem naga.

Wróciłam.

45

Umiem latać.

Wystukałam te słowa na klawiaturze laptopa, który był jedną z niewielu rzeczy, oprócz ubrań i kosmetyków, jakie zabrałam z domu. W moim pokoju był bezprzewodowy internet - między innymi dlatego wybrałam właśnie ten hotel. Kolejnym powodem był fakt, że budynek miał osiem pięter. Gdzieś w głębi serca wiedziałam, że chcę skoczyć - a im wyżej, tym było dla mnie lepiej.

Latać?! odpisał Kieł niemalże w tej samej chwili.

Tak!

Sama do tego doszłaś?

Sama.

Me w jaki sposób?

Opisałam mu wszystko, co się stało, cały ciąg wydarzeń, który zakończył się skokiem z hotelowego balkonu. A właściwie - który dał mi impuls, aby skoczyć.

luna, bardzo mi przykro, że mąż się od ciebie odwrócił. Może kiedyś wyjdiesz za mnie? Obiecuję, że będę tolerancyjny.

Nie jestem w nastroju do żartów.

To nie był żart.

A więc nie mam nastroju do niestosownych propozycji.

Przepraszam, odpisał, a po chwili milczenia dodał: Jak było, kiedy leciałaś?

Bosko. Euforia. Hic nie da się z tym porównać. Na pewno spróbuję jeszcze raz.

A w co konkretnie się zamieniłaś?

W coś strasznego. W jakiegoś upiornego stwora.

Ale pozostałaś sobą, prawda? Myślałaś, czułaś jak dawniej?

Tak, to byłam ja. Tylko w skórze jakiegoś potwora.

Opisz mi go.

Spróbowałam, uprzedzając go, że tak naprawdę nie mogłam się porządnie obejrzeć, więc musiała mi wystarczyć własna wyobraźnia. Ale już nawet taki portret był przerażający.

Kim więc jestem?, zapytałam na koniec.

Wampirem, odparł.

Ale co to znaczy, że jestem boskim stworzeniem czy może wcieleniem zła? I czy tak naprawdę ja w ogóle żyję?

A czujesz, że żyjesz? Tak.

Czujesz się zła?

Musiałam się nad tym zastanowić. Czuję się jak wybryk natury, jak błąd w dziele stworzenia. Pomyłka, o której należy zapomnieć, zamieść pod dywan. Potworna pomyłka.

Wiesz co?

Słucham.

Każdy się tak czuje. Po prostu jesteś inna.

Urwał na chwilę.

Wierzysz w Stwórcę?

Nie wiem, w co wierzę, odpisałam po namyśle, ale w coś na pewno.

Czy zatem uważasz, że to Coś mogło nagle o tobie zapomnieć, ponieważ wbrew własnej wolnej woli, na skutek niespodziewanej napaści, przeżyłaś przemianę i teraz jesteś inna?

Nie wiem.

Długa pauza.

Ja sądzę, że to niemożliwe, odpisał wreszcie Kiel. Moim zdaniem Bóg, władca stworzenia, nie mógł nagle odwrócić się od ciebie. Wręcz przeciwnie: uważam, że otrzymałaś wyjątkową szansę i możesz robić niewyobrażalne rzeczy, realizować się w sposób dla innych całkowicie nieosiągalny.

Możesz w tym widzieć dar losu albo przekleństwo. Co wybierasz?

Mówisz, że jest we mnie jeszcze dobro?

Więcej niż u przeciętnego człowieka.

I nie zostałam zapomniana?

Luna, o tobie nie sposób zapomnieć.

Dziękuję. Dziękuję, że zawsze jesteś, kiedy cię potrzebuję.

Zawsze. Aha, jeszcze jedno.

Słucham.

Dbaj o siebie. Są ludzie, którzy naprawdę cię kochają.

Długa przerwa. Czekałam cierpliwie.

Ja też się do nich zaliczam.

Dziękuję ci. To dla mnie bardzo ważne. Dobrej nocy.

Dobranoc, Luna.

W czwartkowy wieczór, kilka minut po wpół do dziesiątej, detektyw Sherbet przyjechał po mnie pod hotel Embassy Suites. Padał lekki deszcz, ale nie chciało mi się zabierać parasola.

- Dzisiaj wywożą śmieci. - Takimi słowami mnie przywitał, gdy wsunęłam się na siedzenie wielkiej furgonetki Forda z przyciemnianymi szybami. - A pani czemu cała mokra?

- Lubię deszcz.

- To proszę też polubić parasol. Zamoczy mi pani skórę na siedzeniu.

- Przeżyje pan. To tylko samochód.

- Nie tylko. To jest moje dziecko.

- Życie nie kończy się na samochodach.

- Kiepski nastrój? - zapytał.

- Jakby pan zgadł.

Detektyw uśmiechnął się szeroko i ruszył z miejsca. Silnik zaryczał gardłowo, a ja szybko miałam okazję się przekonać, że jadę z szaleńcem. Sherbet prowadził z dziką brawurą i niezachwianą pewnością, że jego furgonetka wyjdzie cało z każdej kolizji. Zauważyłam, że ekscytuje mnie taka jazda. Być może w skrytości ducha byłam uzależniona od adrenaliny.

- Ma pani w domu termity czy coś w tym stylu? - zapytał policjant, gdy kakofonia gniewnych klaksonów została już daleko za nami.

- Proszę?

- Zastanawiam się, dlaczego musiałem przyjechać po panią do hotelu w Brea. W pani domu załęgły się termity?

- Aha - zrozumiałam wreszcie. - Właśnie.

- A propos Brea: słyszała pani o tym latającym stworze wczoraj wieczorem?

- Nie.

- Policyjne telefony alarmowe dosłownie się urywały. Zadzwońnię ze sto osób. Podobno coś dziwnego przeleciało przez centrum miasta.

- Może ptak - odparłam krótko. Nie byłam w nastroju do rozmowy. Tęskniłam za dziećmi i nie mogłam się oprzeć potwornemu przeczuciu, że straciłam je na zawsze.

- To nie był żaden ptak. - Sherbet zachichotał i skręcił w prawo, w State College Boulevard.

Minutę później stanęliśmy na światłach do skrętu w lewo, na Imperial Highway. Dostrzegłam przez okno, że kilku nastolatków gapi się na wóz detektywa.

- Pana samochód podoba się chłopakom - zauważyłam.

- No ja myślę. Fura jak marzenie. Zaśmiałam się wbrew własnej woli.

- Naoczni świadkowie mówią - Sherbet podjął temat - że to był ogromny czarny stwór, który leciał z niesamowitą szybkością.

- I co się z nim stało?

- Skręcił w Brea Boulevard i tyle go widzieli.

- A włączył przynajmniej kierunkowskaz? Zapaliło się zielone światło. Detektyw wdepnął gaz, jakby był na ulicznym wyścigu i zerknął na mnie z uśmiechem na ustach.

- Pani chyba w ogóle w to nie wierzy.

- Nie wierzę - przytaknęłam. - A pan?

- Trudno powiedzieć. Setka świadków to sporo.

- Masowa halucynacja? - podsunęłam.

- Niewykluczone - odparł - ale mogli też naprawdę coś zobaczyć.

Zjechał do długiej kolejki samochodów czekających na wjazd na autostradę. Nagle tknęło mnie przeczucie - nieomyślne i ekscytujące - że zamiast po jezdni wolałby przejechać po dachach.

- Jest pani głodna? - zapytał niespodziewanie.

- Nie.
- Na pewno? Nie wygląda pani na najedzoną.
- Na pewno.

Sherbet szarpnął kierownicą, zrobił karkołomną, samobójczą wręcz nawrotkę i wyjechał z powrotem na Imperial Boulevard, kierując się do pobliskiej restauracji dla zmotoryzowanych sieci Wendy's.

- To było straszne - skomentowałam.
- Więc czemu się pani uśmiecha?
- Chyba lubię się bać - odparłam.

Detektyw zamówił jedzenie i stanął w kolejce do okienka.

- Żona zrobiła dziś na obiad maczanekę, to takie białoruskie danie. Myśli, że mi smakuje. Nie miałem serca jej powiedzieć, że przestałem lubić maczanekę już jakieś piętnaście lat temu.

- Widzę, że kocha pan żonę.
- Całym sercem - potwierdził.
- Ma kobieta szczęście.
- Ja mam większe - odparł, odbierając zamówienie: dwie kanapki z bekonem, frytki i największą colę.
- Wykończy pana takie jedzenie - zauważyłam.
- To prawda - zgodził się - ale przynajmniej nie będę musiał jeść maczanki.

Pakując sobie do ust frytkę za frytką, skreślił w lewo, włączając się do ruchu w miejscu, gdzie teoretycznie nie miał prawa się zmieścić. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, przeżuując smażone ziemniaki.

Odpowiedziałam uśmiechem.

Wkrótce mknęliśmy już na południe autostradą numer pięćdziesiąt siedem.

W pobliże domu Hortona dotarliśmy już po dziesiątej. Detektyw zaparkował na ulicy krzyżującej się z tą, przy której stała jego gotycka rezydencja.

Zwiewna zasłona deszczu przesłaniała świat za szybami forda. Silnik nie pracował, a wycieraczki nie chodziły - to niepotrzebnie przyciąga uwagę. Siedzieliśmy więc w chłodzie i wilgoci. Przed nami ciemniała złowieszcza sylweta olbrzymiego domu. Strzeliste dachy kłuły nocne niebo. Hawthorne byłby zadowolony z takiego widoku. Zza przyciemnianych szyb noc wydawała się jeszcze mroczniej sza. Tutaj z kolei ja byłam zadowolona.

W pewnym momencie Sherbet potrząsnął głową.

- Kto mieszka w takiej chałupie? - zapytał, otrząsając się z niesmakiem. - Wygląda toto jak dekoracja z filmu o Drakuli.

- A mnie się podoba - powiedziałam.

- Dlaczego wcale mnie to nie dziwi?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic. Wymądrzam się i tyle.

Detektyw nie skończył jeszcze swojej ogromnej coli, którą sączył przez słomkę, od czasu do czasu głośno przy tym siorbiąc. Przetłuszczone papiery pozostałe po posiłku zwinął w kulę i wrzucił do przetłuszczonej torby. W kabinie wisiał mocny zapach hamburgerów i frytek. Mój pusty żołądek wyczyniał przeróżne akrobacje. Spokojnie, mała.

- Burczy pani w brzuchu? - zapytał Sherbet.

- Nie wiem. Nie zauważyłam.

Potrząsnął głową, siorbiąc colę przez słomkę. Ulica była prawie całkiem pusta, czasem tylko przejeżdżał jakiś duży samochód, rozchlapując kałuże. Ponieważ rano miały zjawić się śmieciarki, większość mieszkańców zdążyła poustawiać już swoje pojemniki na skraju chodnika. Pod domem Hortona nic nie stało.

- Może zapomniał, że to jutro - powiedział Sherbet.
- Może - zgodziłam się.
- A może jest z tych, co czekają do ostatniej chwili, a potem lecą z pojemnikiem i zaklinają kierowcę, żeby poczekał.

- Zaklinają? - powtórzyłam.

- Słowo jak każde inne. - Wzruszył ramionami.

- Ale rzadkie w ustach gliniarzy umazanych keczupem.

Sherbet szybko się wytarł, ale trochę czerwonego zostało. Oblizwał palec.

- Ma pani dobry wzrok.

- A pan marne oko. - Wzięłam jedną z serwetek i usunęłam plamę.

Deszcz przybrał nieco na sile. Krople były już na tyle duże, żeby pryskać na wszystkie strony Wierzby płaczące, które rosły przy ulicy, zanosily się szlochem, zgarbione i drżące pod naporem deszczu.

- Napiłbym się kawy - powiedział detektyw. - Nie wiadomo, kiedy ten nygus w końcu zbierze się do wyniesienia śmieci.

Podjechaliśmy więc do pobliskiego Burger Kinga po kawę. To znaczy: on zamówił kawę, a dla mnie - wodę mineralną.

- Widzę, że na randkach nie zdiera pani skóry z facetów - zauważył, w ostatniej chwili przystając łaskawie, aby przepuścić nadjeżdżający autobus.

- A pan nakreca interes fast foodom.

- Z drugiej strony - ciągnął dalej - nigdy w życiu nie umówiłbym się z tak zrędliwą kobietą.

- Miałam kiepski tydzień.

- Chce pani o tym porozmawiać?

- Nie.

Nie naciskał. Wróciliśmy pod gotycki dom Ricka Hortona. W otoczeniu niewiele się zmieniło. Gospodarz wciąż jeszcze nie wyniósł śmieci, czyli nadal nie było tego, na czym nam zależało.

Czekaliśmy więc dalej. Cierpliwość to umiejętność zawodowa detektywów. Podobno jesteśmy w tym niezli. Prawda jest taka, że czekanie to mordęga. Kabinę furgonetki wypełniał usypiający szmer kropel deszczu na szybach i metalowym dachu. Pociągnęłam wody z butelki. Sherbet ścisnął oburącz swój kubek z kawą. Para biła mu prosto w twarz, a na jego górnej wardze lśniła cienka błona potu. Kawa pachniała upojnie, a niestety nie było jej na liście substancji tolerowanych przez mój organizm. Deszcz spływał strużkami po przedniej szybie. Latarnie, oglądane przez szkło i wodę, jawiły się niczym słupy żywego światła. Oglądałam ten spektakl jak zahipnotyzowana.

- Jak to jest, gdy się pracuje w urzędzie federalnym? - zapytał nagle detektyw.

- Bezpiecznie, pewnie. Sporo nudy przerywanej od czasu do czasu jakimś emocjonującym wydarzeniem. Dla mnie wszystko było fascynujące. Uwielbiałam tę pracę.

- Brakuje pani tego?

- Trudno powiedzieć. Brakuje mi tamtych kolegów, poczucia wspólnoty. Teraz działam zupełnie sama. Kiedy nadarza się okazja do współpracy, często ją podejmuję.

- Nawet jeśli to ma być współpraca z takim starym przykiem jak ja?

Spojrzałam na niego. W kabinie panowała względna cisza, więc słyszałam, jak spokojnie oddycha przez nos. Czuję zapach jego wody po goleniu. Pachniał tak, jak powinien pachnieć facet. Po jego twarzy przesunęły się pełzające cienie kropel deszczu ściekających po szybie. Chyba mnie lubił, ale nasuwałam mu też pewne podejrzenia. Albo po prostu był

ciekawym. Jako detektyw z wydziału zabójstw miał wyczuloną intuicję; martwiło mnie to, bo moja osoba z pewnością drażniła ten delikatny zmysł. Ale ja nie popełniłam żadnego przestępstwa, jedynie osuszyłam zwłoki z krwi. W mojej ocenie to nie była zbrodnia, chociaż wolałabym nie wiedzieć, co na ten temat mówi kodeks postępowania karnego.

- Jasne - przytaknęłam. - Nawet z takim starym prykiem.

- Co za ulga.

Za ogrodzeniem z kutego żelaza zamajaczyła sylwetka człowieka zmagającego się z czymś dużym i nieporęcznym. Po chwili furtka stanęła otworem i ukazał się w niej Rick Horton w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Z wielkim wysiłkiem popychał przed sobą wysoki zielony pojemnik na kółkach; widać było, że trudno nim manewrować, chociaż Horton mógł mieć po prostu dwie lewe ręce. Kiedy ustawiał pojemnik przy krawężniku, poślizgnął się i rozłożył jak długi, padając na wznak. Oprócz dwóch lewych rąk miał też najwidoczniej dwie lewe nogi.

Sherbet pokręcił głową.

- Zwinny gość - mruknął.

- Oczekajmy kilka minut - zaproponował detektyw, kiedy Rick Horton wrócił pędem do domu. Biegł jak dziewczyna.

- Nie wygląda raczej na mordercę - zauważyłam.

- Owszem - zgodził się. - Żaden morderca nie wygląda.

Deszcz zabębnił mocniej o dach furgonetki, obtłukując bez litości lakier, który chyba był kładziony na zamówienie. Sherbet krzywił się przy każdej kropli.

- Nie jest pan trochę za stary na miłość do samochodów? - zapytałam.

- Na to nigdy nie jest się za starym.

- Moim zdaniem jest pan za stary.

- A pani ile właściwie ma lat?

- Wolałabym tego nie zdradzać. Nie wspominając już o tym, że wszystko pan wie z moich akt.

- Trzydzieści siedem, o ile mnie pamięć nie myli - powiedział. - Jak na taki wiek, wygląda pani bardzo młodo. Ani jednej zmarszczki, do diabła.

- Kiedyś wiek mnie na pewno dogoni - odparłam, ale potem pomyślałam: Albo i nie. Trzeba było jednak grać dalej.

- Któregoś dnia spojrzę w lustro i zobaczę w nim twarz porysowaną jak mapa drogowa. Detektyw prychnął kpiąco.

- Wiem coś o tym.

Poczekaliśmy jeszcze jakiś czas. Deszcz bez przerwy łomotał w dach. Po przedniej szybie spływały migoczące srebrne strumyczki. Było nam ciepło i bezpiecznie w tym prywatnym mikrokosmosie ze skóry, plastiku, drewna i pustych toreb po hamburgerach. Byłam królową naszego kieszonkowego państwa, a Sherbet - moim szlachetnym rycerzem. Albo może niewolnikiem hodowanym dla krwi, którą się żywiłam.

- Podoba mi się pańskie nazwisko - powiedziałam. -
Kojarzy mi się z sorbetem.

- A ja go nie znoszę.

- Czemu?

- Kojarzy mi się z sorbetem.

Światło, które paliło się w oknie na piętrze rezydencji Hortona, nagle zgasło. Dom stał ciemny i milczący. Podobnie było na ulicy.

- Proszę nie opuszczać samochodu. Ja zabezpieczę śmieci podejrzanego - oznajmił detektyw. - Jeżeli chcemy uzyskać nakaz sądowy, wypada trzymać się jakiejś oficjalnej procedury.

- Tyle mądrych słów, zamiast powiedzieć krótko: ja zostaję, a pan zmoknie.

- Cicho - uciał. Uśmiechnęłam się szeroko.

- Śmieci podejrzanego czekają, łaskawy panie.

- Dobra. - Naciągnął na głowę kaptur. - Ruszam.

Szybkim ruchem otworzył drzwi i rzucił się biegiem przez ulicę. Jego nylonowa kurtka przemokła w kilka sekund. Jak na pana w starszym wieku, poruszał się zdumiewająco sprawnie. Dopadł pojemnika, który zostawił Horton, i otworzywszy go, wyciągnął ze środka dwie mocno wypchane plastikowe torby. Nagle dotarło do mnie, że wcale, ale to wcale mi się nie uśmiecha w nich grzebać. Sherbet zatrzasnął wieko i chwyciwszy po jednej torbie w każdą dłoń, wrócił szybko do samochodu, wrzucając zdobycz do bagażnika.

- Zamoczy pan skórę na siedzeniu - powiedziałam, kiedy wsunął się za kierownicę.

- Wiem - odparł, włączając silnik. - Serce mi się kraje.

Znaleźliśmy pusty, zadaszony i w pełni oświetlony parking przyległy do budynku kliniki okulistycznej. Tuż przed wjazdem stała zaparkowana biała furgonetka firmy ochroniarskiej.

Zatrzymaliśmy się tuż obok niej. Ochroniarz za kierownicą chrapał sobie w najlepsze, otulony kurtką, z rękami założonymi na piersi. Okno miał uchylone, żeby wpadało świeże powietrze. Sherbet opuścił swoją szybę. Łomot kropel deszczu przybrał na sile i stał się głośniejszy. Ochroniarz w dalszym ciągu nawet nie drgnął.

- Hej - powiedział detektyw.

Facet podskoczył na siedzeniu, przypadkowo trafiając dłonią w kierownicę. Kiedy zawył klakson, podskoczył jeszcze raz, waląc głową w sufit kabiny.

Sherbet odwrócił się w moją stronę.

- Dureń wieczorową porą - skomentował.

- Jak w baśni Śmiecherezady

Wychyliwszy się przez okno, policjant wy dostał z kieszeni kurtki swoją odznakę.

- Jestem detektyw Sherbet z wydziału zabójstw. Musimy, hmm... Musimy zająć na chwilę ten parking.

- Oczywiście, panie władzo - odparł strażnik. Głos miał nieco zbyt cienki. Na oko dobiegał czterdziestki i był niski, za niski, aby budzić respekt jako ochroniarz. Miał do tego przeraźliwie długą szyję. - To przez ten deszcz, rozumie pan. Regularnie mnie usypia. Jak szefostwo się dowie, że znów się kimnąłem na zmianie, to mnie wyleją. - Łypnął z zażenowaniem.

- Spokojnie, kolego - powiedział Sherbet. - Ode mnie nikt się niczego nie dowie.

Facet rozpromienił się, spokojny o perspektywy swojej kariery.

- Czego pan sobie życzy? Może mogę jakoś pomóc?
- Pewnie, że możesz - przytaknął detektyw. - Pilnuj tego wjazdu jak oka w głowie. Nikt nie może tutaj wjechać.

- Robi się!

Sherbet zamknął okno i wtoczyliśmy się powoli pod dach.

- Musimy zająć parking? - powtórzyłam.

- Miało zabrznieć oficjalnie.

Rzuciłam okiem przez tylną szybę. Ochroniarz zastawił wjazd swoją furgonetką.

- Dzięki panu ma co robić. To dobrze - powiedziałam. - A jak ktoś będzie chciał tutaj wjechać?

- To będzie miał do czynienia z naszym czujnym flamingiem.

- Flamingiem? - prychnęłam. - Mnie on bardziej przypomina bociana.

- Wszystko jedno. - Sherbet zaparkował wóz. - Gotowa na nurkowanie w śmieciach?

- Rwę się do czynu.

Parking był prawie pusty, stało tam tylko kilka samotnych wraków mających wygląd produktów o ograniczonej trwałości. Sherbet podał mi parę lateksowych rękawiczek.

Torby ociekały wodą. Od jednej bił zapach zepsutego nabiału, więc ustąpiłam ją detektywowi.

- Dzięki - mruknął.

- Jestem damą - wyjaśniłam. - Damy nie grzebią się w śmierdzących śmieciach.

- Na mojej zmianie damy grzebią się we wszystkim.

- W takim razie mam szczęście, bo nie pracuję dla pana.

- To prawda. Ma pani szczęście. Przykucnąwszy na betonowej podłodze parkingu, otworzyłam swoją torbę. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, były resztki - jak się zdawało - wczorajszego kurczaka w marynacie teriyaki. Żołądek zaburczał mi hałaśliwie. Zdaje się, że wciąż jeszcze

nie odnotował faktu przejścia na nową dietę. Złożoną wyłącznie z krwi.

Nie dla pani kurczak po japońsku, nie dla pani marynata teriyaki. To już nie wróci.

Najpierw powyjmowałam co większe przedmioty: czterolitrową bańkę po mleku, która, ponieważ była zakręcona, rozděła się mocno, o połowę. Potem poszły pudełka po płatkach śniadaniowych, słoik po maśle orzechowym, sporo kartonów po piwie. Ktoś w domu lubił piwo. Było też parę plastikowych butelek po coca - coli. Przebrałam to wszystko, odkładając starannie na lewo.

Na samym dnie torby leżał plik papierów; okazało się, że były to podarte listy, głównie wnioski o karty kredytowe. Sprytny facet. Potężne długi.

- U mnie nic nie ma - powiedziałam, oglądając się na Sherbeta, który klęczał na jednym kolanie. Dłonie miał wysmarowane jakimś galaretowatym paskudztwem i był jakby lekko zielony na twarzy, co u detektywa z wydziału zabójstw wskazuje, że to naprawdę nie przelewki.

- U mnie to samo - odparł. - Czyli nic.

Ochroniarz przed wejściem maszerował w strugach deszczu w tę i z powrotem, zerkając na nas ukradkiem od czasu do czasu.

- To co, za tydzień o tej samej porze? - zapytał Sherbet.

- Proszę bardzo - zgodziłam się. - Znów będzie zabawa.

- I jeszcze jedno, pani Moon. - Detektyw rzucił okiem na swoje rękawiczki uwalane zjełczałą mazią. - Następnym razem to pani bierze śmierdzącą torbę.

Detektyw podrzucił mnie do hotelu i poradził wziąć prysznic, bo podobno cuchnęłam śmieciami. Podziękowałam mu za radę. Portier stojący w drzwiach ukłonił się na powitanie, co bardzo mi się spodobało, a potem zmarszczył nos. Chyba rzeczywiście należało wskoczyć pod prysznic.

Czułam już sama, że mocno ode mnie śmierdzi. Wjechałam windą na ósme piętro i wsunawszy kartę do zamka, pchnęłam drzwi. W głowie natychmiast zabrzączał mi alarm.

Ktoś jest w środku.

Gdy złowiłam okiem ruch w głębi pokoju, błyskawicznie odwróciłam się bokiem, aby trudniej było celować - i w tym momencie bełt wystrzelony z kuszy uderzył mnie prosto w ramię, rzucając na otwarte drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem. Przysiadłam, wytyżając wzrok w ciemności: obok otwartego wyjścia na balkon stał mężczyzna. Przystojny Wysoki i szczupły. Krył go cień, ale ja widziałam w ciemności. Miał nastroszone żółte włosy, które upodabniały jego głowę do sfatygowanej piłki tenisowej. I celował do mnie z kuszy.

Poznałam go. To był ten apetyczny byczek, kurier z UPS.

Nie powiedział ani słowa, nie drgnął nawet. Po prostu stał i mierzył do mnie. Czoło błyszczało mu od potu. Dłonie miał pewne, niemalże nieruchome. U jego boku wisiała butelka pełna jakiegoś przezroczystego płynu, a na szyi - krzyż i wianek czosnku. Przesunął nieznacznie kuszę; zrozumiałam, że usiłuje wycelować mi prosto w serce. Nie zamierzałam dać mu tej szansy.

- Kim jesteś? - zapytałam, spoglądając na niego przez ramię.

- To nieważne.

- W takim razie dlaczego to robisz? - Oddech rwał mi się w krtani. Koniecznie trzeba było coś zrobić z bełtem tkwiącym w ramieniu, ale nie ważyłam się oderwać wzroku od człowieka z kuszą. Z tym czosnkiem to było zawracanie głowy. Na co dzień używałam go w kuchni. Ale butelka u boku - woda święcona, bez dwóch zdań - już mnie bardziej niepokoiła. Z wodą święconą nigdy nie miałam odwagi eksperymentować.

- Osobiście nic do ciebie nie mam - zapewnił facet z kuszą.

- Ten bełt w ramieniu mówi coś innego.

- Celowałam w serce.

Z korytarza dobiegły czyjeś głosy. Ktoś wysiadł z windy. Słowa były przeplecione pijackim rechotem.

Oczy wciąż miałam utkwione w łowcy wampirów, ale najwidoczniej zwróciłam się lekko w kierunku, skąd dobiegały te głosy, odsłaniając serce. Kuszniak dostrzegł sposobność, której szukał, i nacisnął spust.

Usłyszałam trzask cięciwy i szczęknięcie bełtu schodzącego z łoża. Widziałam też ten pocisk, i to bardzo wyraźnie. Sunął na mnie, obracając się lekko w powietrzu. Czas zwolnił, tak samo jak podczas skoku z balkonu.

Moja dłoń pomknęła na spotkanie krótkiej, wirującej powoli strzały. Metalowy grot błyszczał, odbijając światło z niewidocznego źródła. Gdy już miał przebić moje serce, zacisnęłam palce na drzewcu. Złapałam w powietrzu bełt z kuszy, o centymetry od własnej piersi.

Łowca wampirów rozdziawił usta z niedowierzaniem, po czym błyskawicznie wycofał się na balkon i przesadził barierkę. Odepchnęłam się od framugi i przebiegłam chwiejnym krokiem przez cały pokój. Na dworze wciąż padał deszcz. Wychyliłam się przez balustradę i dostrzegłam łowcę; opuszczał się po fasadzie hotelu, zwisając na linie

zamocowanej gdzieś na dachu. Gdy już opadł w zarośla rosnące pod gmachem, odczepił uprząż od liny, rzucił mi krótkie spojrzenie i ulotnił się szybko. Patrzyłam za nim; zniknął za rogiem.

Wycofałam się z zalewanego deszczem balkonu. Chwyciłam bełt za lotki, krzywiąc się niechętnie. No dobrze, lekko nie będzie, pomyślałam i biorąc głęboki wdech, pociągnęłam powoli. Ból był wprost nie do zniesienia. Potoczyłam się na miękkich nogach do łazienki, dysząc ciężko. W lustrze pojawiła się pusta bluzka, wisząca w powietrzu i poruszająca się samodzielnie - po prostu złoty medal za efekty specjalne. Na wysokości ramienia z rękawa sterczał krótki bełt, a na tkaninie ciemniała wielka plama krwi. Widok zakrwawionej bluzki pozbawionej ciała był wprost nierzeczywisty.

Zamknęłam oczy i pociągnęłam jeszcze raz. Białe światło rozbłysło mi pod powiekami. Szarpnęłam mocniej, krzycząc już z bólu. Spojrzawszy w dół, zobaczyłam, że grot już prawie wyszedł. I że zostało na nim sporo żywego mięsa.

Łzy polały mi się z oczu i zaczęłam skomleć, ale ciągnęłam dalej, aż wreszcie bełt został mi w dłoni, a z rany buchnęła krew.

I wtedy straciłam przytomność.

Obudziłam się w środku nocy, na podłodze w łazience, leżąc w kałuży własnej krwi. Byłam zziębnięta. Gdy obejrzałam swoje ramię, bez wielkiego zdziwienia stwierdziłam, że rana zagoiła się już całkowicie. Powlokłam się chwiejnym krokiem do pokoju i rzuciłam na łóżko.

Przespałam cały dzień, budząc się dopiero o zmierzchu. Czułam się fatalnie: przymulona, dezorientowana. Musiałam pomyśleć, żeby przypomnieć sobie, gdzie właściwie jestem. Nagle zerwałam się, siadając na posłaniu: jasna cholera, przecież miałam odebrać dzieci ze szkoły!

Już chciałam wyskoczyć z łóżka, ale uświadomiłam sobie, że odbieranie dzieci nie należy już do moich obowiązków. Zastąpiła mnie mama Danny'ego. Osunęłam się z powrotem na posłanie, momentalnie wpadając w rozpacz.

A więc w ciągu dnia nie musiałam już zupełnie nic robić. I dobrze, bo o tej porze nigdy nie byłam w pełni sił; poza tym po raz pierwszy od chwili, kiedy odebrano mi dzieci, poczułam, że jestem w pewien sposób wolna - co natychmiast opłacałam potężnymi wyrzutami sumienia. Jednakże była to prawda: nie musiałam jeździć po dzieci. Nie musiałam gotować obiadów, nie musiałam zajmować się mężem ani martwić o niego.

Najpierw poczucie swobody, a potem wyrzuty sumienia. Dokładnie w takiej kolejności.

Przeciągnęłam się leniwie na łóżku, odkrywając z zaskoczeniem, że materac jest cudownie wręcz miękki. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Minęła chwila, potem następna - i wtedy poczułam, że serce mi się kraje.

Nie miałam już dzieci, które mogłabym odebrać ze szkoły, nie miałam już dla kogo gotować! Tęskniłam za nimi, ale tylko za nimi, nie za mężem. Wiedziałam, że się mnie brzydzi, i tym łatwiej było mi zerwać więź emocjonalną, która mnie z

nim łączyła. Owszem, żał mi było dobrych chwil, ale na pewno nie tych ostatnich kilku lat.

Miałam jednak zobaczyć się z dziećmi już w weekend. Kiepskie rozwiązanie, ale w tej chwili nic na to nie można było poradzić. Przysięgłam sobie jednak, że kiedyś je odzyskam.

Znajdę na to sposób.

Na razie jednak musiałam leżeć i cierpieć. I czekać, aż zapadnie prawdziwa noc. Grube zasłony skutecznie tłumili blask zachodzącego słońca. W domu miałam podobne, a właściwie identyczne, ciężkie hotelowe story. Na początku, tuż po przemianie, chciałam zabić okna deskami, ale Danny się nie zgodził; grube zasłony to był kompromis.

Rozmasowałam ramię; wciąż jeszcze bolało, ale po ranie nie pozostał nawet ślad. Gdybym nie stanęła bokiem, byłoby już po mnie. Uratował mnie czysty instynkt, alarm, który w ostatniej chwili zadzwieczał mi w głowie, kładąc się natychmiast odwrócić.

Zaczęłam się zastanawiać, co zrobić z tym łowcą wampirów. Nie mogłam pozwolić, żeby ganiał za mną z kuszą i strzelał, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Musiałam coś wymyślić - ale co? Na razie nie przychodziło mi do głowy nic oprócz likwidacji; naprawdę poważnie się nad tym zastanawiałam.

Ale wszystko po kolei. Najpierw należało ustalić, w jaki sposób mnie wytropił, i to tyle razy, samemu się nie ujawniając. Zawsze sprawdzam, czy ktoś mnie nie śledzi - to dobry nawyk u detektywa. Byłam pewna, że ten facet za mną nie chodził.

Są, oczywiście, inne sposoby szpiegowania ludzi, a jeszcze łatwiej jest namierzyć samochód. Gdy pracowałam w biurze do spraw budownictwa, zdarzało nam się używać takich urządzeń. Czyli lokalizatorów.

Czekając, aż słońce w końcu zajdzie, włączyłam telewizor, przerzucając kanały informacyjne i powtórkowe, aż trafiłam na mecz Los Angeles Angels. Zdążyłam już zapomnieć, kiedy po raz ostatni oglądałam, jak grają Anioły. Baseball, a zwłaszcza niespieszne tempo gry, należały do rzeczy, które uwielbiałam; te chwile ciszy, gdy miotacz staje na swojej „górcie” i koncentruje się, a cały świat czeka... Mój ojciec był drugoligowym miotaczem w mieście Rancho Cucamonga, na północny wschód od Fullerton. Grał dobrze, ale tylko dobrze i dlatego nigdy nie przeszedł do wyższej ligi. Mimo to dzięki niemu i trzem starszym braciom pokochałam baseball już we wczesnym wieku.

Angels prowadzili trzy do dwóch. Tim Salmon właśnie wybił płaską piłkę za jedną bazę, środkiem boiska.

Miałam wrażenie, że te wspomnienia z dzieciństwa nie należą wcale do mnie, lecz do osoby, która była praktycznie obca, mimo że pamiętałam ją ze szczegółami. Zmieniłam się nie do poznania, byłam teraz zupełnie innym człowiekiem. A właściwie zupełnie innym gatunkiem.

Salmon miał niezły tyłek. Jak zresztą większość baseballistów.

Oglądając mecz, masowałam sobie ramię. Jak to możliwe, że zagoiło się tak szybko? Co za tym stoi? Pradawna magia? A jeśli tak - to czy jest to ta sama magia, która utrzymuje mnie przy życiu? Czy w ogóle można powiedzieć, że ja żyję? Może umarłam i po prostu o tym nie wiem?

Bengie Molina, łapacz Aniołów, podał piłkę miotaczowi, który przy pierwszym narzucie wyeliminował Salmona. Koniec zmiany.

A może jestem tylko duchem, który nie potrafi zrozumieć, że trzeba iść dalej? Ale dokąd? Zresztą nie czułam się martwa.

Na początku ósmej zmiany Angels wprowadzili do gry swojego miotacza kończącego, Percivala zwanego El Toro,

czyli „Byk”. Był to potężny, długonogi chłop, w rzeczy samej podobny do byka. Podobało mi się, jak mruży oczy i zwija język w trąbkę. Przypominał rewolwerowca, tylko że zamiast kul miał piłki. Wyeliminował pierwszego pałkarza w czterech narzutach.

A może byłam plagą, anomalią, którą należy usunąć raz na zawsze z powierzchni Ziemi? Być może na świecie byłoby lepiej, gdyby łowca wampirów nie chybił dzisiaj celu?

El Toro znów zmrużył oczy Słyszałam kiedyś, że musi nosić okulary, ale zdejmuje je, wychodząc na boisko; w ten sposób blokuje wszystko, co może go zdekoncentrować, polegając tylko i wyłącznie na znakach, którymi zdradza się łapacz. Po kolejnym jego narzucie piłka poleciała na środkowe zapole.

A jeśli wcale nie musiałam wiedzieć, co trzyma mnie przy życiu? Być może fakt istnienia takiej formy życia jak ja nie stanowił wcale większej zagadki niż życie w ogóle? Bo czy wiadomo, skąd wziął się człowiek? Ta myśl przyniosła mi nieco otuchy.

Percival wyeliminował kolejnego pałkarza i zwycięskim gestem uniósł pięść do góry Była już druga połowa ósmej zmiany.

Nagle poczułam się zadowolona i pogodzona ze swoim losem. Chętnie zamówiłabym kolację do pokoju, ale w hotelowym menu raczej nie było świeżego osocza, więc napiłam się wody mineralnej, czekając, aż dzień zmieni się w noc. A gdy słońce nareszcie zaszło, zaczęłam oddychać swobodnie; moje ciało było gotowe do działania. Będąc w takiej formie, mogłam stawić czoło całemu światu.

Aha, Anioły wygrały

Kto wie, może uda mi się wyskoczyć na jakiś wieczorny mecz w tym sezonie? Czasu miałam teraz pod dostatkiem.

Najpierw pojechałam do warsztatu samochodowego w Fullerton.

Kiedy zatrzymałam się przed pustym garażem, wyszedł mi na spotkanie młody mechanik w błękitnej koszuli z naszytym na piersi imieniem Rick.

- Przykro mi, ale już zamykamy - powiedział, gdy opuściłam szybę.

W odpowiedzi wyciągnęłam banknot dwudziestodolarowy.

- Czy może pan tylko wstawić mój wóz na podnośnik?

- Po co?

- Chcę zajrzeć pod spód.

- Pani? Czemu?

- Bo tak się bawię w piątkowe wieczory. Jeśli pan podniesie mi samochód i pozwoli obejrzeć podwozie, to zarobi pan dwie dychy.

Po chwili zastanowienia Rick wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy - mruknął, biorąc ode mnie pieniądze i zapraszając gestem do środka.

Przejechałam przez rampę podnośnika przednimi kołami, wsuwając się pomiędzy kolumny. Gdy wysiadłam, Rick dotknął kilku przełączników i silniki ożyły z warkotem. Moja furgonetka powoli oderwała się od ziemi, a koła obwisły bezwładnie. Po kilku minutach samochód znalazł się na wysokości moich oczu; wyglądał jakoś bezradnie, jakby nagle został sam jak palec. Był podobny do dzikiego konia wyciąganego przez helikopter z wezbranej rzeki.

- No, dobra - powiedział Rick. - Może pani zajrzeć. Tylko ostrożnie. Chce pani latarkę?

- Nie.

- A czego pani właściwie szuka? - zapytał, stając obok mnie.

- Dowiem się, jak to znajdę.

Podwozie furgonetki było szaloną plątaniną wężyków, izolowanych przewodów, stalowych wałów i prętów. Powoli obejrzałam całość i w końcu znalazłam lokalizator. Zbliżony kształtem i rozmiarem do telefonu komórkowego, był zamocowany za pomocą magnesów i drucianych zacisków.

- Cholera! Co to jest? - zdziwił się mechanik Rick.

- Pilot od telewizora - odparłam. - Wszędzie go szukałam.

- Poważnie? - prychnął.

- Poważnie.

Na ponowne spotkanie z łowcą wampirów musiałam czekać całe dwie noce.

Zostawiłam swoją furgonetkę w bocznej alejce na tyłach sklepu spożywczego sieci Vons, wiedząc, że wcześniej czy później mój prześladowca ją namierzy; a żeby sprawdzić, co się stało, będzie musiał wejść tam osobiście. Była to klasyczna zasadzka, więc musiał podejrzewać jakiś podstęp. I słusznie. Bo to był podstęp.

Siedziałam na dachu sklepu, obok otworu wentylacyjnego, w którym wirował olbrzymi wiatrak. Szerokie skrzydła, złożone, leżały mi na plecach. Noc była ciepła, ale wiatr chłodził powietrze. Moja odmieniona skóra była gruba i gumowata w dotyku; doskonale mnie grzała, zwłaszcza na dużych wysokościach. Odkryłam, że mogę pozostawać w tej postaci tak długo, jak tylko zechcę. Było to miłe i chętnie zamieniałam starą skórę na nową. Każdy powinien tego od czasu do czasu spróbować.

Alejka była mroczna i mało uczęszczana. Moja furgonetka nie zwracała praktycznie niczyjej uwagi, nawet chuligani zostawiali ją w spokoju. Dlatego właśnie ożywiłam się natychmiast, widząc w pobliżu kloszarda.

W tej nowej postaci miałam doskonały, prawdziwie sokoli wzrok, który u drapieżnych ptaków wysokiego lotu jest oczywistą koniecznością. (Nazywanie siebie „drapieżnym ptakiem”, a w dodatku „wysokiego lotu” było dla mnie wręcz nie do pomyślenia). Kloszard pchał przed sobą sklepowy wózek wypełniony po brzegi różnym śmieciem. Natychmiast rozpoznałam tę przystojną twarz o śmiałym konturze, uderzające błękitne oczy i blond włosy wystające kępkami spod nasadzonej na bakier brudnej czapki z daszkiem.

Niezły kamuflaż, dupku.

Dla dopełnienia wizerunku łowca nawet powłóczył lekko nogą. Wysiłał się i zgrywał na całego, zgięty wpół jak dzwonnik z Notre - Dame. Musiałam się uśmiechnąć, a przynajmniej miałam wrażenie, że się uśmiecham, bo trudno było mi stwierdzić, czy pod tą postacią mam w ogóle usta. Tak czy inaczej, chciałam się uśmiechnąć. Wózek, który pchał przed sobą ten osobnik, był pełen puszek po napojach. Ciekawe, czy kupił go od prawdziwego kloszarda, czy też może napełnił własnoręcznie.

Pewnie po prostu go ukradł, pomyślałam.

Łowca szedł powoli alejką, rozglądając się uważnie na boki. Niestety, nie przyszło mu do głowy, aby spojrzeć w górę. Gdy zbliżył się do mojej furgonetki na mniej więcej piętnaście metrów, wyjął spod podartego płaszcza swoją kuszę i napiął ją szybko, nakładając strzałę na cięciwę. A potem chwycił broń jak karabin, mierząc przed siebie.

Zostawił wózek i bardzo powoli zbliżył się do samochodu, zaglądając najpierw przez jedno okno, a potem przez drugie. Przyświecał sobie latarką. Zauważyłam, że zapomniał o utykaniu.

Czekałam cierpliwie na stosowną chwilę.

Łowca wampirów kolejno chwycił za klamki, a gdy się przekonał, że wóz jest zamknięty, szybko poradził sobie z zamkiem za pomocą otwieracza wpuszczanego wzdłuż szyby. Zajrzał do środka i po chwili wycofał się, marszcząc z zakłopotaniem czoło. Najwidoczniej nie mógł czegoś zrozumieć. A więc udało mi się przynajmniej zamącić gnojkwowi w głowie.

Nagle tylne drzwi do sklepu stanęły otworem, a żółty blask zalał alejkę. Na progu pojawił się młody chłopak ciągnący za sobą duży, niebieski pojemnik na śmieci. Łowca odwrócił głowę w tamtym kierunku.

Teraz!

Zeskoczyłam z dachu.

Stuliłam ramiona i runęłam w dół.

Łowca wampirów stał tyłem do mnie. Powietrze ogłuszająco gwizdało mi w uszach. Ziemia zbliżała się szybko, co jednak ważniejsze, jego szerokie bary także były coraz bliżej.

W ostatniej chwili rozłożyłam skrzydła na pełną rozpiętość. Skórzasta błona rozpostarła się z łopotem, jak spadochron. Zaalarmowany hałasem, łowca obejrzał się, podrzucając kuszę, ale było już za późno. Moje szpony zacisnęły się na jego ramionach. Pisnął jak mała dziewczynka. Kusza wypadła mu z dłoni i łupnęła o ziemię. Machnęłam z całą mocą skrzydłami, raz, potem drugi, aż wreszcie poderwałam go w powietrze i wzbiłam się wyżej, ponad alejkę. Ważył sporo. Więcej, niż się spodziewałam. To był maksymalny wysiłek dla moich ramion i skrzydeł.

Zaczął się wyrywać, a ponieważ ręce miał przyciśnięte do boków, kopał tylko bezsilnie w powietrzu. Wznosiliśmy się powoli w kierunku czarnego nieba. Spoglądając w dół, zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak chłopak, który ciągnął pojemnik na śmieci, wraca biegiem do sklepu. Chyba zmoczył spodnie.

Z każdą chwilą byliśmy coraz wyżej. W miarę jak oswajałam się z dodatkowym obciążeniem, przybywało mi sił. Zrobiło się chłodniej. Łowcy wampirów, dzięki wielowarstwowemu strojowi kloszarda, chłód raczej nie zagrażał.

Opuściłam wzrok dokładnie w tym samym momencie, kiedy on uniósł głowę. Twarz miał białą jak kreda. Malowało się na niej przerażenie. I dobrze, powinien się bać. Potwór, z mora rodem z jego najgorszych koszmarów, porwał go i niósł nie wiadomo dokąd. Mogłam go nawet wrzucić do aktywnego

wulkanu. W południowej Kalifornii nie ma ich co prawda zbyt wiele, ale gdyby się jakiś znalazł, mogłam to zrobić.

Pod nami rozciągało się hrabstwo Orange, świadcząc setkami tysięcy migoczących świateł, że Edison był na dobrym tropie. Przelecieliśmy nad Disneylandem, lśniącym niczym osobna konstelacja, radosna i szczęśliwa. Być może wieczorni goście zgłoszą ochronie parku, że obsługa straciła kontrolę nad jakąś latającą atrakcją.

Minęliśmy nadbrzeżne miasta, a przed nami otworzył się czarny ocean. Gdy zgasły światła aglomeracji, pograżyliśmy się w głębokiej ciemności. Łowca zeszywniał i chyba cicho jęknął. Pewnie myślał, że wrzucę go do wody. A na razie jeszcze tego nie wykluczyłam.

Później, znacznie później, kiedy najwidoczniej uznał, że nic mu nie grozi, odprężył się i zawisł luźno w uścisku moich szponów. A potem zaczął mówić. Dźwięk jego głosu mieszał się ze słonym zapachem morza.

- Jak tam ramię, pani Moon?

Poruszyło mnie brzmienie własnego nazwiska. Trudno było uwierzyć, że ten latający stwór w ogóle ma jakieś imię. Nie zadałam sobie trudu, aby odpowiedzieć. Mój głos nawet dla mnie samej był tylko paskudnym skrzekiem.

- Zdaje się, że w tej postaci nie może pani mówić - kontynuował łowca. - To nic. Ja będę mówił. Wiem, że miała pani okropny tydzień. Widziałem, jak musiała pożegnać się pani z dziećmi. Domyślam się, że postrzał z kuszy w ramię był ostatnią rzeczą, o jakiej pani marzyła. I chyba w ten sposób próbuję panią przeprosić.

Przyjmuję przeprosiny, pomyślałam. Byłam osobą z serca wielkoduszną.

Leciałam dalej, równym tempem, poruszając skrzydłami płynnie i bez wysiłku. Pod nami przesuwał się odwieczny

czarny ocean. Wiatr zmieniał się co chwila, a ja wciąż musiałam dostosowywać się do nowych warunków.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby wampir miał rodzinę - przyznał łowca. - A pani ma dwójkę ślicznych dzieci. Z początku myślałem, że to tylko pozory. Ze zwiódła pani tych śmiertelników w jakimś nikczemnym celu. To mógł być na przykład nowy pomysł na zdobywanie krwi. Uznałem, że stać panią na taką przewrotną podłość. Potem jednak dotarło do mnie, że to naprawdę jest pani rodzina. Córeczka jest podobna do pani jak dwie krople wody.

Umilkł. Ciszę, która zapadła, wypełnił szelest załamujących się fal, połączony z czymś jeszcze, czymś intensywnym, a niezgłębionym; być może był to głos milionów megaton wzburzonej wody przetaczającej się po całej Ziemi. Pieśń oceanu, jeśli tak wolicie ją nazwać, brzmiała pięknie i niesamowicie.

Łowca wampirów opowiedział mi trochę o sobie. Miał na imię Randolph. Przed wieloma laty jego brat został zabity przez wampira, a on postanowił poświęcić życie na odnalezienie mordercy - i zabijał przy tym każdego wampira, którego spotkał na swojej drodze.

Ambitnie, pomyślałam. Tylko że dla mnie przedstawia to pewien problem.

Randolf wytropił w końcu starego wampira, który miał rezydencję w Fullerton. Urządził na niego zasadzkę i zabił strzałem z kuszy prosto w serce. A przeglądając jego dokumenty, natknął się na moje nazwisko.

Okazało się, że mój prześladowca odnalazł tego, który na mnie napadł.

I nie tylko go odnalazł, ale też zlikwidował. Oszczędził mi wiele zachodu.

- Ale to nie był morderca mojego brata - ciągnął Randolph. - Wciąż mam więc niewyrównane porachunki. - Zawiesił na

chwilę głos. - Pani nie jest podobna do innych wampirów, Samantha. Mogę pani mówić po imieniu?

Skinęłam głową. Nie byłam pewna, czy to zauważył.

- Rozejrzałem się po twoim pokoju w hotelu. W lodówce znalazłem torebki z bydlęcą krwią. Świńską, krowią. Nie masz morderczych instynktów, tak jak pozostali.

Zerknęłam w dół. Łowca wampirów wciąż miał na głowie brudną czapkę z daszkiem. Jasne włosy opadały mu na uszy. Twarz zsiniała z zimna.

Leciałam prosto przed siebie, coraz dalej od brzegu. Trudno było dostrzec, gdzie kończy się czarna woda, a zaczyna czarne niebo, lecz dzięki wewnętrznemu kompasowi nie zbaczałam z kursu. Najwidoczniej miałam wbudowany także jakiś sztuczny horyzont, który chronił nas przed upadkiem do oceanu. Przypomniał mi się stary dowcip: „Właśnie przyleciałem z Chicago i strasznie bolą mnie ręce...”.

Ale nie, moje zasoby energii wydawały się niewyczerpane, nawet ciężar dorosłego mężczyzny nie robił mi różnicy. Nie należało jednak oddalać się za bardzo od kontynentu; musiałam bezpiecznie wrócić przed wschodem słońca.

W oddali, gdzieś na oceanie, dostrzegłam mrugające światła. Zboczyłam w tamtą stronę, Randolph odchrząknął. Chyba się zdrzemnął. Brutalne przebudzenie, nie ma co: w szponach latającej bestii.

Światła, jak się okazało, należały do statku. Pasażerskiego statku wycieczkowego.

- Chcesz mnie tam zostawić - powiedział Randolph. Domyślny chłopczyk.

- Zrozumiałem aluzję - zaśmiał się. - Mam trzymać się z daleka. Dziękuję, że darowałaś mi życie.

Na pokładzie liniowca panował spory ruch, więc okrążyłam mostek i posadziłam łowcę na dachu. Czy ktoś

zauważył czarną postać, która spadła z nieba? To się miało dopiero okazać.

Randolf podniósł się niezgrabnie i stanął na nogach. Ani trochę nie znać po nim było niedawnych przeżyć. Kiedy wzbiłam się w powietrze, przytrzymał czapkę na głowie, aby nie zerwał jej podmuch bijący spod moich skrzydeł. Migoczące gwiazdy przejrzały się w jego niesamowitych błękitnych oczach. To był naprawdę apetyczny facet - nawet z punktu widzenia nocnego upiora.

- Wracaj bezpiecznie do domu, Samantho! - zawołał za mną. - Aha, nie wiesz przypadkiem, dokąd płynie ten statek?

Nie miałam pojęcia.

Zatoczywszy koło, ruszyłam w drogę powrotną.

Kingsley Fulcrum wyglądał zupełnie inaczej niż ostatnim razem: tryskał zdrowiem i przestał straszyć bujnym owłosieniem.

Umówiliśmy się w centrum Fullerton, w Mulberry Street Cafe. Usiedliśmy przy oknie. Znowu padało, a chodniki były opustoszałe. Miało się wrażenie, że deszcz zmył ludzi z ulicy. W restauracji też było spokojniej niż zazwyczaj.

Kingsley zjawił się ubrany w długi czarny płaszcz. Siadając przy stoliku, zdjął skórzane rękawiczki. Na jego ciemnych spodniach, w miejscach, gdzie deszcz przedostał się pod wierzchnie okrycie, widniały ciemniejsze plamy. Twarz miał rumianą, a włosy nienagannie uczesane. Był gładko ogolony i roztaczał zapach dobrej wody kolońskiej. Tak właśnie powinien prezentować się mężczyzna. Na grzbietach jego dłoni nie było już ciemnych kłaków.

Pablo, kierownik sali, znał mnie dobrze. Obrzucił Kingsleya chytrym spojrzeniem, pamiętając zapewne, jak wygląda mój mąż. Kelner był jednak dyskretny i nie odezwał się ani słowem. Przyjął zamówienie i oddalił się szybko.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Kingsley, wyglądając przez okno. - Przychodzę tutaj czasami, ale nigdy nie ma dobrych miejsc i muszę siedzieć w jakimś kącie.

- A mnie tutaj lubią.

- Piękne kobiety dostają wszystko.

- Uważasz, że jestem piękna?

- Owszem - odparł. - Tak uważam.

- Chociaż jestem wampirem?

- Chociaż jesteś wampirem.

Kelner przyniósł nasze drinki: dla mnie chardonnay, dla adwokata burbon z wodą mineralną. Kingsley zamówił pierożki tortellini z farszem z krewetek, a ja to, co zwykle: stek, krwisty

- Możesz jeść mięso? - zdziwił się.
- Nie - odparłam - ale mogę wyssać z niego krew.
- To musi być ciekawy widok.
- Tylko w taki sposób mogę uczestniczyć w zwyczajnym ludzkim posiłku.

- Niewiele tracisz - zapewnił mnie. - Dzisiejsza żywność jest całkowicie przetworzona, tucząca i szkodzi zdrowiu.

- A jak smakuje?

- Wspaniale.

- Ty mało.

Kingsley parsknął śmiechem. Napiłam się wina. Zauważyłam, że jego masywna sylwetka przyciąga wiele spojrzeń, zarówno kobiecych, jak i męskich. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam nikogo, kto emanowałby taką siłą.

- Powiedz mi, czy my w ogóle jesteśmy ludźmi? - zapytałam.

Kingsley znieruchomiał ze szklanką uniesioną do ust.

- Tak - odpowiedział, po czym podniósł szklankę do końca i wypił łyżeczek swojego burbona. - Tyle że nieśmiertelnymi - dodał po chwili.

- W takim razie co zapewnia nam nieśmiertelność? Dlaczego nie możemy umrzeć, tak jak wszyscy? Co trzyma nas przy życiu?

- Nie wiem.

- Ale na pewno masz jakąś teorię na ten temat. Westchnął.

- Jedynie hipotezę roboczą.

- Słucham.

- Można założyć, wydaje mi się, że oboje stoimy na granicy świata naturalnego i nadprzyrodzonego. Dotyczą nas więc jednocześnie prawa natury oraz inne, z naturą sprzeczne. Uważam, że jesteśmy ludźmi... a być może nawet czymś więcej.

- Niezbyt skromnie to zabrzmiało.

- Twoim zdaniem jesteśmy gorsi od ludzi? - zapytał.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie. Na pewno nie jesteśmy gorsi.

Kelner przyniósł nam koszyk z chlebem. Nie tknęłam go, ale Kingsley ochoczo wyciągnął rękę.

- Pozwolisz?

- Proszę bardzo - skinęłam głową. - Kim więc jesteśmy?

Nadprzyrodzonymi mieszkańcami?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami.

- Możemy się tylko domyślać.

- No, kim? Nadludźmi?

- To niewykluczone.

- W ciągu dnia z całą pewnością nie czuję w sobie nadludzkiej mocy. Wprost przeciwnie, czuję się potwornie.

- To dlatego, że nasze ciała wciąż podlegają prawom świata materialnego. Ale są też jeszcze... inne prawa. Tajemnicze, może nawet mistyczne, niezbadane i nieznanne nowoczesnej nauce. - Spojrzał na mnie i znów wzruszył ramionami. - Kto je ustanowił? Na ten temat można spekulować do woli, ale fakt jest faktem: one istnieją. Jedno z nich, na przykład, mówi, że ja w czasie każdej pełni księżyca mam się zmienić w wilka, inne - że ty możesz odżywiać się wyłącznie krwią.

Wziął kromkę chleba i posmarował ją szczerze masłem miodowym. Miał iście wilczy apetyt, jakby na potwierdzenie, że jest w nim coś ze zwierzęcia.

- A jeśli to efekt działania jakiejś potężnej klątwy?

- To też możliwe.

- W pewnym stopniu ma to dla mnie sens.

- Chyba nikt nie wie, jak to jest naprawdę - odparł lekceważąco.

Ja jednak podejrzewałam, że ktoś jednak powinien to wiedzieć: jakiś wampir, wilkołak albo jeszcze ktoś inny, być może istota wyższa.

- Teoria z klątwą tłumaczyłaby, dlaczego woda święcona osłabia wampira.

- Oczywiście - mruknął Kingsley

- A więc, podsumowując - powiedziałam - jesteśmy jednocześnie z tego i nie z tego świata. Podlegamy prawom znanym tylko istotom naszego rodzaju.

- Nawet tego nie możemy być stuprocentowo pewni. Dla mnie możesz być zjawą, którą wyśniłem na haju jeszcze w latach sześćdziesiątych. Co jednocześnie oznaczałoby, że w dalszym ciągu śnię tamten sen.

Kelner przyniósł nasze jedzenie. Kingsley przyglądał się znad talerza, jak nabijam na widelec plasterki półsurowego mięsa, maczam go w krwi wyciekającej spod spodu i wysysam do sucha.

- Seksowny widok - ocenił. - Chociaż odrobinę makabryczny.

Potrząsnęłam głową, a potem opowiedziałam mu o przygodzie z łowcą wampirów.

Gdy skończyłam, trzepnął się dłonią w kolano.

- Zostawiłaś go na statku linii Carnival Cruise?

- Tak. Zdaje się, że płynął na Hawaje.

- Miejmy więc nadzieję, że już stamtąd nie wróci.

- Właśnie - przytaknęłam. - Miejmy taką nadzieję, chociaż był z niego całkiem przyjemny byczek.

- No nie...

Sięgnęłam do kieszeni, wydając złoty medalion zawinięty w białą chusteczkę. Odwinęłam tkaninę, aby pokazać go Kingsleyowi.

- Co to jest? - zapytał.

- Sześć lat temu ten, kto mnie napadł, miał na szyi ten medalion.

- Ten, kto cię napadł?

- Wampir, który przeistoczył mnie w to, czym jestem dzisiaj.

- A jak ten medalion trafił w twoje ręce? Opowiedziałam mu pozostałą część historii o Randolfie łowcy wampirów, jego zamordowanym bracie i przesyłce z UPS. Gdy skończyłam, adwokat wyciągnął rękę.

- Mogę?

- Proszę bardzo.

Ostrożnie ujął amulet w palce, obrócił w dłoni. Złoto i rubinowe różyczki lśniły jasno nawet w restauracji, gdzie światła były przygaszone.

- Czemu ci go dał? - zapytał Kingsley

- Chyba chciał mnie wyczuć, skoro miał wobec mojej osoby wiadome plany Dla niego ten medalion nie miał żadnego znaczenia.

- A dla ciebie ma?

Opowiedziałam mu o swoich snach, opuszczając jednak ten fragment, w którym on sam brał mnie siłą w lesie.

- To tylko sny, Samantha - powiedział, obracając ciężki złoty bibelot na wszystkie strony w swoich olbrzymich dłoniach. - Nigdy nie widziałem tego amuletu.

- Ale możesz go sprawdzić dla mnie? - poprosiłam.

- Zobaczę, co da się zrobić - obiecał. - Pozwolisz, że go zatrzymam?

- Proszę.

Wsunął medalion do kieszeni i powróciliśmy do jedzenia. Za oknem zatrzymała się para maszerująca pod jednym parasolem. Po przejrzeniu menu wystawionego za szybą kobieta spojrzała na swojego towarzysza i z aprobatą skinęła

głową. On wzruszył ramionami i weszli do środka. To się nazywa kompromis.

- Czasami wydaje mi się, że Bóg o mnie zapomniał - powiedziałam.

- Znam to uczucie.

- A moje istnienie jest możliwe tylko dzięki temu, że trafiłam na lukę w prawach bytu.

- Lukę?

- Taką samą, z jakich ty korzystasz w swojej pracy - wyjaśniłam. - Adwokat zawsze szuka niejednoznaczności w obowiązujących przepisach, jakiegoś niedopatrzenia, które pozwoli mu nie zastosować się do nich.

Kingsley skinął głową,

- Istnienie dzieci nocy to ma być ta niejednoznaczność w prawach rządzących bytem?

- Właśnie. Jestem niedopatrzeniem natury.

- No cóż, można i tak to widzieć.

- A jeśli nie tak, to jak?

- Można żyć pełnią życia - na miarę swoich możliwości. Uznać, że życie, nawet życie nieumarłego odmieńca, to wielki dar. Czy wyobrażasz sobie, ile możesz zdziałać, Samantho? Jak wiele dobra uczynić? Życie to skarb. Nawet dla tych, którzy żyją na przekór prawom bytu.

Skinęłam głową, przypominając sobie to, co napisał Kieł.

- Usłyszałam niedawno coś podobnego.

- To była dobra rada - powiedział Kingsley. - Nie tylko dla ciebie, ale dla wszystkich.

- Więc jesteśmy tacy sami jak wszyscy?

- Nie. - Sięgnął przez stół i wziął mnie za rękę. Dłoń miał ciepłą, tak cholernie ciepłą... Moje palce były pewnie jak zimne, wilgotne, miękkie kluchy. Zawstydzona, chciałam cofnąć rękę, ale on przytrzymał ją mocno, ogrzewając moje lodowate, zgorzkniałe serce.

- Nie, Sam - powiedział twardo. - Nie jesteśmy tacy sami jak wszyscy. Ja jestem wilkiem w owczej skórze, a ty jesteś siłą nieczystą. Krwiożerczą, ale trzeba przyznać, że bardzo piękną.

Gdy nadeszła środa, włamałam się nocą do gotyckiej rezydencji Ricka Hortona.

Pod łóżkiem stało to samo kartonowe pudło co wtedy Materiały na mój temat zdążyły już się wzbogacić o zdjęcia mojego domu i mnie samej. Sfotografowano mnie teleobiektywem, z dużej odległości, gdy wsiadałam do swojej furgonetki. Ponieważ rzadko mam okazję się oglądać, przestudiowałam sobie ten portret bardzo uważnie. Twarz, rzecz jasna, wyszła niewyraźnie, ale sylwetka świadczyła o sile i harcie. Takie są skutki odżywiania się krwią. Zdjęcie zrobiono w ciągu dnia, więc moje policzki lśniły od kremu przeciwsłonecznego, którym były grubo wysmarowane. Włosy kryły się pod słomianym kapeluszem z szerokim rondem. Jechałam chyba właśnie po dzieci do szkoły.

W kolejnej teczce, tej samej, którą przeglądałam poprzednim razem, znalazłam zatrważająco szczegółowy opis zając Hewletta Jacksona, zamordowanego klienta Kingsleya Fulcruma. Wydrukowano go na komputerze, ale na marginesach były też odręczne notatki. Jedna z nich brzmiała: „Nie w pracy Nie ma dojścia”, a inna: „Jego dzieci nie mogą tego widzieć”.

Tak, to wystarczy w zupełności.

Zabrałam tę kartkę i wsunęłam karton z powrotem pod łóżko. Na dziedzińcu na tyłach rezydencji znalazłam pojemnik na śmieci, mijając po drodze dwa złe psy skulone ze strachu pod krzakiem. Wygrzebałam ze śmietnika pudełko po płatkach, schowałam w nim zmięty wydruk. Wszystko to, oczywiście, w rękawiczkach.

Następnego dnia przyjeżdżają śmieciarki.

W czwartek wieczorem zajechaliśmy z detektywem Sherbetem na ten sam zadaszony parking co poprzednio. Znow pilnował go ten sam ochroniarz, a te same dwa

samochody stały na tych samych miejscach. Jediną różnicą było to, że nie padało.

Wyciągnęłam z pudełka po płatkach obciążający dowód pod postacią zmiętej kartki i ostentacyjnym gestem wręczyłam go Sherbetowi.

Detektyw uważnie przebiegł wzrokiem pognieciony papier, a potem zerknął na mnie z ukosa, mrużąc podejrzliwie oczy. Zrobiłam minę niewiniątka i pokazałam mu pudełko, w którym niby to znalazłam kartkę. Wreszcie, po ciężkich wewnętrznych zmaganiach, Sherbet uśmiechnął się powoli.

- Chyba go mamy - powiedział.
- Ja też tak uważam.
- A pani w żaden sposób nie przyłożyła do tego ręki?
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
- Chodźmy - rzekł krótko. I poszliśmy.

Kiedy wychodziłam z hotelowego pokoju na pierwsze od tygodnia spotkanie z dziećmi, zadzwonił mój telefon.

- Dobra robota, pani Moon - usłyszałam w słuchawce głos detektywa Sherbeta.

- To znaczy?

- Na podstawie tego, co znaleźliśmy w śmieciach Hortona, sędzia zgodził się wydać nakaz rewizji. Wczoraj przeszukaliśmy mu dom, a dziś został aresztowany. Podczas rewizji znalazło się tyle obciążającego materiału dowodowego, że starczyłoby na wyroki dla dwóch oskarżonych o morderstwo.

- Nie jestem pewna, czy taka analogia ma sens.

- Nie musi mieć sensu. Pani na pewno rozumie, o co mi chodzi. - Zawiesił głos. - Świetny z pani detektyw.

- Podobno. Tak mówią.

- Więc czemu nie słyszę zadowolenia w pani głosie? - zapytał.

- Jestem bardzo zadowolona. O jednego mordercę na ulicach mniej.

Zapadła cisza. Sherbet odetchnął.

- Uważa pani, że złapaliśmy nie tego, co trzeba, tak?

- Wynajęto mnie, abym ustaliła, kto strzelał do Kingsleya Fulcruma - odparłam. - Ma pan wykazy połączeń z telefonu Hortona?

- Oczywiście.

- Może pan przysłać mi je faksem?

- Po co?

- Niech pan będzie taki miły i zrobi to, o co proszę. Detektyw milczał długo. W słuchawce szumiało i trzeszczało. Wreszcie usłyszałam, jak wzdycha głęboko.

- Pod jaki numer?

Podalam mu numer faksu w hotelowym centrum biznesu, gdzie mozna bylo korzystac z uslug biurowych.

- Z ilu miesiacy? - zapytal.

- Z ostatnich czterech.

- Nie musi juz pani sie tym zajmowac - poinformowal mnie. - Sprawa zamknieta.

- Wiem - odparlam - ale jako detektyw nie zasypiam gruszek w popiele.

- Nie zasypia pani, to prawda - przytaknal. - W kazdym razie nie w nocy Coś pani powiem.

- Slucham.

- Pewnego dnia pogawedzimy sobie jeszcze o zeznaniach naocznych swiadkow, ktorzy widzieli faceta zjezdzajacego na linie z balkonu pani pokoju w hotelu.

- Chetnie.

- I o chlopaku ze sklepu Vons, ktory twierdzi, ze widzial na wlasne oczy, jak jakis latajacy stwor porwal czlowieka w powietrze.

- Oczywiscie.

- Nie mam pojecia, co sie tutaj wyprawia, ale jeszcze o tym porozmawiamy.

- Rozumiem - powiedzialam. - A teraz ja cos panu powiem.

- Slucham.

- Ma pan wiecej racji, niz sie panu wydaje. Detektyw zamilkł, a potem odlozyl sluchawke.

Od ponad tygodnia nie byłam u siebie.

Nasz dom stał na samym końcu ślepego zaułka. Podwórko od frontu było ogrodzone drucianą siatką, która z początku bardzo mi się nie podobała. Chciałam ją usunąć, ale Danny się nie zgodził, przekonując, że może się jeszcze przydać. I miał rację. Dzięki tej siatce moje dzieci nie mogły wybiec na ulicę, szczeniaki i kocięta nie mogły się zgubić, nie trzeba było daleko biegać za zabłąkaną piłką, mieliśmy gdzie oprzeć rowery i powiesić świąteczne światełka. Służyła nam także jako olbrzymia tablica informacyjna. Wieszaliśmy na niej plakaty, własnoręcznie malowane obrazki, wstążki. Ogłoszenia o sprzedaży domowej lemoniady i o szczeniakach albo kociętach do oddania. Brakowało mi tej cholernej siatki.

Przed rokiem Danny zmusił nas, żebyśmy pozbyli się swoich zwierząt. Anthony i Tammy przez długie miesiące nie mogli się po tym otrząsnąć. Mój mąż w skrytości ducha martwił się chyba, że mogę zabić psa albo kota, żeby wyssać z nich krew. Nigdy jednak nie przyznał mi się do tych obaw.

Tak czy inaczej teraz siatka stała zupełnie goła, a na podwórku nikt się nie bawił. Nie było tam ani jednej piłki, nie mówiąc już o kociaku albo szczeniaku. Na samym środku podjazdu stał cadillac Danny'ego. Zazwyczaj mąż parkował z lewej strony, zostawiając prawą dla mnie i mojej furgonetki, ale teraz nie musiał się już tym przejmować.

Stałam przy krawężniku i wysiadłam, kierując się w stronę domu. Słońce jeszcze nie zaszło i czułam się potwornie słabo, ale nic nie mogło mnie powstrzymać.

Gdy tylko postawiłam stopę na betonowym ganku, Danny gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Zmierzył mnie wzrokiem pełnym powagi. Nie mógł już dobitniej okazać mi swojego niezadowolenia. Był przystojny jak zawsze, nie stracił absolutnie nic ze swojej urody, ale ja już zupełnie

przestałam to zauważać. Widziałam jego strach i obrzydzenie, nic więcej.

- Mam tylko kilka minut, Samantha - powiedział. - Twoje spotkania z dziećmi są mi bardzo nie na rękę.

- To zostaw nas samych - odparłam.

- Nie mogę.

- Czemu?

Podszedł bliżej, stanął krok przede mną.

- Czemu, pytasz? Muszę dbać o bezpieczeństwo swoich dzieci.

Odepchnęłam go na bok i weszłam do domu, który był też moim domem.

- Gdzie one są?

- W swoim pokoju. Możesz spędzić z nimi tylko kilka minut, Sam. Zaraz przyjdzie opiekunka, a ja wychodzę, bo jestem umówiony.

Staralam się nie słuchać jego krzywdzących słów. Przede wszystkim robiłam, co mogłam, aby zapanować nad drżeniem dłoni i głosu.

- Miały być dwie godziny, Danny.

- Warunki się zmieniły - rzucił lekceważąco, a ja natychmiast zrozumiałam podtekst: warunki się zmieniają i tak samo zmieniają się ludzie. W wampiry.

Danny ruszył przodem i zapukał do zamkniętych drzwi.

- Dzieci - rzucił sztywnym tonem. Nigdy nie umiał się z nimi dogadać, zwracał się do nich jak do młodszego asystenta, stażysty albo praktykanta. - Mama przyszła. Chodźcie.

Drzwi otworzyły się z łoskotem. Anthony, mały kędzierzawy brunecik, rzucił mi się na szyję. Pół sekundy później obok niego uwiesiła się Tammy. Prawie mnie przewrócili, tacy byli ciężcy razem. Przykucnęłam, tuląc do siebie ich wijące się ciała. Kiedy Anthony oderwał się ode

mnie, zauważyłam, że ściska w rączce Game Boya. Nie rozstałby się z nim nigdy, choćby się waliło i paliło.

- Kiedy wrócisz, mamusiu? - zapytał.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Danny:

- Mówiłem ci już, synu, że mama nie wróci. Jest chora i nie może się z nami kontaktować.

Zerwałam się na równe nogi tak gwałtownie, że niemalże upuściłam dzieci.

- Jestem chora? Tak im to wytłumaczyłeś? Danny odciągnął mnie na stronę, w najdalszy kąt dużego pokoju, żeby nie mogły nas usłyszeć.

- Ty jesteś chora, Samantha - powtórzył z naciskiem. - Bardzo chora. I gdybym tylko mógł, to zamknąłbym cię w odpowiednim zakładzie, żebyś nie mogła zagrozić ani sobie, ani innym.

- Danny - zaczęłam, ostrożnie cedząc słowa - nie jestem chora. Jestem takim samym człowiekiem jak ty. Mam problem, ale potrafię sobie z nim poradzić. Mam go pod kontrolą. Panuję nad sobą.

- Wiesz co, to jest w końcu nieistotne. Dzieciom będzie łatwiej zrozumieć, że jesteś chora. A ty, niestety, musisz się pogodzić z taką wersją wydarzeń. Żądam tego.

Przez chwilę nie zdejmowałam z niego ciężkiego wzroku, a potem wróciłam do dzieci. Usiedliśmy sobie w trójkę na łóżku Tammy; oboje trajkotali razem, jedno przez drugie. Musiałam im obiecać, że nie umrę. Przysięgłam uroczyście, że nie umrę nigdy. Danny, gdy to usłyszał, przewrócił oczami. Udałam, że tego nie widzę.

Po kilku minutach, o wiele za krótkich, wróciłam do swojej furgonetki i odjechałam, zapłakana.

Siostra odwiedziła mnie w hotelu. Przyniosła ze sobą butelkę merlota.

Usiadłyśmy po turecku na łożku, popijając z kieliszków. Po drugiej kolejce Mary Lou zdradzała już objawy zawiania. Mnie było do tego jeszcze bardzo daleko. Ostatni raz czułam się na rauszu po wyssaniu krwi z niedoszłego gwałciciela.

- Więc zakończyłaś śledztwo? - zapytała moja siostra.

- Chyba tak.

- Chyba? - zdziwiła się. - Gazety o tym pisały. Policja ujęła sprawcę. O tobie nie wspominali, co chyba jasne, ale za to pokazali tego bykowatego detektywa. Jak mu tam...? Sherbert?

- Sherbet - poprawiłam. - Kawał chłopa, co? Mary Lou wzruszyła ramionami.

- Jakiś taki niedźwiedziowaty.

- Czasami lepszego nie trzeba.

- Czasami - zgodziła się. - No więc dlaczego „chyba tak”?

- Bo moim zdaniem złapaliśmy nie tego gościa, co trzeba.

- Twój detektyw uważa inaczej.

- Coś przegapiliśmy, ale nie wiem jeszcze co.

- To może mi o tym opowiedz - zaproponowała, wypijając ostatni łyk ze swojego kieliszka. - Wprowadź mnie w szczegóły, może dam radę ci pomóc.

- Dałabyś radę, gdybyś nie wytrąbiła tyle wina.

- Przecież wiesz, że na bani mam umysł jak brzytwa. Daj mi szansę. Opowiedz wszystko po kolei.

Tak też zrobiłam. Opowiedziałam wszystko, począwszy od kopiowania dokumentów z Sarą, sekretarką Kingsleya, aż po oba włamanie do Hortona i je go aresztowanie.

- Nie podoba mi się, że zafałszowałaś dowody - skomentowała Mary Lou - ale poza tym nie ma się do czego

pryczepić. Horton trzymał u siebie obciążające materiały. Miał motyw, a nawet broń tego kalibru co narzędzie zbrodni.

- Z całą pewnością to on zamordował Hewletta Jacksona - przytaknęłam.

- Ale uważasz, że to nie on strzelał do twojego adwokata.

- Tak uważam. - Skinęłam głową. - To nie on.

- Czemu?

- Po pierwsze, nie jest podobny do tamtego.

- Przebrał się - odparowała Mary Lou, wymawiając słowa z przesadną starannością, jak zawsze po alkoholu. - Nikt, kto widział tamto nagranie, nie da się nabrać na te sztuczne wąsy.

- Horton jest niezręczny - ciągnęłam dalej. - Widzieliśmy, jak szarpał się z pojemnikiem na śmieci, a potem się poślizgnął i klapnął na tyłek. Ma tyle sprawności co opasły wieprz.

- Do czego zmierzasz?

- Ten facet, który napadł Fulcruma, był bardzo sprawny. Żelazna kondycja. W pewnym momencie przeskoczył jednym susem przez ławkę...

- I strzelił - dokończyła Mary Lou. - Pamiętam. Obejrzałam sobie nagranie z monitoringu, kiedy wzięłaś tę sprawę. Ten moment rzeczywiście zwracał uwagę. No, no, siostruniu. Niezła jesteś.

Wzruszyłam ramionami.

- Ale wciąż go nie znalazłam.

- A może to ona, nie on? - podsunęła Mary Lou. A ja natychmiast poczułam, że coś zaskoczyło.

- Jak to? - zapytałam.

- Mówiłaś, że Horton miał siostrę. Przytaknęłam.

- Mieszka w stanie Waszyngton. Miesiąc temu złamała nogę w kostce i obecnie dochodzi do zdrowia. Nie byłaby w stanie przeskoczyć ławki i strzelić.

- Skąd wiesz to wszystko? - zapytała Mary Lou.

- Nie bez powodu mówią o mnie „superdetektyw”.
- Sądzisz, że Horton działał sam?
- Nie wiem - odparłam. Intuicja podpowiadała mi, że nie, ale milczałam.
- Pijesz? - Siostra wskazała palcem mój kieliszek. Podałam go jej, a ona przelała zawartość do swojego, do połowy już pustego. - Znam cię jak własną kieszeń - podjęła - i wiem, że nie zaznasz spokoju, dopóki nie złapiesz tego, kto strzelał.
- To prawda - przyznałam.
- Ale może nie będziesz musiała długo czekać, zwłaszcza jeśli ten ktoś miał wspólnika.
- Jak to?
- Byłaś trzecia na liście do odstrzału, więc możliwe, że wspólnik przyjdzie po ciebie.
- Możliwe - zgodziłam się. - A tak między nami: ja nigdy nie zaznam spokoju.

Godzinę po wyjściu Mary Lou zadzwonił telefon w moim pokoju.

Zagubiona we własnych myślach, stałam w oknie, patrząc na światła miasta, i dzwonek tak mnie spłoszył, że niemalże wyskoczyłam ze swojej bladej, lodowatej skóry. Podniosłam słuchawkę.

- Halo?

- Pani Moon?

- Tak.

- Dzwonię z recepcji. Przyszedł do pani faks, jest do odebrania na dole.

- Dziękuję. Za chwilę zejść.

Zabrałam faks i wróciłam do pokoju. Przysiadłam na krześle, podciągając kolana pod brodę i zaczęłam czytać. Wstęp do faksu był wypisany ręcznie, ścisłym, prostym i równym charakterem. Jakby ręką policjanta. Nic zresztą dziwnego, bo jego autorem był detektyw Sherbet. Chciał mi przypomnieć, że przesłane mi informacje są ściśle poufne oraz że śledztwo zostało oficjalnie zamknięte, a on wkrótce wybiera się na emeryturę, w związku z czym byłby niepokieszony, gdybym zaczęła utrudniać mu życie, i bez tego dostatecznie już trudne. Do podpisu dodał uśmiechniętą buźkę, ale dziwaczną, jak perwersyjna parodia prawdziwego uśmiechu: kose oczy i usta jak upiorna, podłużna rana. Może pierwszy raz w życiu narysował coś takiego?

Poza tym wstępem faks zawierał wykaz połączeń z telefonu Ricka Hortona wykonanych przez ostatnie cztery miesiące. Spodiewając się porywającej lektury, przezornie zaopatrzyłam się w porcję chłodzonej hemoglobiny. Wykaz przeglądałam metodycznie, bo taka już moja natura. Gdy ma się wieczność do dyspozycji, lepiej być metodycznym. Przeczytałam każdy numer telefonu. Sprawdziłam daty,

godziny i adresy Większość z nich, rzecz jasna, nic mi nie mówiła, ale powoli zaczęłam dostrzegać pewne fakty. Po pierwsze, Rick Horton miał obsesję na punkcie swojej siostry mieszkającej w stanie Waszyngton. Dzwonił do niej kilka razy dziennie. Po drugie, kontaktował się z kancelarią Kingsleya Fulcruma. Naliczyłam ogółem osiemnaście połączeń. Czy to miał być dowcip? A może Kingsley utrzymywał z nim stosunki?

Następnie zaczęłam szukać kluczowych dat i godzin. Nie zdziwiło mnie zbytnio, gdy okazało się, że godzinę przed napaścią na Fulcruma oraz podobnie godzinę przed morderstwem Hewletta Jacksona z telefonu Ricka Hortona dzwoniło na ten sam, nieznaną numer. Był to numer z tutejszej strefy. Wystukałam go na stacjonarnym aparacie w swoim pokoju; linia hotelowa powinna być niemożliwa do namierzenia. Czekając na połączenie, zauważyłam, że serce zaczęło bić mi szybciej. Dzwoniłam do osoby, która stała za tym wszystkim, do mordercy; byłam tego pewna. A nawet bardziej niż pewna. Po prostu - wiedziałam.

Połączenie.

W słuchawce zabrzmiało standardowe powitanie poczty głosowej. Rozłączyłam się szybko. Może trzeba było nagrać jakiś złośliwy tekst? Może, ale nie chciałam, chociaż zakrawa to na ironię, wystraszyć mordercy.

Otworzyłam więc mój notatnik z adresami i wyszukałam numer swojego eks - współpracownika, Chada Hellinga. Nie odebrał telefonu. Typowe. Nagrałam mu się na pocztę głosową, po czym wróciłam do okna, odsunęłam zasłonę i ponownie oddałam się kontemplacji światła miasta rozciągającego się przede mną.

Godzinę później wciąż jeszcze stałam przy oknie. Nagle zadzwoniła komórka.

Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Sary Benson, sekretarki mojego zleceniodawcy.

- Pan Kingsley Fulcrum zaprasza panią dziś o dwudziestą drugą trzydziści na spotkanie w restauracji Downtown Grill w Fullerton - oznajmiła.

- Naprawdę? - Przewróciłam oczami. - A dlaczego w takim razie pan Kingsley Fulcrum sam do mnie nie zadzwoni? - Słowa „pan Kingsley Fulcrum” wypowiedziałam ze szczególnym przekąsem. Kto to widział, żeby sekretarka umawiała faceta na randkę? Nie dość, że zawrócił mi w głowie wilkołak, to jeszcze na dodatek zadufany jak mało kto.

- W tej chwili jest na spotkaniu - poinformowała mnie sekretarka.

Zerknęłam na zegarek. Coś takiego! Czy ci adwokaci nie mogą pracować o ludzkich godzinach? Przyganiał kocioł garnkowi.

- W porządku - odpowiedziałam. - Proszę przekazać, że przyjdę.

- Pan Fulcrum z pewnością się ucieszy.

Pewnie chodziło o zwyczajne spotkanie w interesach, ale był piątek, więc kto wie, może Kingsley miał coś więcej na uwadze...

Gdy wybierałam strój odpowiedni na taką randkę - nierandkę, nagle znów zabrzęczała moja komórka.

- Śmieszna sprawa: dzwonisz tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz - odezwał się głęboki głos, bez wstępów, bez powitań. To był Chad.

- Wolałbyś, żebym dzwoniła, kiedy niczego nie potrzebuję?

- Byłoby miło, tak dla odmiany.

- Zastanowię się nad tym.
- Jak tam twoja skórna przypadłość?
- Całkiem nieźle, dziękuję.
- Proszę bardzo - odparł. - Chcesz nazwisko i adres właściciela tej komórki, którą mi podałaś?
- Gdybyś był tak miły - przytaknęłam, mając pełną świadomość tego, że za chwilę mogę poznać personalia zamachowca.

Chad podał mi nazwisko i adres, które zapisałam hotelowym długopisem na hotelowym papierze listowym. Zanim jeszcze skończyłam pisać, ręka drżała mi jak w febrze.

Po odłożeniu słuchawki długo wpatrywałam się w kartkę.

Parking, podobnie jak szklanka ze znanego powiedzenia, był w połowie pełny. Cała ja: wieczna optymistka.

Płaskie podeszwy moich butów plaskały głośno na brukowanym chodniku prowadzącym do tylnego wejścia do restauracji. Noc była jasna i zapraszająca; nagle zbudziła się we mnie nadzieja i umiłowanie życia. Poczułam, że wszystko jest w porządku, cały świat - i po raz pierwszy szczerze w to uwierzyłam. Prawie zrobiło mi się szkoda tych, którzy nie są wampirami i nie mogą poznać, jak noc wygląda od drugiej strony. Oczywiście, że byłam samotna, ale to zawsze przecież może się zmienić. Samotność to stan przejściowy.

Brukowany chodnik zakończył się, przechodząc w krótką alejkę, gdzie bardzo porządnie sprzątano, ponieważ biegła tędy wygodna droga do wielu różnych sklepów i restauracji. Chwilowo było tam pusto i ciemno. Latarnie wyłączone albo zepsute. Obstawiałabym raczej to drugie. Już dawno temu przestałam się bać ciemnych uliczek. Moje kroki budziły echa pomiędzy wysokimi ścianami. Minęłam zamknięte tylne drzwi do antykwariatu, sklepu z komiksami, butiku z papeterią i sklepu zoologicznego. Tylko Downtown Grill był czynny o takiej porze. Z otwartych drzwi wylewała się pulsująca muzyka. Nad alejką, niczym olbrzymie pajęczyny wisiały długie macki schodów przeciwpożarowych.

Nagle dostrzegłam kobietę siedzącą na stopniu schodów. A w jej dłoniach - pistolet wymierzony we mnie.

Buchnął jasny błysk, a zaraz po nim rozległ się cichy, mocno stłumiony odgłos wystrzału. W mojej piersi jakby eksplodowała bomba. Zatoczyłam się w tył, ale udało mi się utrzymać równowagę. Opuściłam głowę, spoglądając po sobie. W sukience ziała dziura, a z dziury sączyła się ciemna krew. Szybko padły kolejne dwa strzały, a siła uderzenia pocisków była taka, że wykonałam niemalże pełny półobrót.

Tym razem kule trafiły mnie prosto w brzuch. Ktoś miał niezłe oko. Moja czerwona sukienka nadawała się już tylko do wyrzucenia.

Kobieta, która do mnie strzelała, zeszła po schodach przeciwpożarowych, nie spiesząc się zupełnie. Na lufie jej broni dostrzegłam przykręcony tłumik. Nikt nie miał prawa usłyszeć wystrzałów, zwłaszcza w hałasie dobiegającym z restauracji. Żelazne schody skrzypiały pod ciężarem schodzącej postaci.

Z zalegającego w alejce cienia wyłoniła się twarz Sary Benson, recepcjonistki Kingsleya. Dziewczyna stanęła przede mną, trzymając pistolet oburącz, jak zawodowiec. Włosy miała ciasno związane, tak że nic nie kryło jej pięknych rysów; Szeroko otwarte oczy lśniły lubieżnie; jeszcze nigdy nie widziałam jej tak rozpromienionej. Zgrabne nogi rozstawione lekko, na szerokość ramion. Wyśmienita pozycja strzelecka. Każdy adwokat uważałby się za szczęściarza, gdyby jego klientów przyjmowała tak urodziwa recepcjonistka.

Z tym że ta recepcjonistka najwyraźniej postradała zmysły
- Pomagać temu potworowi? Jak pani mogła, pani Moon?
- wycodziła ze spokojem, jakby wygłaszała dawno przygotowaną kwestię. W jej tonie znów zabrzmiały wściekłość i nienawiść; teraz było już jasne, kto był obiektem tak silnych uczuć.

Mówiła, jak należało się domyślać, o Kingsleyu Fulcrumie.

- On nie jest potworem - zaprzeczyłam, chociaż formalnie rzecz biorąc, było w tym trochę racji.

Sara zamarła na chwilę, wyraźnie zdziwiona, że w ogóle jeszcze mogę mówić. Zdziwienie szybko ustąpiło jednak miejsca oburzeniu i popłynęła tyrada:

- Nie jest potworem? Wyciągał morderców z więzienia, wypuszczał gwałcicieli na wolność. Ten człowiek nie ma sumienia. To wstrętny manipulator.

- Taki ma zawód.

- Za bardzo się w nim odnajduje.

- Być może, ale nie mnie i nie tobie o tym decydować. W systemie prawnym istnieją specjalne zabezpieczenia, aby chronić niewinnych, a on się do nich stosuje. Nie każdy skazany zasłużył na karę.

Sara potrząsnęła głową i podeszła jeszcze bliżej. Po policzkach ciekły jej łzy. Skąd u niej tyle emocji, do diabła? Przecież to ja dostałam kulkę. A nawet trzy.

- Kocham go - powiedziała. - On ma w sobie coś niespotykanego, a ja chciałam mieć w tym udział. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla niego nie zrobiła. Oddałam mu serce i wszystko, co w nim było, ale i tak odszedł. A teraz znalazł sobie panią.

- Niech zgadnę. Jeśli ty nie możesz go mieć, to żadna go nie dostanie, tak?

Zmrużyła oczy i strzeliła po raz czwarty. Moja głowa odskoczyła w tył, a spomiędzy oczu połała się krew. Trzeba przyznać, że dziewczyna strzelała jak szatan. Nie zdziwiło mnie to zbytnio, bo była też fantastycznie wysportowana.

Niską parkową ławkę może pewnie przesadzić jednym susem, pomyślałam.

Przez jedną krótką chwilę wszystko dwoiło mi się, a nawet troiło w oczach. Potem wzrok wrócił do normy, a trzy sekundy po strzale kula wysunęła się z rany i upadła na moją otwartą dłoń.

Proszę bardzo, niech David Copperfield spróbuje pokazać taką sztuczkę.

Sara patrzyła na mnie osłupiałym wzrokiem, kompletnie zszokowana.

U wylotu alejki, od strony Commonwealth Avenue, zamajaczyła czyjaś postać. Zwalista, niedźwiedzia sylwetka stanęła w niedużej kałuży światła napływającego z ulicy.

- Stać! - zawołał detektyw Sherbet. - Rzucić broń! Natychmiast!

Ale Sara nie rzuciła broni. Przeciwnie, poderwała dłoń z pistoletem i zaczęła się obracać.

- Nie rób tego! - Skoczyłam w jej stronę.

Za późno. Nie zdążyła się odwrócić. Od strony Commonwealth Avenue huknęły trzy wystrzały. Sherbet nie miał tłumika, więc przetoczyły się przez wąską alejkę gromowym, miażdżącym bębni echem.

Sara obróciła się na pięcie w iście baletowym piruecie. Pistolet poleciał w jedną stronę, a but z poderwanej spazmatycznie nogi - w drugą. Zanim strzały zdążyły przebrzmieć, jej ostatni taniec dobiegł końca; runęła na ziemię.

Sherbet podbiegł do nas pędem. Był całkiem blady i ledwie łapał oddech. Wyciągnął dłoń do leżącej, w drugiej trzymając telefon, przez który już wzywał wsparcie i karetkę.

Dopiero potem uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Wszystko w porządku...? - Urwał w pół słowa. - Boże jedyny, pani też dostała.

- Naprawdę? Nie zauważyłam.

- Pogotowie już jedzie.

- Dziękuję, nie potrzeba.

Sherbet milczał przez długą chwilę. Z oddali dobiegło wycie syren.

- Będziemy musieli porozmawiać, Samantho - poinformował mnie.

- Domyślam się, panie detektywie.

Przez otwarte okna gabinetu Kingsleya niósł się szmer mżącego deszczu.

Woda spływająca z dłoni marmurowej syreny z wielkimi piersiami szumiała donośnie. Kingsley i ja siedzieliśmy na skórzanej kanapie, ramię przy ramieniu. Pomiedzy nami wzbierała fala energii. Erotycznej energii. A przynajmniej w moim odczuciu była to energia erotyczna.

- W jaki sposób doszłaś do tego, że zamachowcem była Sara? - zapytał Kingsley.

- Trzy rzeczy na to wskazywały. Po pierwsze, Horton pozostawał z nią w stałym kontakcie, a przede wszystkim dzwonił do niej przed zamachem na ciebie i przed zabójstwem Jacksona. Po drugie, zadzwoniła do mnie z prywatnej komórki, mówiąc, że dzwoni z pracy. Wydało mi się to dziwne. I po trzecie: przypomniałam sobie to zdjęcie na jej biurku z imprezy w Halloween. Przebrała się wtedy za pirata.

Kingsley uderzył się dłonią w czoło.

- Te wąsy Boże... Oglądałem to zdjęcie tysiąc razy

- Zamachowiec na nagraniu wyglądał dokładnie tak samo.

- Ale dlaczego wcześniej nie trafiła na twoją listę podejrzanych? Podobno masz jakiś szósty zmysł?

- Mam, to prawda. Tylko że to nie jest niezawodny instrument. Wyczułam ze strony Sary mnóstwo gniewu, ale uznałam, że ma on źródło w waszym nieudanym związku.

- Po śmierci żony miałem niewiele udanych związków, to fakt, ale skąd wiesz, że coś mnie łączyło z Sarą?

- Jestem superdetektywem, zapomniałeś?

- Tak, ale...

- Sara mi powiedziała.

- Aha. No więc dobrze: spotykaliśmy się. Nieźle nam się układało, ale potem wszystko się skończyło.

- Uważasz, że wszystko?

Napiliśmy się jeszcze wina. Wciąż blisko siebie, ramię w ramię.

- A propos „spotykaliśmy się” - powiedziałam. - Seksowna sekretarka rzuciła Danny'ego.

- To stąd ten uśmiech, którego nie możesz się pozbyć?

- Między innymi - przytaknęłam. - Poza tym nie wspominałam już nawet, że Horton się przyznał i opowiedział, jak to Sara zwróciła się do niego z propozycją zamordowania ciebie i twojego klienta. On dostarczył broń i przeprowadził wywiad, ona zajęła się strzelaniem.

- Dlaczego w takim razie zaatakowała mnie w środku dnia, na oczach tylu świadków?

- To było dokładnie przemyślane. Zamach miał zostać przeprowadzony podczas zmiany ochroniarzy. W pobliżu parkowała furgonetka bez tablic. Sara miała nią uciec z miejsca zajścia, a potem zamienić się samochodami z Hortonem, który czekał kilka przecznic dalej, aby zabrać furgonetkę i ukryć ją na piętrowym parkingu. - Przerwałam, aby napić się chardonnay. Nawet wampirowi może zaschnąć w gardle. - Teraz, kiedy jego współniczka zginęła i tajemnica się wydała, Horton przyznał się do wszystkiego. Stanie przed sądem jako współwinny zabójstwa i usiłowania zabójstwa.

Milczeliśmy przez chwilę. Potem Kingsley delikatnie wziął mnie za rękę. Dotyk jego wielkiej dłoni dodał mi otuchy. Deszcz przybrał nieco na sile, brzęczał o szyby

- Dobrze się spisałaś - powiedział Kingsley - Twoja praca była warta swojej ceny, co do centa.

- Skoro już o tym mowa, zostało ci jeszcze trochę tych centów do wypłaty.

- Kiedy tylko zatrudnię nową sekretarkę, zlecę jej, aby wypisała ci czek. - Wziął ode mnie pusty kieliszek i zaniósł do barku. - Dowiedziałem się tego i owego o twoim medalionie - rzucił, dolewając mi wina.

Momentalnie się ożywiłam.

- I co?

- Podobno za jego pomocą można odwrócić proces transformacji w wampira.

- Odwrócić? - powtórzyłam. - Nie rozumiem.

- Ten medalion - powiedział Kingsley - może cofnąć twoją przemianę.

- To znaczy...

- Że znów staniesz się śmiertelna, Sam. O ile tylko ten medalion to oryginał - a jeśli tak, to musisz wiedzieć, że jest pilnie poszukiwany, i dobrze zrobisz, nie rozgłaszając, że trafił w twoje ręce.

Zakręciło mi się w głowie. Ileż to niespodziewanych możliwości! Powrócę do człowieczeństwa, odzyskam dzieci...

Spojrzawszy na Kingsleya, dostrzegłam na jego twarzy autentyczny ból.

- Co się stało? - zapytałam.

- Czy to nie oczywiste? - odpowiedział pytaniem.

- Uważasz, że jeśli wybiorę człowieczeństwo... -
Zaczęłam i urwałam.

- Jeśli dokonasz takiego wyboru, to cię stracę - dokończył. - I nawet nie przyjdzie mi do głowy mieć do ciebie pretensję.

Wstałam z kanapy i podeszłam do niego, do tego pięknego, barczystego mężczyzny, dzięki któremu znów poczułam, że żyję, że jestem atrakcyjna, który pomógł mi odnaleźć w sobie człowieczeństwo, chociaż byłam już na samym dnie. Usiadłam na jego ciepłych kolanach jak na olbrzymim fotelu i zarzuciłam mu ręce na szyję, opierając je na jego szerokich i równie ciepłych co kolana ramionach. Pochyliłam się i delikatnie otarłam wargami o jego wargi.

Oderwałam się od niego dopiero po dłuższej chwili.

- A gdybym ci powiedziała - zapytałam - że się w tobie zakochałam?

- To byłbym najszczęśliwszym człowiekiem czy też półczłowiekiem na świecie - odparł. - A co z powrotem do śmiertelności?

- Zastanowimy się nad tym kiedy indziej.

- Dobry pomysł.

I pocałował mnie mocno, głęboko, aż zapomniałam o wszystkim, i były tylko jego wargi, jego język. Ależ on całował, niech go diabli...

64

Hej, Kieł. Nie odzywam się przypadkiem nie w porę?

Luna? Ty nigdy nie odzywasz się nie w porę.

Nie gościsz u siebie żadnej dziewczyny?

Od jakiegoś czasu dziewczyny u mnie nie goszczą. Co nowego u ciebie?

Opowiedziałam mu wszystko, jednym długim, niechlujnym wpisem.

Byków jak na rodeo, skomentował, gdy skończyłam. A co do treści: moim zdaniem Sara szczerze kochała Kingsleya. W każdym razie kochała go na swój pokręcony sposób.

Miłość i nienawiść w jednym.

I to nieuchronnie doprowadziło ją do szaleństwa.

Tak, napisałam, przypominając sobie jej ostatni śmiertelny piruet, po którym runęła bezwładnie na ziemię, a dookoła szybko rozlała się czarna kałuża krwi. Spojrzałam w tę ciemną gładź i targnął mną głód.

Kieł odpowiedział:

Uważała, że to, co robi Kingsley, jest moralnie naganne, w ten sposób usprawiedliwiając zamach na jego życie. Który powiódłby się, gdyby nie trafiła na nieśmiertelnego. Wy, nieśmiertelni, zawsze macie lepiej.

Tylko niektórzy z nas, poprawiłam go.

Poczucie odrzucenia popycha człowieka do wariackich kroków.

Można na przykład rzucić się z ósmego piętra, przytaknęłam.

Owszem. Ale nie każdy ma skrzydła.

A powiedz mi: dlaczego dziewczęta ostatnio u ciebie nie goszczą?

Bo się zakochałem.

Kim jest ta szczęściara?

Długa pauza. Bardzo długa.

Kieł?, napisałam.

I wtedy na monitorze pojawiła się czerwona róża oraz krótkie zdanie: Kocham cię, Luna.

Zrobiłam wielkie oczy. Słów zaczęło przybywać.

Zakochałem się w tobie od pierwszej chwili. Wiem, że to głupio brzmi, bo nigdy się nie spotkaliśmy, ale zakochałem się w twoim wizerunku, który sam sobie wykreowałem. Nigdy nie zaistnieje na tym świecie kobieta zdolna wytrzymać porównanie z takim wizerunkiem. Każda będzie gorsza.

Na tym zakończył. Przeczytałam to po raz drugi, potem trzeci, nie mogąc się oderwać. Wreszcie odpisałam:

Oboje jesteśmy obłąkani. Wiesz o tym, prawda?

Tak, wiem. Dobranoc, Kieł. Dobranoc, Luna.

Podziękowania

Dziękuję Eve Paludan, Liisie Lee oraz Sandy Johnston za to, że nie szczędziły sił, aby pomóc mi w pisaniu.